



# *Byłaś moim niebem*

BARBARA LITWICKA

Były już: radość, spokój i bez troska.  
I nagle los zabrał to wszystko, co piękne  
i pełne podziwu... Pozostały tylko wspomnienia...



Replika

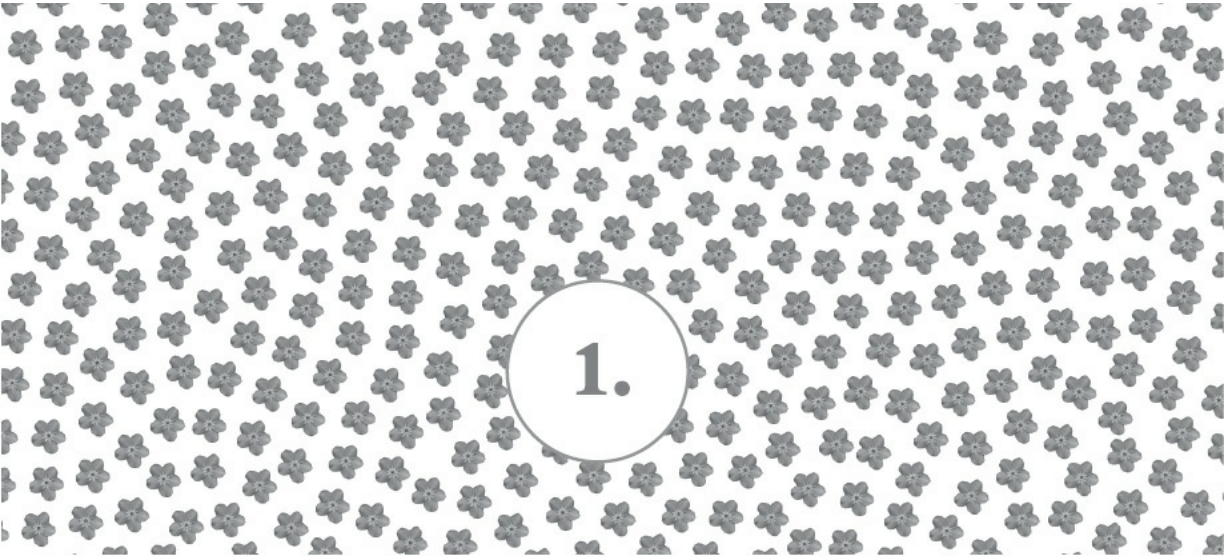
*Byłaś  
moim niebem*



BARBARA LITWICKA

*Byłaś  
moim niebem*

  
Replika



– ...z prochu powstałeś i w proch się obrócisz... – usłyszał jeszcze słowa kapłana w czarnym ornacie, suto zdobionym okapującym złotem, co przy takiej okazji od razu rzucało się w oczy, a już po chwili myślami był na żółtych piaskach wyspy, gdzie w blasku słońca, z fal oceanu wyłaniała się kobieta, tak promienista, że aż musiał zmrużyć oczy, by móc patrzeć na jej radosną twarz. Ten blask oślepiał go wtedy całkowicie, jak teraz to kapiące złoto z ornatu.

*Aż nieprzywoicie to wygląda w tym miejscu* – pomyślał i żał mu się zrobiło osoby, nad którą wyczyniane były te dziwne obrzędy, zakrapiane wodą i pustymi słowami w obecności zgromadzonego tłumu. Prawie cierpiał z tego powodu, że musiała w tym uczestniczyć, musiała patrzeć na to wszystko, czego nie znosiła i co zawsze poddawała lekkiej kpinie. Jej artystyczna dusza nie znosiła egzorcyzmów i zakłamania. A teraz tego doświadczała całym swoim nieziemskim już ego. I co paradoksalne – nie mogła się temu sprzeciwić, zbuntować ani krzykiem rozpedzić całego tego tłumku, który trwał w milczeniu, z minami na pozór smutnymi, ale kto wie, czy nie obłudnymi.

– ...pamiętaj człowiecze, że proch jest symbolem twojej nicości... – doleciały do niego mocne słowa, których już nie chciał więcej słuchać, ale przecież nie mógł w tym miejscu zaprotestować.

Odszedł więc. Zwyczajnie. Bez pożegnania. Bez rozglądania się na boki. Bez zdawkowego przepaszającego uśmiechu rzuconego w przestrzeń tym, co stali najbliżej w wielkiej gromadzie, zwabionej tą smutną okolicznością. Wyprostowany oddalał się od tej, która musiała tu pozostać na wieki, która już nie mogła zareagować śmiechem na jego słowa, którą w tym miejscu żegnało teraz grono przyjaciół w kirze. Oddalał się powoli. Szedł prosto, bez celu, byle dalej od tego miejsca i usypanego piachu w kolorach żółto-czarnego mazurka, jaki raz w życiu upiekła ta, która nigdy niczego już nie dokona na ziemi. Kroczył majestatycznie, byle dalej od tej, która jeszcze nie tak dawno śmiała się głośno i zaraźliwie, oddychała i przekomarzała się z nim, dowodząc, ile to lat życia człowiek ma przeznaczonych do wypełnienia na tym padole smutków i radości.

– Naukowcy udowodnili niedawno, że człowiek zaprogramowany jest na wiele lat długiego żywota ziemskiego – dowodziła, przytulona do niego. – Powinien żyć co najmniej sto sześćdziesiąt lat.

– A ty na pewno przebijesz średnią światową i żyjesz znacznie dłużej, bo znając cię, znów wywiniesz naukowcom jakiegoś psikusa. – Zaśmiał się z jej powagi w czasie rozmowy.

– Tak będzie! – Uderzyła piąstką we własną, niezbyt wypukłą klatkę piersiową i zapewniła żarliwie: – Tak będzie, bo każdy człowiek sam decyduje o tym, jak długo będzie żył. Ja jestem dopiero w pierwszej fazie tryptyku mojego żywota.

– Chcesz mi dać do zrozumienia, że wkraczasz zatem w wiek młodości chmurnej i durnej? I wkrótce zaczną się moje codzienne kłopoty w związku z tą pierwszą częścią tryptyku żywota twojego? – Użył jej słów wypowiedzianych

w natchnieniu.

– Żadne tam codzienne – mruknęła, odsuwając się od niego nadaśana. – Wiesz dobrze, że żadne codzienne sprawy już nas nie łączą.

– Na twoje życzenie tak się stało – wyjaśnił z satysfakcją.

– No nie, Witoldzie! Z tobą to nawet rozmawiać nie można, nie mówiąc już o całej reszcie!

– A ta reszta, to co to jest? Można by to jakoś nazwać? – Obrócił w żart tę nerwową rozmowę.

– Ty się do niczego nie nadajesz, Witoldzie! – szybko wyraziła niezbyt pochlebną opinię. – Nawet słuchać nie umiesz! Uśmiechasz się kpiąco, gdy zapoznaję cię z ciekawostkami dotyczącymi ludzkiego życia. Długiego życia.

– Co mi po długim życiu, gdy, być może, ciebie już przy mnie nie będzie, bo wybierzesz inny obiekt kochania. – Chciał ją pocieszyć, a wywołał tylko odwrotny skutek.

– Teraz też nie ma mnie przy tobie. Każde z nas realizuje oddzielny scenariusz, a życie toczy się dalej. Nie ma mnie przy tobie, nie widzisz tego?

– Nie widzę! – zaśmiał się cichutko. – I jeszcze proszę o wyjaśnienie, czym jest wobec tego to, co przytulam w tej chwili troszeczkę.

– To, to jest... namacalne wspomnienie dzieciństwa. Według opinii naukowców za kilkadziesiąt lat wkroczę w dorosłość, a dopiero później, dużo, dużo później przeistoczę się w panią dojrzałą. Tylko nie pomył mnie z matroną!

– Każesz mi żdziebko długo żyć. Nie wiem, czy sprostam twoim oczekiwaniom.

– Postaraj się, Witoldzie! Wiesz dobrze, że moje życie nic nie będzie warte bez ciebie, a zaplanowałam przecież bardzo długo podziwiać uroki tego świata. Postaraj się więc dogodzić i mnie troszeczkę.

– Nie jestem pewien, czy zdołam ci dogodzić, Basiulku. – Silił się na powagę, choć łyzy śmiechu już zaczynały się czaić w oczach. – Zawsze byłeś kapryśna i zbuntowana, a także wymagająca.

– Tylko nie kapryśna! – zaprzeczyła gorąco, waląc go przy okazji pięścią po czaszce. – Tylko nie kapryśna. Wymagająca, owszem, ale nie kapryśna. I teraz też wymagam od ciebie, żebyś przygotował się na długie życie.

– Nie wiem, czy mi się to uda, mimo usilnych starań. Nie wszystko ode mnie zależy, Basiulku. O tym też wiesz doskonale.

– Wiem. Wiem też jeszcze coś, co uczeni udowodnili ostatnio. Właśnie staram ci się to powiedzieć, ale ty mi nie pozwalasz. Bo jak zwykle nie dopuszczasz mnie do głosu – skarżyła się z pieszczotą w głosie. – I nawet mnie nie słuchasz!

Jego serce miękło przy tym i gotów był dla niej zrobić wiele, choć nie mógł za dużo, gdyż przeważnie działał z ukrycia. Mógł ją tylko trochę dłużej przytrzymać na swojej piersi i ogrzać własnym oddechem. Tylko tyle mógł. Wówczas. I jeszcze mógł jej wysłuchać. Tyle tylko było mu dane. Wtedy.

– No, to teraz mów, co uczeni odkryli w związku z życiem ludzkim – zachęcił tę kruchą istotę przytuloną do jego ramienia. – Słucham!

– Nabijasz się ze mnie? – Spojrzała na niego spod ramienia, zmrużywszy pomalowane finezyjnie oko, co zawsze go rozczulało.

– Gdzieżbym śmiał, Basiulku! Opowiadaj.

– Dobrze, to kontynuuję ciekawostki z wielkiego świata – zaczęła i z każdym słowem stuknęła palcem w jego klatkę piersiową. – Uczeni udowodnili, że na długość życia naszego gatunku wpływa sama jego chęć, optymizm ogólny, grubość portfela i oczy drugiego człowieka.

– Oczy? Co mają do tego oczy? – udało mu się wtrącić z humorem. – Moje też?

– Oczywiście! – przytaknęła ze śmiechem, dziurkując teraz jego koszulę ostrym paznokciem. – Twoje oczy mają szczególny wpływ na długość mojego życia! Ilość moich przeżytych lat zależna jest wprost proporcjonalnie od ilości twoich spojrzeń: łaskawych, grzesznych, czułych, przelotnych, groźnych, nieśmiałych, zabawnych, uwodzących i wszelkich innych, którymi mnie obdarzysz. Więc patrz na mnie i wydłużaj moje życie.

– Wydłużam. Patrzą!

– Ale nie tak zwyczajnie, jak na przedmiot. – Ujęła jego głowę w swoje dłonie, aż się zdziwił, że w takich małych łapkach było tyle siły, i mimo jego oporu, skierowała ją na siebie. – Patrz na mnie z miłością i kochaj mnie.

– Patrzą i kocham – powtórzył z dziwną kluchą w gardle.

– I o to chodzi. – Znowu dziurkowała mu koszulę wypielęgnowanym paznokciem, choć dopiero wróciła z ogródka. – Muszę długo żyć, by dogłębnie cię poznać...

– Po co? – I on odważył się wtrącić swoje pytanie.

– Przecież wiesz. Muszę nacieszyć się tobą, bo dotąd nie pozwalałeś mi na to.

– Pozwalałem, dobrze wiesz, że pozwalałem, ale ty to odrzucałaś – próbowałam tłumaczyć, ale szybko przerwała te wywody i oznajmiła: – I znowu zaczynasz mi coś zarzucać, a obiecywałeś, że nigdy...

...*bo nigdy!* – zapewnił teraz żarliwie w myślach, krocząc alejką w miejscu wiecznego spoczynku. *Nigdy!* I przyśpieszył kroku, by oddalić się od tej, która pozostała w ciemnym dole, ukryta w skrzyni z sześciu desek, pośpiesznie zbitych i niezbyt dokładnie oheblowanych, zalatujących bejcą albo nitro, czy też jakimś innym śmierdzącym środkiem chemicznym. I pozostanie tam na zawsze z tymi drobnymi pięćdziesięcioma dziewięcioma przezroczystymi koralikami w zimnej dłoni, bo tylko tyle dostała ta elegancka i do niedawna strojna istota na tę dziwną i długą podróż bez powrotu na ziemię. I ozdobę, którą w ostatniej chwili Adela wcisnęła jej na mały palec, też zabierze ze sobą i będzie mogła chwalić się tam, dokąd pójdzie, że to znak od niego, nabyty za cenę kilku niewielkich kieszonkowych. Bo to pierścionek z markasytami, z którym nie rozstawała się od dzieciństwa.

To właśnie zdążył zauważyć, zerkając zachłannie na jej zastygłe rysy, które już przybrały postać wyblakłego piaskowca, a może marmuru albo granitu. Nie znał się na tym. Jego wiadomości z zakresu geologii były znikome, prawie żadne. Praca, którą od zawsze wykonywał, dotyczyła dyplomacji, etyki międzyludzkiej i prawa międzynarodowego. Nie znał się na skałach ani na gładkach. I na różnych rodzajach gleby też się nie znał. A ona teraz musiała spoczywać w smrodzie ziemi użyźnionej innymi ciałami. W specyficznym

zapachu futra przybłąkanego kota, zachłannie wpatrującego się w jej uśpioną twarz, siedzącego jeszcze przed chwilą na brzeжку skrzyni, która stanowić już od teraz miała jej jedyne lokum. Pewno i on zostawił smużkę kocich wyziewów i kilka kłaków, zanim czmychnął, spłoszony obecnością człowieka. Zapach kota, jako ostatni zapach z ziemi, też zabierze ze sobą w tę podróż w jedną stronę.

A taka była wrażliwa na zapachy i trudno było jej dogodzić w wyborze perfum. A kiedy już sobie upodobała ten, którego nazwę on przechowuje jeszcze w pamięci, starał się ów flakonik zdobywać nawet podczas podróży służbowych. I to z Włoch kiedyś sprowadził jej upragniony zapach, którego nawet już dostać nie można było w renomowanych perfumeriach w kraju. A jednak zdobył tę mikroskopijną buteleczkę, nienapełnioną po brzegi aromatem, który wywoływał samą radość w jej szczęśliwych ślepkach. I tą radością dziękowała mu za jego mozolne starania.

Wszystko to robił po to, aby zobaczyć jej uśmiech i błysk radości w oczach niebieskich jak niezapominajki, które później już przyblakły nieco od łez. Razem z wilgocią wypłukiwała to niebieskie z tych oczu, które zawsze patrzyły na niego z miłością i wielkim oddaniem. Ale to nie przez niego, choć przy nim i często na jego ramieniu, co wcale nie było mu niemiłe.

Tak samo niemiłą nie była mu nawet ta jej wymarzona podróż do Nowej Zelandii, i nie przerażała go ani odległość, ani głębia oceanu. Bo i on rwał się do tego, by spełniać jej zachcianki, a także darować przy okazji i sobie odrobinę radości. Wystarczyło, że była blisko, że przesłała krótki SMS, a dawniej pocztówkę z jakiejś części kraju, gdzie przypadło jej gościć na deskach teatru, a on już rozpływał się w chęci podążania na oślep po jej śladach, by choć chwilę patrzeć na nią i karmić swoje głodne oczy na zapas jej widokiem. Przy jego sposobie zarobkowania wszystko było możliwe do realizacji i sprawiało mu to też niemałą przyjemność.

Bo cóż to za trudność przy zasobnym portfelu, który najczęściej miał zawsze przy sobie, spełniać jej zachcianki i zamówić hotel gdzieś na krańcu świata, z atrakcjami turystycznymi dla tych błękitnych oczu, by podziwiała uroki świata i rzucały blaski radości, które z przyjemnością on też przyjmował? Tylko czasu nie miał na te podróże, rozrywki i spacer, takie codzienne, przy różnej aurze i przed kolacją we dwoje.

I teraz zobaczył to wyraźnie, że nie powinien zostawiać jej samej na długie godziny dnia, a nieraz i nocy, bo z takiej samotności nic dobrego nie wyszło. I choćby cofnął ten stracony czas i zaczął wszystko jeszcze raz, byle tylko zobaczyć blask jasnoniebieskich oczu i uśmiech, którym zdobyła go już we wczesnym dzieciństwie – wiedział, że nie jest to możliwe teraz, w tym czasie.

Nic teraz nie było możliwe, bo jego szczęście zamknięte zostało w drewnianej skrzyni, która być może już zginęła głęboko w ziemi. I ten czas nie powróci już nigdy, by mógł obsypać ją kwiatami na powitanie, czy nawet bez powodu, jak tego nieraz pragnął. Nigdy dotąd nie zdążył spełnić swego marzenia, choć zawsze znalazł okoliczność, by jej zachcianki zadowolili obie strony. A teraz już



za późno na miłe słowa i kwiaty. *Jeszcze nigdy nie dałem jej żadnego kwiatka, nawet najmniejszego, choć tak bardzo pragnąłem wyrazić w ten sposób mój zachwyt nad jej urzekającą osobowością* – zakołatało mu w myślach.

Bo nie dał jej ani jednego kwiatka przy żadnej okazji. Tak wyszło. Nawet dziś nie podarował jej tego ciężkiego bukietu, z takim pietyzmem i starannością przygotowanego przez najlepszą kwiaciarkę w mieście. Uprosił tę kobietę, pachnącą kwiatami, aby wybrała najpiękniejsze okazy i zrobiła z nich bukiet niczym dla królowy. Bo zawsze traktował swoją Basiulkę jak dziecko pałacu, chociaż zaledwie kilka lat przebywała w Białym Dworku, w którym on mieszkał od zawsze. Nie podarował jej tego ciężkiego bukietu, gdyż oszedł przed zakończeniem smutnego obrządku. Oszedł od jej wyznaczonego miejsca wiecznego spoczynku akurat w momencie, kiedy wezbrała w nim złość. Na nią, że opuściła go teraz, kiedy mogło być tak miło i bez żadnych już przeszkód. Kiedy wreszcie mogli znów być razem, bez komplikacji.

Akurat teraz odezwała się w nim złość połączona z goryczą. Podniósł głowę jeszcze dumniej i przyspieszył kroku w alejce między cichymi kwaterami. Noga trafiła na nierówność podłoża i to był jedyny moment, w którym opuścił głowę, i który zmusił go do spojrzenia w dół, pod stopy. Od razu zauważył ten pękaty bukiet, którym machał do taktu swoim nieco wzburzonym myślom. Bez zastanowienia uniósł silne ramię obarczone kwiatami, zatoczył wielkie półkole i nie wybierając celu – łukiem uwolnił się od tego roślinnego ciężaru. Wreszcie poczuł dopływ krwi do koniuszków palców, sztywnych od silnego zaciskania miękkich łądyżek. Beznadziejnym gestem wsunął ręce do kieszeni i już po chwili odczuł prawie bolesne, przyspieszone krążenie krwi w zdrętwiałych ramionach. Lewą ręką wymacał ulubioną fajeczkę, której dawno nie używał, a którą natychmiast musiał wykorzystać. Wyjął więc z kieszeni kubańskie cudo, obejrzał troskliwie cybuch, pogładził, chwilę potrzymał w ustach i z powrotem ukrył w tym samym miejscu. Zatrzymał się na moment i wyprostował plecy, tworzące z karkiem i głową prawie jedną linię. Odruchowo spojrzął na zegarek, chociaż donikąd mu nie było śpieszno, i utkwiał bezmyślny wzrok w obłoczkach nad głową. Miały kolor nieba, malowanego kredkami dzieci, kolor niezapominajek i błękitnych ślepek tej, która już spała snem kamiennym i nigdy już nie podniesie powiek, by na niego popatrzeć z kpina, ze smutkiem, czy z prawdziwym oddaniem.

On także nigdy nie zobaczy blasku jej oczu i tej naiwnej radości na jego widok. Bo razem z nią zostały zasypane jej ślepka niebieskie i jego radości, które mogły się jeszcze przytrafić i dać im wiele, wiele miłych chwil. Ale jej już nie będzie i radość nie powróci nigdy. Bo co to za radość bez jej istnienia?

Otrząsnął się z tych myśli, jak pies po wyjściu z wody, i ruszył przed siebie główną alejką wydeptaną wieloma stopami zmęczonymi troską, żalnością i smutkiem. Nie oglądając się za siebie, rytmicznym krokiem wyszedł za bramę obszernej poznańskiej nekropolii, tajnie odprowadzony przez czarnego kota. Był wolny, choć tego nie chciał.

Tego też nie chciał, a stało się. Dokonało się już tak dawno, że gdyby rodzice nie powracali do tematu w swoich rodzinnych opowieściach – może udałoby mu się zapomnieć owo dziwne wydarzenie. Ciągłe wspomnianie tych szalonych, a jakże miłych chwil, przywołało krótkie, odległe już migawki z dzieciństwa.

A przecież powinien pamiętać więcej, bo był już uczniem podstawówki, jednej z trzech szkół w małym mieście. Bo tutaj osiedlili się rodzice, krótko po tym, kiedy przyszedł na świat. Tutaj też zajęli połowę domu zwanego Białym Dworkiem i tutaj upływało jego pogodne dzieciństwo. Pamięta nianię z tamtego czasu, co to prowadziła go na rynek, na ławeczkę w cieniu kasztanowca, przy kościele, by tam z koleżankami uprawiać ulubione pogaduszki, często wspierając się jego opinią w trudnych momentach sprzecznej rozmowy.

– Tak było! – zapewniała niania z przejęciem, kończąc jakąś opowieść. – Wituś jest świadkiem. Zapytaj go. On potwierdzi to, co mówię!

I kiedy jakaś matrona, która w jego chłopięcych oczach urastała do rangi starej kobiety, pytała, czy tak było, potwierdzał, waląc się w piersi.

– Niania ma zawsze rację, choćby jej nie miała – mówił dumny, bo to jemu Ludomira pozwoliła zdecydować w spornej sprawie. I nabierał wtedy szacunku do siebie, do swojej dziecięcej mądrości ukrytej pod trykotową jaskrawą koszulką i džinsowymi ogrodnickami. I tylko on wiedział doskonale, że powtarzał wtenczas słowa swojego mądrego ojca, któremu ufał bezgranicznie, i który był jego niedoścignionym wzorem.

– Niania ma rację, zawsze ma rację! – powtarzał i z radością zacinał swój krótki bacik, by szybko kolorowego bączka wprawić w ruch po betonowych płytkach, nierówno położonych na głównym placu miasta. Tam też dochodziły do niego strzępki rozmów pań rozczapierzonych na niewygodnej ławce, ale jego już to nie interesowało, gdy mógł bawić się nową, chłopięcą zabawką z dziećmi, które zazdrośnie na nią patrzyły oraz z tymi, które ją miały. Już wtedy potrafił zachęcić do wspólnej zabawy. Niezrozumiałe słowa wnikały do jego świadomości, ale nie uczestniczył w rozmowie kobiet, gdyż miał własny świat, swoje zabawki i skryte marzenia.

– Niemożliwe, żeby twoja pani sama gotowała. – Słyszał prawdziwe zdziwienie koleżanek niani. – Stać ich przecież na pomoc domową.

– Może i stać – potakiwała Ludomira – ale ona to robi, bo lubi.

– Kto lubi robotę przy kuchni! – oburzała się koleżanka. – Co za bzdury opowiadasz. I pewno jeszcze roboczy fartuch nakłada?

– Nie, nie, nigdy nie nakłada fartuszka! – Ludka zaprzeczyła radośnie. – Moja pani po domu chodzi w kolorowej sukience. Ładnej. I drogiej.

– Mówiłam ci, że mają pieniądze!

– No, mają. Przecież pan pracuje! A ty nie masz czym się zająć, tylko plotkami?

– Nie każdy ma tak dobrze jak oni. Nie wszystkich stać na nianię do dziecka.

– Ano, nie wszystkich. A kto tym wszystkim każe kupę dzieci płodzić? Ty też jesteś w takiej sytuacji.

– Dokuczasz mi, bo sama nie masz dzieci.

- Czy ty, Nastusia, chcesz się ze mną kłócić?
- Nie chcę! Chcę ci tylko pokazać, że ty już całkiem jesteś ich, nie nasza.
- Nigdy nie byłam wasza i też nie jestem ich. Ja tylko tam pracuję.
- Ale myślisz tak, jak oni.
- Bo są dla mnie jak rodzina. Zawsze przecież byłam sama. Teraz mam ich, pracę i dziecko.
- Jakie tam dziecko! Nigdy ten chłopak nie będzie twój. Zobaczysz, jeszcze ci zapłacą za twoje przywiązanie – wrogo ostrzegła Nastka.
- Niech płaci, przyjmę i to, jak wiele innych rzeczy od nich.
- Wiedziałam, wiedziałam, że przekupują cię ciuchami po pani. Dlatego jesteś po ich stronie.
- Jestem po właściwej stronie, a tobie nic do tego. – Ludomira wstała z ławki i donośnie zawołała: – Witek, wracamy! Oj, Anastazjo! Wrogo dziś jesteś do mnie nastawiona. Nie świadczy to o twojej przyjaźni. Nie jesteś szczerą. Chyba już nie mam przyjaciółki.
- Masz przyjaciółkę, bo masz! I wcale ci nie dokuczam, Ludko. Wszystko to mówię tylko dlatego, bo nie mogę znieść, że wystroiłaś się jak diabeł na Zielone Świątki! Na dodatek w dzień powszedni!
- Pani podarowała mi tę sukienkę. Jest trochę znoszona, ale jeszcze w dobrym stanie. – Spokojnie rozmawiała z koleżanką i znów zawołała chłopaka. – Witek!
- Mówiłam, że kupili cię i jesteś po ich stronie. Dlatego zawsze będziesz wychwalać swojego dyrektora.
- Jaki on tam mój – uśmiechnęła się Ludomira i ponownie przysiadła na brzegu ławki. – Bredzisz, Anastazjo, że on mój. Wiesz dobrze, do kogo pan należy, a pani też z niego pożytku nie ma za wiele.
- Ale ma pieniądze – dodała mściwie Nastka.
- Ty tylko jedno widzisz! Nie zauważasz tego, że cały dom stoi na głowie mojej pani i że ona ciężko pracuje w tym domu. A przecież to wykształcona kobieta.
- Chciała dyrektora, to ma kłopoty – podsumowała złośliwie koleżanka.
- Nie poznaję cię dzisiaj. Nastka! Co cię ugryzło?
- Chciała hrabiego, niech robi dla niego! – Anastazja prychnęła ze złością. – Coś za coś w tym niełatwym życiu.
- Oj, Nastka, Nastka. Twoje powiedzonka nie zawsze są zabawne. Ty dzisiaj chyba lewą nogą wstałaś, taka jesteś nieprzyjemna. Nie będę tu przychodzić, jak będziesz plotkować na temat moich państwa. Witoldzie!
- Zaraz, nianiu! – krzyknął i nawet nie ruszył się z miejsca.
- Nie plotkuję, Ludka, nie plotkuję, tylko zazdroszczę im takiego dobrego życia.
- I ty mogłaś takie mieć – rzekła spokojnie. – Trzeba było pilnie się uczyć, a nie w szkołę kamieniami ciskać! Wituś, idziemy!
- Dobrze, nianiu. Już jestem – odparł grzecznie i zaczął zwijać sznurek wokół swojego bacika. – Już możemy iść do domu. Jestem gotowy.

Zawsze był gotowy. A najbardziej tego wieczoru, kiedy ojciec przywiózł do domu obcą kobietę z małym dzieckiem. Akurat była sroga zima. W salonie stał wysoki piec kaflowy, oddający masę zbawczego ciepła poprzez swoje ciemnozielone ozdobne kafle, do których chłopiec chętnie przyciskał szczupłe plecy. Nie tyle dla ogrzania ich, co dla prawdziwej przyjemności poślizgania się koszulką po gładkiej powierzchni. Ciepło pieca rozprzestrzeniało się na całe pomieszczenie i nie było potrzeby nakładania na siebie podwójnych swetrów czy grubych skarpet w zaciszu domowym. Rodzice nie lubili przegrzewać ani siebie, ani syna. Zresztą w ich domu zawsze panowała ciepła atmosfera, z prawdziwą tolerancją i wzajemnym zrozumieniem prawie bez słów.

Mama zwykle wieczorami siadała blisko pieca w swoim ulubionym fotelu. Ojciec postawił go tam pierwszego dnia, kiedy wzniecono ogień w palenisku, gdy iskry aż trzaskały na środek pokoju. I pozostał już tam na długo. Na bocznym stoliku, wprost pod ręką, miała ulubione książki, które pochłaniała w długie zimowe wieczory, zaśmiewając się przy tym albo roniąc w róg chusteczki ukradkowe łezki, w zależności od rozwijającej się akcji lektury. Widząc to, przybiegał na swoich tłusciutkich nóżkach, bez pukania, do gabinetu i szarpiając ojca za łokieć, alarmował:

– Tato! Mama znów płacze.

– Nie płacze, synku, tylko popłakuje trochę – cicho informował go ojciec z zamyśleniem w oczach i głaskał po ciemnej czuprynie.

– To nie jest to samo? – pytał zdziwiony i chociaż natychmiastowej odpowiedzi nie usłyszał, od tej pory używał już tylko tego określenia w stosunku do mamy z wilgocią w oczach. – Mama nadal popłakuje.

Tato wtedy przerywał swoją monotonną pracę w gabinecie załadowanym biurowymi dokumentami, które prawie tonami znosił do domu, i podchodził do mamy z czułym uśmiechem w oczach. Zwykle pogłaskał jej ciepłą rękę, a nieraz pocałował w czubek głowy i harmonia nastrojów znów wracała do tego pokoju z wielkimi oknami przysłoniętymi aksamitem ciężkich kotar w kolorze wina.

Mama od razu się zrywała, stukając delikatnie w deski wiśniowej podłogi swoimi zielonkawymi kaczuszkami, które z zamiłowaniem wkładała w domu, i pędziła do kuchni ze słowami:

– Zrobię nam mocnej kawy do kruchych ciasteczek. – I patrząc na ojca, dodawała: – Sama je robiłam, Adasiu.

– Doceniam to, Wisiu. Chętnie skosztuję twojego wypieku.

I tato zostawał już w salonie przy stole nakrytym haftowaną serwetą, na który mama sprawnie zarzucała kolorowy obrus, każąc synowi w pośpiechu zgarniać woskowe kredki Bambino, pudełko ze skarbami i blok rysunkowy. Najczęściej w porządkowaniu pomagał mu ojciec i przenosili cały warsztat pracy do małego pokoju, zwanego dziuplą, który był dziecięcą siedzibą, miejscem nauki, a zarazem zabawy i odpoczynku.

Ale po posiłku i tak wszystko wracało na dawne miejsce, do salonu. Okruszki ze stołu zmiecione zostały specjalną miotłką. Obrus po przetrzepaniu i złożeniu w kostkę wzdłuż dawnych śladów zagniecenia umieszczono

w szufladzie bufetu, a pozostałe ciasteczka wyniesiono do kredensu. I już mógł rysować ulubionymi kredkami swoje wymaginowane miasta, chwalony przez ojca, że rośnie w tym domu przyszły architekt.

– Wyjaśnisz mi, tato, co znaczy to słowo? – pytał z podniesioną głową, patrząc na swego rodzica. – Jeszcze nie wiem, co znaczy architekt. Chyba jestem za mały.

– Nie jesteś za mały, synku – z dumą zaprzeczał ojciec. – Pozwalam ci wziąć encyklopedię z mojego gabinetu. Albo lepiej zajrzyj do słownika wyrazów obcych. Znajdziesz odpowiednie hasło, poczytasz, zapamiętasz i być może zapragniesz kształcić się w tym kierunku. Masz szansę zostać architektem, jak tatuś.

– Teraz? – spytał.

– A, nie. – Ojciec w uśmiechu pokazał wszystkie równe zęby. – Teraz jeszcze nie. Dopiero za kilkanaście lat, mój mądry synu, nie teraz.

– Ale... ale ja pytałem, tato, czy teraz mogę postudiować encyklopedię. – Urwał, zaintrygowany trudnym słowem, które samo nasunęło się w rozmowie z ojcem, a chciał je wypowiedzieć poprawnie, bez dziecięcego seplenienia.

– Myślę, synku, że najlepszą porą będzie wieczór przed zaśnięciem. Wtedy weźmiesz słownik do łóżka i postudiujesz różne hasła, nie tylko to, które dziś cię zaintrygowało.

– Zrobię tak, tatusiu – zapewnił żarliwie.

– Już najwyższy czas, abyś nabierał ogłady kulturalnej, mój synu.

Pokiwał wtedy głową na znak zgody, spojrzał w kącik przy piecu, gdzie w ulubionym fotelu siedziała mama, uśmiechnął się do niej zadowolony, że słyszała taką ważną rozmowę syna z ojcem, i wziął się za swoją robotę, jaką miał wtedy do wykonania uczeń podstawówki. Ojciec zajął się czytaniem pisma technicznego, oparty wygodnie o zagłówek kanapy, i pozornie nie zwracał uwagi na to, co się działo w pokoju. Szybko biegały kolorowe kredki po niewielkich przestrzeniach czystych kartek i szybko też powstawały przeróżne widoczki, jakie tworzyła wyobraźnia ucznia klas wczesnoszkolnych.

I tak mogłoby być zawsze w zimowe wieczory, myślał – rodzice, kredki, on i ciepłko buchające od pieca. Ale nie było. Nie było za sprawą ojca, który podczas takiego leniwego wieczoru zjawił się kiedyś pewnej mroźnej zimy z kobietą, która narobiła trochę zamieszania w jego dotąd dość dobrze ułożonym dziecięcym życiu. I co niezrozumiałe w tym dziwnym przypadku, był jej za to wdzięczny. Niewymownie i zawsze. I wspominał ją z rozrzewnieniem, jako coś, co zburzyło jego spokój, a zarazem napełniło go nowym, jeszcze nieznanym miłym uczuciem, które zawładnęło nim na długo, a trwało nieprzerwanie prawie przez wszystkie dni jego istnienia.

Sprawiła to zmarznięta kobieta, która nieśmiało zatrzymała się w progu obcego salonu. Jej wielkie ciemne oczy patrzyły nieruchomo przed siebie. Na ustach błąkał się delikatny uśmiech odsłaniający drobne zęby. Mała ręka okryta wełnianą rękawiczką zziębniętymi palcami obejmowała skórzaną torebkę w kształcie dużej kopertówki. Do szczupłego biodra okrytego krótkim futerkiem

nerwowo przytulało się tak samo zmarznięte jak ona, małe, rozglądające się ciekawie dziecko z laleczką naguskiem pod pachą.

Nagusek był lalką wykonaną fabrycznie z miękkiej masy gumowej. Witold wychwycił to swoim byстрыm okiem od razu, gdy spojrział na to małe dziecko stojące w progu pokoju. Okryte zielonym płaszczkiem, miało twarz schowaną w szerokim kapturze obszytym rudym liskiem. Puszysty skrawek futerka muskał zaczerwienione policzki malucha, który chciał się uwolnić od tych drażniących włosków, więc dmuchał co jakiś czas na tę puszystą ozdobę swego ubioru. Bezskutecznie. Włoski okrojonej lisiej kity dalej drgały w ciepłe pomieszczenia i drażniły twarz malucha. W końcu poirytowane dziecko zdecydowanym ruchem zsunęło kaptur razem z wełnianą czapeczką i energicznie potrząsnęło głową pełną poskręcanych włosów. Witold oniemiał. To była dziewczynka.

Jego klasowe koleżanki splatały włosy w warkocze zakończone najczęściej różnokolorowymi frotkami albo zbierały je w „koński ogon”. Były też i takie, które obnosiły zgrabne fryzurki prosto spod grzebienia mistrza. Tutaj zaś spotkała go miła niespodzianka. Nie było warkoczy ani żadnych ozdób we włosach, tylko masa ciemnych i ciężkich kędziurów różnej długości. Loki, giętkie niczym sprężynki, okalały główkę dziewczynki o przyrumienionych policzkach. Znów dmuchnęła na własną poskręcaną grzywkę, a kiedy to nie pomogło, odgarnęła burzę loków z siłą, o jaką nie podejrzewał tego kruchego dziecka, i odważnie na niego spojrzała. Od razu pojawił się na jej zmarzniętych ustach uśmiech nieśmiały, aczkolwiek władczy, który sprawił, że coś mu w środku drgnęło i zaczęło się tlić. Nie miał możliwości zastanawiać się nad tym, gdyż mama już ujęła kobietę za ramię i podprowadzała do kanapy. Posadziła ją na brzegu miękkich poduch i dopiero spojrzała na dziecko. Dziewczynka nadal stała przy drzwiach, z oczami wlepionymi w chłopaka. Uśmiechała się do niego, co jakiś czas odgarniając włosy z czoła ręką okrytą rękawiczką z brązowej włóczki, i gapiała się bez przerwy. Jej niebieskie oczy świdrowały twarz Witolda, aż dostał wypieków. A przecież to ona rozgrzewała się w ciepłe pokoju. Dlaczego więc w jego prawie dziewięcioletnim sercu rozpałał się ogień niewiadomego pochodzenia?

Myśli przerwał mu ojciec, zwracając się do mamy:

- Zgarnąłem ją z dworca, moja droga Wisiu. Nie gniewaj się, proszę.
- Dobrze zrobiłeś, Adasiu. - Mama poklepała tatę po ramieniu. Delikatnie pomogła obcej kobiecie zdjąć okrycie i patrząc na ojca, powiedziała: - Dobrze, że ta kobieta do nas trafiła. W taką noc obie by tam zamarzły.
- Wcześniej sprawdziłem rozkład jazdy. Żaden pociąg już nie wyjedzie dziś z naszego miasteczka. Nie mogłem jej zostawić, Wisiu.
- Nie mogłeś, Adasiu. I dobrze zrobiłeś, przyprowadzając ją do nas - powtórzyła Jadwiga.
- Wiedziałem, że mnie zrozumiesz - westchnął Adam i zaczął rozcierać zgrabiałe ręce nieznamomej. Patrzył na żonę i pytał: - Może by tak po Ludkę

posłać, żeby nam pomogła?

– Sami sobie poradzimy – rzekła stanowczo. – Nie będziemy w zimowy wieczór angażować naszej niani. Przygotuj herbatę z cytryną, a ja zrobię jej kąpiel rozgrzewającą.

Po jakimś czasie, gdy nieznajoma kobieta, otulona ciepłymi rzeczami Jadwigi, rozgrzewała się pod kocem, jej mała córeczka zażywała kąpeli. Tato w tym czasie kontynuował rozmowę zaczęta na dworcu, czekając na zagotowanie wody na kuchence gazowej.

– Udzielimy wam noclegu, miłe panie, wypoczniecie trochę, a rano odwieżę panią razem z dzieckiem wprost na dworzec.

– Dziękuję. – Usta kobiety nabierały malinowego koloru.

– Zaraz coś zjemy i przy herbacie rozgrzeje się pani całkowicie.

– Dobrze, że na pana trafiłam. Dziękuję. Jest pan dobrym człowiekiem – powtórzyła nieznajoma.

– Proszę, niechże pani jeszcze raz opowie, jak to się stało, że znalazła się na obcym dworcu – zachęcał tata, patrząc na mamę, bo właśnie zjawiała się z dziewczynką przyodzianą w ciepłe, pachnące płynem do prania rzeczy Witolda.

Mała szybko wypatrzyła fotel, włożyła nogami na siedzisko i zajęła miejsce przy piecu. Od razu się wyciszyła, kuląc delikatne ramionka. Ciekawie wlepiała błękitne oczy w twarze ludzi zebranych w pokoju, błędziła wzrokiem po meblach i ścianach, aż nagle zamknęła powieki, ucinając sobie wieczorną drzemkę. Nikt jej w tym nie przeszkadzał. Dorośli mieli ważniejsze sprawy do omówienia.

Jeden Witold nie mógł oderwać od niej oczu. Aż podrywało go zza stołu. Chciał natychmiast dotknąć tych poskręcanych kędziorków i pogłaskać ciemną główkę obcego dziecka. Wraz z tym pragnieniem pojawiło się znów to niewiadome ciepło gdzieś w głębi jego ciała oraz zaskakująca chęć ponoszenia jej na barana. I jeszcze coś pojawiło się przy sercu, czego nie umiał określić. Mógł tylko patrzeć na śpiącą dziewczynkę z zaróżowionymi policzkami i z naguskiem na drobnych kolankach.

Trwało dość długo, zanim oderwał od niej rozanielone oczy. Cichy odgłos lalki spadającej na podłogę wyrwał go z zamyślenia. Zerwał się, stanął tyłem do dorosłych, lekko zasłonił dziewczynkę i stało się. Wciskając naguska pod jej chudy łokieć, nieznacznie dotknął ciepłej buzi i kędziorków. Miał na to ochotę już w chwili, gdy wymknęły się spod czapeczki. I od razu wiedział, że to jest coś, czego będzie szukał całe życie, coś, co będzie nakręcać go do nauki i pracy, coś, czego nigdy nie zrozumie, a do czego zawsze będzie tęsknił. Jak lunatyk przeszedł przez pokój i ciężko usiadł za stołem. Dziewczynka spała dalej, dorośli rozmawiali, a on nagle znalazł się w innym świecie. Nie dochodziły do niego żadne słowa wypowiedane przy stole, choć zawsze interesowały go rozmowy dorosłych. Teraz było inaczej. Siedział z ciętym wzrokiem wlepionym w fotel mamy. Żadne głosy z tego świata do niego nie docierały. Nie reagował na ciche uwagi i polecenia rodziców. Otwarcie wlepił wzrok w zaróżowioną buzię

malucha; wcale nie dbał o to, czy rodzice widzą jego cięące zauroczenie. Zresztą oni mieli inne zmartwienie i już mniej zajmowali się teraz swoim synem. Mógł więc gapić się na małą bezkarnie.

– Jechałam do matki – zaczęła swą opowieść nieznajoma. – Na peronie stały dwa pociągi, przylegające tyłem do siebie. Ale tego jeszcze wtedy nie wiedziałam.

– No tak, tak... – pomrukiwał Adam. – Często tak się zdarza.

– Wsiadłam do ostatniego wagonu... i dopiero tutaj, pod Toruniem, zauważyłam, że jadę w niewłaściwym kierunku...

– Jak to się mogło stać? – zapytała z troską Jadwiga.

– Zwyczajnie, Wisiu. Neonowe latarnie na peronach niezbyt dobrze oświetlają, w wagonach też jest ciemno przy tym oszczędnym świetle kolejowym, więc o pomyłkę łatwo.

– Wsiadłam na tej stacji, bo... bo nie miałam więcej pieniędzy. Z Torunia nie starczyłoby mi na powrót do domu.

– No, tak, ale tym niech już się pani nie zamartwia, nie warto. Zaradzimy temu i pomożemy. Prawda, moja droga Wisiu? – Uśmiechnął się do żony.

– Oczywiście. Pomożemy pani. Ale jak to się mogło stać? – Jadwiga medytowała dalej, nie spuszczać wzroku ze śpiącej dziewczynki.

– Zwyczajnie – powtórzył Adam. – Wagony dwóch pociągów jadących w różne kierunki przylegały do siebie i pani wybrała niewłaściwy. Był to ostatni wagon w kierunku Torunia, a nie ten ostatni do Łodzi. Stąd ta pomyłka.

– Pomożemy pani, pomożemy – powtórnie zapewniła Jadwiga, wychodząc do kuchni po kanapki. – Dziewczynką też zaopiekujemy się należycie.

– Już mi pomogliście. Dziękuję. Trafiłam na dobrych ludzi – szepnęła kobieta, odrzucając koc, który okrywał jej drobne plecy. – Moja mama znów niepotrzebnie się zamartwia.

– Czy tylko mama troszczy się o panią? Małżonka nie obchodzi los pani ani córeczki? – zapytał cicho Adam, zerknąwszy wcześniej na obrączkę na palcu kobiety.

– Mój mąż został w Szczecinie. Wróci za kilka dni... tak obiecał.

– Pani mieszka w Szczecinie? To stamtąd pani wraca do rodzinnego domu?

– Tak. Mąż prowadził tam do spółki z kolegą firmę budowlaną. Ale ja... ja tęskniłam do matki. Zlikwidował więc zakład i mieszkanie, i...

– Macie już gdzieś w pobliżu nowe lokum czy też jakiś domek?

– Nie. Chwilowo zamieszkamy u mojej mamy. Potem coś się znajdzie.

– Zbyt bez troski pani do tego podchodzi.

– Mój mąż jest zaradnym człowiekiem i troszczy się o nas.

– To widać – rzekł Adam z lekkim sarkazmem. – Samą panią z dzieckiem posłał w daleką podróż. No, ale trafiła pani na dobrych ludzi, co raczyła zauważyć. Pomożemy pani, proszę się nie martwić.

Kobieta nabrała już zdrowszych rumieńców, ożywiła się nieco i usiadła wygodniej. Była młoda i delikatnej budowy. Dała się teraz zauważyć jej niepozorna uroda, zupełnie inna niż u dziecka. Powoli popijała herbatę,



przegryzając skromnymi kanapkami, które gospodarze postawili przed nią na stole.

Szmer cichej rozmowy przebudził dziewczynkę. Zsunęła się z fotela, oparła o piec, spojrzała niebieskimi ślepkami na dużego chłopaka prawie leżącego z łokciami na stole i stanęła na dywanie. Zaczęła podśpiewywać cichutko, wyginając się w tańcu, uniosła ręce nad głowę i płasała na środku dywanu. Po chwili już głośniej śpiewała, machała ramionkami do taktu, a przydługie rękawy chłopięcego swetra fruwały nad jej ciemną główką niczym chorągiewki na wietrze. Za duży sweter był dla niej sukienką i częściowo zakrywał jej szczupłe nóżki w wełnianych skarpetach, które podczas wirowania zsunęły się z małych stóp. Widząc to, Witold pobiegł do szafy stojącej w holu i przyniósł jej swoje dresowe spodnie. Pomógł jej włożyć za duże portki, a potem posadził małą przy stole. Ale dziewczynka zaraz się zerwała i dalej uskuteczniała swoje płasy. Dorośli patrzyli na nią z rozczuleniem. Jadwiga miała łzy w oczach.

– Żywe srebro – szepnęła. – Śliczna. Zawsze marzyłam o takiej dziewczynce.

– Wisiu, proszę cię... – Adam wołał unikać smutnych wspomnień.

Dziewczynka tymczasem wirowała w swoim popisowym tańcu ze śpiewem na ustach, aż wreszcie zatrzymała się przed chłopcem i mocnym głosem oznajmiła:

– Będę aktorką. Zobaczysz!

– Jak masz na imię? – spytał chłopiec zduszonym głosem.

– Basia. Tatuś mówi na mnie „Barbara, moja córeczka kochana”.

– Piękne masz imię... Basiulku – potwierdziła Jadwiga – i jesteś zdolną dziewczynką. Taniec pewno już cię rozgrzał. Pokaż rączki, sprawdzę, czy już są ciepłe.

Mała podeszła do miłej pani, pachnącej inaczej niż mama, oparła łokcie na jej kolanach, pozwoliła pogładzić swoje rączki i rzekła:

– Nie zmarzłam. Babcia zrobiła mi na drutach rękawiczki z jednym palcem. Podszyła futerkiem, żeby były cieplejsze, tak mówiła. Płaszczyk też mi uszyła. Trochę za duży, żeby na dłużej starczył. Tak mówiła. A ja wolno rosnę. Też to mówiła.

– Bo bardzo mało jesz – zauważył Adam. – Dłubiesz jedzonko niczym wróbelek w karmniku.

– Babcia też tak mówi! – ucieszyła się mała. – Ale ja i tak będę artystką.

Powiedziawszy to, powtórnie poderwała się do swoich niesłyszalnych melodii, by dalej tańczyć. Witold zapatrzył się w małą Basię i znów nie mógł oczu od niej oderwać. Była inna niż jego koleżanki klasowe. Pogodna, radosna i taka rezolutna, co zauważyła mamusia. Postanowił jeszcze tego wieczoru, a może już w nocy, poratować się encyklopedią albo słownikiem wyrazów obcych, by poznać następne nowe słowo.

Tymczasem dorośli zajęli się obcą kobietą, która już nabierała kolorów po rozgrzewającej kąpieli i kolacji. Rozmowa, która toczyła się w tym pokoju, nie interesowała dzieci. Witold szybko wpłynął na smarkulę, żeby siadła przy stole, na którym były jego kredki i blok rysunkowy, bo na czas kolacji nie usunął ich z tego miejsca. Teraz bez żalu wydarł czystą kartkę z ulubionego bloku

technicznego i bez słowa położył przed Basią. Podsunął jej kredki i zachęcił do rysowania.

– Ja nie umiem malować, bo jestem malutka. – Jej niebieskie ślepka patrzyły na niego rezolutnie.

– Narysuj to, co umiesz. Mogę prowadzić twoją rękę, chcesz?

– Nie chcę! – padła stanowcza odpowiedź. – Na to jestem już za duża. Tak mówi tatuś, kiedy razem malujemy.

– Razem malujecie? Jeden głupi obrazek malujecie razem? – dziwił się chłopiec, wpatrzony bez przerwy w dziewczynkę. – Można tak razem coś namalować? Co razem malujecie? Malujecie wspólnie jeden głupi obrazek?

– A nie! – zaśmiała się radośnie. – Malujemy ten sam temat. Tak mówi tatuś.

– Ten sam temat? – Zdziwiony chłopiec aż się zająknął. – Co to znaczy?

– Och, gapa jesteś! – Wskazała na niego palcem. – Tatuś maluje przy sztalugach, a ja na kartce... i to samo.

– Aha – mruknął, zły, że taka smarkata poucza go we własnym domu.

Zły był też i na siebie, że tak mało znał obcych słów. Postanowił zagłębić się w słowniki tatusia, by poznać nowe słowo i nabrać kulturalnej ogłady. Spojrzał na tatę, chcąc się przekonać, czy akurat był świadkiem jego upokorzenia, ale tato nadal rozmawiał z kobietami. Odetchnął więc głębiej, potem nieznacznie szturchnął małą łokciem.

– To ile masz lat, ty duża dziewczynko? – zapytał, wpatrując się w jej ślepka, niebieskie jak kwiatki w ogródku.

– Tyle – pokazała trzy paluszki, które ledwie wychyliły koniuszki spod zbyt obszernego swetra – i jeszcze kawałek. Narysuję domek babci, i słońeczko z buzią i oczkami, chcesz?

– Chcę – szepnął chłopiec, nie wiadomo dlaczego uszczęśliwiony.

Spojrzał na rodziców, pogrążonych w rozmowie. Witold nie słuchał pogaduszek dorosłych i mimo późnego wieczoru, wcale nie był senny. Wiedział, że jego sen dawno odszedł. Wiedział też, że trudno będzie mu zasnąć bez dotyku tych intrygujących kędziorków przypominających sprężynki. Westchnął ciężko i podsunął smarkatej jeszcze jedną kartkę. Dzieci zajęły się rysowaniem, szepcząc cicho między sobą, mimo że dorośli, prawie w środku nocy, prowadzili głośną rozmowę.

Nie zakończyła się nawet rankiem. I nie była już taka beztroska i spokojna, jak wieczorem. Nieznajoma siedziała na brzeżku krzesła i nie spuszczała niespokojnego wzroku ze swojej radosnej córeczki. Basia, uwieszona kolan Ludomiry, asystowała jej przy szyciu. Bo nagusek wreszcie mógł mieć ubranko na swoją miarę.

– Wybierz kolor szmatki na ciuszek dla swego naguska – proponowała Ludka, pokazując kilka kawałków materiału.

– A co uszyjemy naguskowi? Płaszczyk? – W oczach małej błysnęła nadzieja.

– Możemy uszyć płaszczyk. Myślałam jednak o sukience. Chcesz sukienkę dla naguska? – cicho pytała cierpliwa niania. – A tak w ogóle, to jak nazwałaś

swoją laleczkę?

Dziewczynka spojrzała bystrymi oczkami na Ludomirę, wzruszyła wątlými ramionkami i powiedziała:

– Nie wiem.

– Czego nie wiesz? – wmieszał się do rozmowy Witold, siedzący pod stołem, bo i on dzisiaj otrzymał pozwolenie opuszczenia lekcji. – Czego nie wiesz? Każda lalka to dziewczynka.

– A nieprawda! – odparowała z mocą i tupnęła nóżką. – Nagusek to chłopiec!

– Wybrałaś już, Basiu, imię dla swojego chłopca? – Ludomira dalej prowadziła spokojną rozmowę z dzieckiem. – Jak go nazwiesz, malutka?

Dziewczynka popatrzyła na mamę, potem na nianię i wreszcie zatrzymała swoje niebieskie ślepka na chłopcu siedzącym na dywanie. Podniosła hardo główkę i wyrzuciła z siebie.

– Nituś!

– Nituś? – Zdziwiona niania odłożyła nożyczki. – Co to za imię?

– Takie jak on! – Basia wskazała cienkim paluszkiem na Witolda. – Nituś!

– Wituś, Basiulku, Wituś! Ja jestem Witold, Basiulku. Nazywam się Witold Sonnefield – sprostował chłopiec, znów uszczęśliwiony nawet tak głupim pomysłem smarkatej, jak imię dla lalki.

– I dobrze, mój nagusek też jest Nituś! – Wydęła pulchne usteczka, założyła rączki za plecy i w milczeniu przemaszerowała przez pokój wielkimi krokami, w za dużych skarpetkach. Stała koło mamy i zapytała:

– To dobrze, że nagusek to Nituś? Mamusiu?

– Dobrze, córeczko, dobrze. – Matka niedbale pogłaskała jej gładki policzek, błędząc myślami gdzie indziej. Za otwartymi drzwiami gabinetu toczyła się rozmowa na pozór pogodna, ale jednak trochę niepokojąca. Jej słowa, docierające do salonu, mieszały się z cicho szemranymi pytaniami niani.

– Może spodenki uszyjemy Witusiowi? I ciepłą kurteczkę zimową? Podaj materiał, Basiu, to szybko skroję.

– Umiesz szyć spodenki i bluzeczkę też? – Dziecko przyglądało się ruchom rąk, sprawnie operujących nożyczkami.

– Mężczyźni noszą koszule, nie bluzeczki! – sprostował Witold łagodnie.

– Umiesz szyć! – ucieszyła się mała, lekceważąc wyjaśnienia chłopaka. – Uszyj prędko, żeby Nituś nie zdążył zmarznąć.

– Nie zmarznie. Zawień go w kocyk i niech tak poczeka na swoje ubranko.

– Basiu – odezwała się matka drętym głosem. – Kończ zabawę. Czas wracać do domu.

– Ja nie chcę! – odburknęło dziecko, nie patrząc na matkę.

– Ja też nie chcę – doleciało spod stołu.

Równocześnie do salonu przebił się donośny głos Adama, który brzmiał tym razem stanowczo.

– Nie chcę przyjąć twoich propozycji, Wisiu. Nie mogę ich przyjąć, moja droga.

– Przecież możesz wszystko załatwić przez telefon – podpowiadała mu żona. – Raz w życiu możesz zrobić sobie wolne od biura, bez podania powodu.

- Ty masz zawsze rację, choćbyś jej nie miała. – Uśmiechnął się pogodnie.
  - Bo mam! – potwierdziła z mocą. – Adam, w życiu czasem są ważniejsze sprawy niż praca.
  - Masz rację, Wisiu, zawsze masz rację, choćbyś jej nie miała – powtórzył udobruchany i znów się do niej uśmiechnął.
  - No, widzisz, jak nam dobrze się rozmawia!
  - Ale to wcale nie znaczy, że doszliśmy do porozumienia.
  - Najpierw zadzwoń do biura, a potem na mnie nakrzyczysz.
  - Jadwigo – obruszył się Adam – czy ja kiedykolwiek...
  - Nie. Powiedziałam tak, bo jestem trochę podenerwowana.
- Adam wykonał kilka ważnych telefonów, nie do końca przekonany o słuszności rady Jadwigi, nadal w niezgodzie ze sobą, gdyż rzadko korzystał z przywilejów dyrektora zakładu pracy. Potem zwrócił się do żony i oznajmił stanowczo:
- Po obiedzie pójdę do fabryki. Na krótko. Namówiłaś mnie jednak do grzechu.
  - I nie pożałujesz – kusiła Jadwiga.
  - Namawiasz mnie na coś, czego nie toleruję u moich pracowników.
  - Ale ten jeden, jedyny raz możesz opuścić swoje biurko w zakładzie.
  - Niby masz rację, Wisiu, ale to się kłóci z moimi zasadami.
  - Załatwimy tę sprawę dość szybko i pójdziesz do tej swojej ukochanej fabryki, bez której nie wyobrażasz sobie życia. – Jadwiga trochę już podniosła głos.
  - Kochanie, to jest aż tak bardzo widoczne? – Próbował żartować, ale żona nie odpowiedziała uśmiechem.
  - To jest tak widoczne jak komin fabryczny, na który patrzę co najmniej pięć razy dziennie, nawet nie wychodząc z domu!
  - A ja go nie widzę! – Zbagatelizował sprawę z uśmiechem.
  - Bo siedzisz w biurze i robota dla ciebie ma największe znaczenie! Adam, pamiętaj, ciebie nie będzie, a komin dalej będzie stać w tym samym miejscu! Pomyśl więc o nas. Musimy zdecydowanie załatwić naszą sprawę.
  - Trudną sprawę. Przejdźmy do salonu, moja droga.
  - Bądź miły dla tej kobiety, proszę cię – szeptała w drodze do pokoju, idąc za mężem. – Obiecujesz?
  - Obiecuję. Będiesz jeszcze dumna ze mnie – zapewnił.
  - Już jestem dumna. – Jadwiga zatrzymała się koło Basi i pogładziła jej ciemną główkę. – A co tu robi nasza dziewczynka?
  - Wisiu... Nasza? – Adam ściszył głos, ale nie mogła nie zauważyć dźwięczącego w nim wyrzutu.
  - O, popatrz, Adasiu! – Zlekceważyła jego pytanie. – Nagusek ma już ubranko.
  - Basiulku! Piękne ubranko ma twoja laleczka. – Adam pochwalił robotę Ludomiry, nie patrząc na kolorowe szmatki.
  - To Nituś! – wyjaśniła dziewczynka.
  - Wituś! – poprawił ją chłopiec, stając nagle obok rodziców. – Lalka ma na

imię Wituś – wyjaśnił.

Basia od razu odsunęła się od kolan niani i uwiesiła ręki obcej pani. Większa ręka zadrżała, czując ciepło małej piąstki, a w oczach kobiety pojawiły się łzy. Zanim się rozplakała, usłyszała słowa męża:

– Tylko spokój nas uratuje. Tylko spokój, moja droga Wisiu.

– Mąż ma dzisiaj kilka godzin wolnego i możemy zająć się pani sprawą – rzekła Jadwiga, próbując odzyskać spokój. Podeszła do stołu.

– Tak mało wiemy o pani. Zechce nam pani powiedzieć coś o sobie i Basi, prócz tego, oczywiście, co już nam wiadome? Nawet nie znamy pani nazwiska – rzekł Adam, siadając obok nieznanym.

– Adasiu, nie musimy tego wiedzieć natychmiast – szybko dodała Jadwiga. – Na razie wystarczy nam pani imię. I wiek Basi.

– Józefina... Jestem Józefina Sada.

– Miło nam.

– I mnie też! – dumnie krzyknął Witek, chcąc dać do zrozumienia, że i on ma głos w tej zgodnej rodzinie.

– Usiądźmy i porozmawiajmy – niepewnie zaproponował Adam dziwnie schrypniętym głosem, chociaż wszyscy już siedzieli.

– A może... może niania poszłaby z dziećmi na króciutki spacer? – zapytała Jadwiga, patrząc na męża.

– W taki mróz? Wisiu... – obruszył się Adam.

– No, to mogą pobuszować w Domu Towarowym. Przy rynku niedawno otworzyli taki duży sklep piętrowy. Dzieci mogłyby sobie coś wybrać do zabawy... Albo do ubrania.

– Bez ciebie, Wisiu? Same mają wybierać? – dziwił się Adam. – Wiesz dobrze, czym to się może skończyć.

– Przecież będą z Ludomirą. Ona im doradzi chyba... Oczywiście w granicach naszych możliwości finansowych.

I już biegła do szafy, nie czekając na opinię męża. Sprawnie wyławiała odpowiednie okrycia zimowe dla dwojga małych dzieci, zapominając, że jej syn już dawno posiadał umiejętność samodzielnego ubierania się według własnego gustu.

– Ale Basia... – odezwała się Józefina. – Basia nie ma za dużo czasu, bo niedługo wyjeżdżamy, a nie chciałabym się spóźnić na pociąg.

– Macie jeszcze sporo czasu do wyjazdu. Niech się pani nie denerwuje. Odwiozę panią na dworzec.

– Dziękuję ci, Adasiu – doleciało z brzucha szafy. – Tak będzie najlepiej dla nas wszystkich. I szybciej, i wygodniej.

– Wróćmy do naszej wczorajszej rozmowy – cicho zaproponował Adam.

– Nie wiem teraz, czy dobrze zrobiłam... Czy podjęłam właściwą decyzję, bo zadecydowałam sama, bez męża i matki... – zwątpiła nagle Józefina.

– Ale to byłoby tylko na krótko... Na kilka miesięcy. Dopóki pani nie urządzi nowego mieszkania. – Jadwiga gubiła się w argumentach. – A potem... potem Basiulka wróci... do was... To tylko na krótko. My chcemy pani tylko pomóc

w tym trudnym czasie.

– Chcemy pomóc, oczywiście, ale bez pani zgody, Józefino, nie zrobimy żadnego ruchu. – Pan domu rozłożył ręce.

– Nie będziemy działać wbrew pani – żarliwie zapewniła Jadwiga, patrząc na męża.

– No, ale jak tak można? – Józefina walczyła ze sobą. – Mam tak po prostu zostawić dziecko... i odejść?

– To nie tak. – Jadwiga szybko wpadła jej w słowo. – My tylko damy Basi opiekę i dach nad głową, a pani w tym czasie będzie szukać mieszkania.

– Moja żona słusznie mówi – wtrącił Adam. – Zaopiekujemy się Basią, gdy tymczasem pani wraz z małżonkiem spokojnie zajmiecie się urządzeniem nowego domu i gniazdka dla córeczki.

– Ale co powie na to moja mama... – Józefina powoli zaczęła się godzić z szalonym pomysłem tych ludzi. Stwierdziła w duchu, że był on korzystny dla jej niejasnej chwilowo sytuacji.

– To samo, co my: że dziewczynka będzie mieć opiekę na czas poszukiwania przez was nowego mieszkania. Kiedy już się urządzicie, przyjedziecie po Basię.

– Adasiu... – szepnęła Jadwiga.

– I Basia wróci do was... – dokończył, nie patrząc na trzęsącą się brodę żony.

– Oddacie mi moją córeczkę? – W głosie Józefiny słychać było nieufność. – Naprawdę oddacie mi moje dziecko? Mogę wam wierzyć?

– Jak może pani w to wątpić – zachnął się mężczyzna. – Józefino, nie ukrywam, że chętnie zatrzymalibyśmy Basiulkę, ale oddamy ją rodzicom... gdy przyjdzie ku temu czas. Zapewniam panią, że Basiulka na pewno do was wróci. Kiedy tylko zechcecie, oddamy wam dziewczynkę. Możemy nawet spisać notarialną umowę w tej sprawie – dodał rzeczowo. – Chce pani tego?

– Sama nie wiem. – Kobieta pocierała czoło delikatną dłonią. – Nie wiem, bo skoro Basia wróci do nas niedługo, to... to chyba żadnej umowy nie warto spisywać... Zawierzę wam na słowo. Umowa ustna też zobowiązuje.

– I ja tak uważam, że zobowiązuje. – Adam odprężył się trochę i dodał: – Dam pani moją wizytówkę. Będzie pani spokojniejsza.

– Po co? Ja trafię tu do was... i do Basi.

– Proszę wziąć. – Położył przed matką dziewczynki sztywny kartonik, dość gęsto zapisany. – Tak na wszelki wypadek, proszę to przechować.

– Cały czas się zastanawiam, czy dobrze robię... Bo nie jestem pewna...

– Przecież u nas na pewno Basia będzie miała dobrze. Tym nie powinna pani się zamartwiać – zapewniał Adam.

– Dostanie własny pokój. – Jadwiga już się rozmarzyła. – Kupimy jej zabawki, nowe ubranka i spełniać będziemy wszystkie jej zachcianki.

– No, nie wiem... Nie wiem, czy dobrze robię. Mój mąż może powinien wcześniej o tym wiedzieć. Chyba za szybko się zdecydowałam...

– Nikt na siłę nie będzie dziecka zatrzymywał – rzekł mężczyzna, wstając. – I to pani musi zdecydować, co robimy. Proszę się zastanowić, zanim Basia wróci.

– Józefino, pani dobrze wie, ile cierpliwości i czasu trzeba poświęcić małemu dziecku. Pani będzie teraz bardzo zajęta i dziecko mogłoby trochę przeszkadzać w załatwianiu spraw – miała Jadwiga z obłudną czułością. – A poza tym, w domu babci byłaby bez swoich ulubionych rzeczy...

– Tutaj też nie będzie miała swoich rzeczy – trzeźwo zauważyła matka Basi.

– No tak, tak... – mruknęła Jadwiga, przyłapana na podstępnie, po czym dodała szybko: – Ale my te potrzebne rzeczy od razu jej kupimy! Wszystko, cokolwiek zechce.

– Miłe panie, musi już zapaść decyzja, bo niedługo dzieci wrócą. – Adam wtrącił się rzeczowo. – I co pani postanowiła, Józefino?

– Da nam pani Basię na krótkie przechowanie? – spytała z niepokojem Jadwiga, patrząc z napięciem na usta kobiety.

– Ale tylko na przechowanie. Niedługo po nią wrócę – zagroziła. Po chwili jednak zmiękła i zapytała z troską. – A dobrze jej będzie u was?

Zanim zdążyli odpowiedzieć, już zaszurały dwie pary butów, a zarumienione dzieci, jeszcze w okryciach zimowych, wtargnęły do pokoju, przynosząc ze sobą zapach wiatru i chłodne powietrze. Niania od razu zaczęła zdejmować z nich kurtki i odwieszała w korytarzowej szafie, delikatnie rozcierając zimne ręce dzieciaków.

– Mamusiu! – Basia wychyliła się zza ramienia Ludomiry. – Mamusiu, byliśmy na zakupach w prawdziwym sklepie.

– Wiem, córeczko.

– Ile tam było pięknych rzeczy!

– Może coś ci się tam spodobało? – Jadwiga chwyciła dziewczynkę za rączkę, chcąc ją wyprowadzić z pokoju. Zatrzymał ją jednak głos Józefiny.

– Basiu – zapytała spokojnie – chcesz zostać w tym domu? Chcesz jeszcze trochę tu pobyc?

Dziewczynka odwróciła się do mamy, spojrzała po kolei na wszystkie twarze i powiedziała poważnie:

– Tak. Chcę.

– Witusiu, a ty? – szepnęła Jadwiga. – Chcesz, żeby ta miła dziewczynka mieszkała z nami przez jakiś czas?

– Chcę! – zapewnił mocą swojego dziewięcioletniego, męskiego gardła.

Chciał. Zawsze chciał jej przychylić nieba. A nawet łapał się na tym, że spełnianie jej zachcianek sprawiało mu prawdziwą przyjemność. Każdego dnia chciał spełniać marzenia tej kapryśnej, a niewielkiej istoty.

Był jednak i taki czas, w którym na długo stracił kontakt z Basią. Tak było w młodości i w późniejszych latach. Wtedy życie wydało mu się bez polotu i wartości. Co takiego miała w sobie ta drobna dziewczynka, że potrafiła zawładnąć jego myślami, a może i życiem? Co miała w sobie ta niepozorna istota, że potrafiła wpłynąć na rodziców tak bardzo, że prawie dla niej zgłupieli?

Odkąd zamieszkała w Białym Dworcu, tupot jej drobnych stóp słyszany był bez przerwy, tak samo jak dźwięczny śmiech. Ojciec, słysząc go, przerywał na

chwilę czytanie gazety, podnosił głowę w kierunku radosnej Basi i wsłuchiwał się w te odgłosy z dziwnym wyrazem twarzy. Jeżeli był w domu, oczywiście.

Coraz częściej zdarzało się, że szybciej wracał z fabryki i nie śleczął już wieczorami nad dodatkową robotą, i coraz mniej znosił do domu tych biurowych papierzysk. Jadwiga z błyskiem w oku szybciej uwijała się ze swoją zaplanowaną robotą, by więcej czasu poświęcać małemu dziecku, które już zdążyło się u nich zadomowić. Zresztą większość prac domowych spadła w tym czasie na Ludomirę, gdyż jej funkcja niani była odrobinę ograniczona z uwagi na prawie młodzieńczy wiek Witolda. Ludka dobrze czuła się w nowej roli, a poza tym gotowanie było spełnieniem jej marzeń.

Kiedy więc Ludka królowała w kuchni, Jadwiga razem z Basią czytała bajeczki lub budowała wieże i pałace, a także kolejki z kolorowych klocków, prawie leżąc na dywanie. Widząc to, Adam uśmiechał się z czułością do swoich dziewczynek, nieraz kręcił kółko wskazującym palcem na własnym czole, a najczęściej przyłączał się do ogólnej zabawy. Witold patrzył na rodziców, odmłodzonych i świrujących, jak przyjęło się mówić w jego młodzieżowych kręgach, i bez słowa dołączał do rodzinnej sielanki. I chociaż nieraz obrywał od Basi klockiem po głowie, nie czuł zazdrości o rodziców ani złości, że być może trochę go zaniedbywali.

Bo nie czuł się zaniedbany. Nie czuł się odepchnięty i wiedział, że to małe stworzenie daje im wszystkim wiele radości, chociaż cały dom, z chwilą jej pojawienia się, stanął do góry nogami. Gotów był walczyć w obronie Basi, sam nie wiedział dlaczego. Bo i taka sytuacja miała miejsce kiedyś przed szkołą.

Już czuć było wiosnę w powietrzu. Już świergot ptaków nastrojał optymizmem i nadzieją na cieplejsze dni. Okrycia zimowe poszły już do brzuchatej szafy w korytarzu. Budrysówka bez watoliny wystarczająco ogrzewała ramiona i plecy Witolda, wiecznie zabieganego między szkołą, prywatnymi lekcjami języków obcych i gry na instrumencie. W salonie pojawiło się brązowe pianino, na którym codziennie wygrywał swoje obowiązkowe etudy dla rozruszania palców. Wtedy, tylko wtedy, Basia cichutko siedziała w kąciku z paluszkami w buzi, z Nitusem pod pachą, i słuchała, słuchała w skupieniu tajemnych dźwięków wydobywanych spod niezbyt jeszcze sprawnych chłopiących palców. Zasluchana, zapominała o świecie lalek i zabaw dziecinnych, ale nigdy nie przeszkadzała chłopcu w tej trudnej nauce, w której najważniejszą rolę odgrywały białe-czarne klawisze. A kiedy kończył ćwiczenia na tym tajemniczym instrumencie, od razu podrywała się do improwizowania tanów i wirowała, płaśała, aż do zmęczenia. Kiedy już wyrównała oddech, stawała przed Witoldem i z powagą w głosie oznajmiała zawsze to samo:

- Zostanę aktorką. Pamiętaj! - I celowała w jego brzuch cienkim paluszkami.
- Sto razy już to mówiłaś - przypominał ze śmiechem i targał jej czuprynkę.
- I co z tego? Zostanę i już! Zobaczysz.

Był dumny, że to jemu powierzyła swoją tajemnicę i nawet pochwalił się w szkole tym odkryciem. Kiedy więc niania któregoś słonecznego dnia przyprowadziła pod szkołę Basię w czerwonym płaszczyku, z kapturkiem luźno



leżącym na drobnych pleckach, aż poderwało go do natychmiastowego uściskania malucha i pogłaskania ciemnych kędziorów, na co zawsze miał wielką ochotę. I zrobiłby to, ale koledzy powoli opuszczali mury szkolne, przeciągając mało ważne rozmowy w nieskończoność, toteż nie wypadało mu pędzić do niani. A kiedy Janusz ze śmiechem nazwał jego dziewczynkę Czerwonym Kapturkiem, obiecał sobie w duchu, że stłucze go przy najbliższej nadarzającej się okazji.

– Patrzenie, chłopaki – Janusz wskazywał grubym paluchem poplamionym tuszem z uszkodzonego długopisu – postać z bajki. Czerwony Kapturek!

– Sam jesteś postacią z bajki i masz coś z rycerza – rzekł cicho Witek, kiedy kolega wypinał dumnie swoją cherlawą pierś, słysząc pochwałę bohaterstwa. – Masz zakuty łeb! I lanie! Masz to jak w banku.

– Co się ciskasz? – Koledzy poparli Janusza. – Przecież każdy ma prawo do skojarzeń.

– To sobie miejcie te skojarzenia, a ja mam siostrę.

– Przecież każdy wie, że to obca dziewczucha. I nie jest twoją siostrą, tylko przybłądą!

Rzucił się wtedy wściekle na kolegów, z pięściami, i po kolei objął dziób każdemu. Sam nie rozumiał swojego zachowania wobec kumpli, którzy dużo dla niego znaczyli. On też od nich oberwał. A kiedy wreszcie uwolnił się od ich kuksańców, pobiegł do niani na drugą stronę ulicy, gdzie dogonił go krzyk chłopaków: – Nie warto poświęcać kolegów dla obcej dziewczuchy!

– Ona nie jest obca, to moja Basiulka! – warknął ze złością.

Basia od razu przytuliła się do jego długich nóg. Próbowała zetrzeć ślady krwi z jego policzków i nosa, ale nie sięgała tak wysoko. Objęła go więc w pasie, a on pogłaskał jej kędziorki, nie dbając już o to, czy koledzy to widzą. Ostentacyjnie ujął jej rękę i nie oglądając się na chłopaków, poprowadził ją prosto do domu, spokojnie krocząc przed nianią. Musiał teraz opowiadać smarkuli, jak było w szkole, co się działo, czego się nauczył. I chociaż lekcje były monotonne i nie zawsze pełne naukowych nowości, zmyślał na poczekaniu różne opowieści z życia szkoły, żeby tylko zadowolić dziewczynkę. Zdarzało się, że niektóre historie musiał powtarzać, tak kolorowo wpływały na jej bujną, dziecięcą wyobraźnię. I chociaż nie zawsze przedstawiał tę samą wersję wydarzeń, mała i tak była zachwycona. W jednej tylko kwestii dochodziło między nimi do małego nieporozumienia.

– Nitusiu. Teraz ja poniosę plecak – żądała Basia.

– Nawet tego nie próbuj – odzywała się milcząca dotąd Ludka. – Plecak jest za ciężki na twoje wątłe plecy.

– Jestem silna – przechwalała się dziewczynka. – Już zjadłam zupkę.

– I co z tego! I tak plecak Witka jest dla ciebie za ciężki. I nie ma o czym mówić, nawet nie próbuj mnie przekonywać, bo nie ustąpię – groziła niania, robiąc srogą minę.

– Ale ja chcę – buntowała się dziewczynka. – Ja chcę już chodzić do szkoły z plecakiem. Mam mocne plecy. Załóż mi go. Nituś! Daj plecak! Nie bądź

chytrus. Miałeś go cały dzień. Teraz ja poniosę.

– W domu założysz go na plecy i ponosisz trochę, a później razem lekcje odrobimy – obiecał, aby skończyć targowanie.

– Dobrze, Nitusiu – mruknęła pogodzona. I zgodnym już krokiem, trzymając się za ręce, jak przykładne dzieci, szli prosto do domu. Lubił takie spacery z Basią. I choć trwały krótko, bo szkoła nie była zbyt oddalona od Dworku, zawsze sprawiały mu przyjemność. Były czymś wyjątkowym, za czym już tęsknił pod koniec ostatniej lekcji. Basia też je lubiła. Wyczekiwała niecierpliwie pod szkołą, świdrując błękitnymi oczkami gromadę rozbrykanych dzieciaków, opuszczających w pośpiechu mury szkoły, chcąc wysledzić Witolda. Zwykle udawało się jej zauważyć go prędzej niż Ludce i tylko żelazna ręka niani nie pozwalała dopaść go natychmiast z okrzykiem radości. Bo czekała na niego. Cały dzień czekała na powrót Witolda ze szkoły, nawet wtedy, gdy jadła, też czekała; gdy poświęcała swój ważny czas zabawom i bajkom, również czekała, a także wtedy, kiedy drzemka południowa na krótko zwała ją z nóg. Wszystko, co robiła, było jednym wielkim czekaniem na Nitusia. I on o tym dobrze wiedział. Toteż wspólne odrabianie lekcji przebiegało szybko, cicho i bez komplikacji. Siadała bliźutko Witolda, z kolorowymi ołówkami i blokiem, i machała rączką tak zawzięcie, aż jej cierpła. Przez chwilę przyglądała się wtedy chłopakowi nad zeszytem i pytała cichutko:

– I co? Jeszcze tę matnę robisz?

– Już nie. Skończyłem zadanie domowe. Rachunki to łatwizna. – Dumnie wyprostował plecy i zamknął zeszyt w kratkę.

– Łatwizna – powtórzyła jego tonem. – Mówiłam, że matma to łatwizna.

Schowała swoje rysunki i kredki do specjalnej teczki, którą kiedyś podarował jej Adam, i przerzuciła się na książki z regału chłopca, na co miała pozwolenie. Szczególnie upodobała sobie *Elementarz* Falskiego. Siadała na rozłożonych na podłodze poduchach, z książką na kolanach, i zgłębiała tajemnice pierwszaków, wędrujących po świecie liter. Witold czasem obserwował Basię, podziwiając jej anielski spokój przy książkach i fantazję, której jemu trochę brakowało. Widział, jak powoli przewracała kolorowe kartki i z wielkim zainteresowaniem oglądała obrazki. Tworzyła do nich własną koncepcję. Opowiadała szeptem treść oglądanych obrazków, czasem mrużąc pod nosem, a czasem wyśpiewując własne teksty, dotąd nieznane nikomu we Dworku. Nie wsłuchiwał się w te słowa i wcale nie chciał ich znać. Ważne było, że jest obok, taka cicha, zadumana i czasem w niego wpatrzona. Niekiedy pytała, jak nazywa się znaczek na liniaturze i w ten sposób poznała wiele liter z alfabetu już w wieku niecałych pięciu lat. A on był jej pierwszym nauczycielem. I było to jego zasługą, że w wieku przedszkolnym sama czytała krótkie bajeczki. Rozpierała go duma, że tylko dzięki niemu pierwszą prawdziwie dorosłą książkę przeczytała ze zrozumieniem skończywszy lat sześć. Była to *Ania z Zielonego Wzgórza*. Wracała do niej kilkakrotnie jeszcze zanim otrzymała promocję do klasy drugiej. Za każdym razem odkrywała coś nowego i za każdym razem od nowa przeżywała przygody rudej dziewczynki. Czasem wyśmiewał ją z tego

powodu.

– Ile razy można czytać to samo! – drwił z zainteresowań smarkuli, którą jednak skrycie podziwiał za upór. – Czytasz i czytasz, bo pewno nadal nic nie rozumiesz. Ty chyba tylko przewracasz kartki, żeby mi coś udowodnić.

– Sam sobie coś udowodniłeś – odszczekiwała, szybko zamykając ulubioną książkę z obawy, by jej nie zabrał.

– Co?

– Że jesteś zwykły ignorant literacki.

– O, nowe słówko, odkryte niedawno. Staraj się je zapamiętać, ty molu książkowy. – Mówiąc to, wyszarpnął jej książkę i rzucił niedbale na górną półkę. Szybko przyskoczyła do niego. Zaczęła okładać go pięściami, co odczuł dość boleśnie, zdziwiony, że w takich delikatnych rączkach jest tyle siły. Równocześnie mocnym głosem rozkazała:

– Nigdy tego nie rób, bo pożałujesz! A teraz podaj moją książkę i przepros za ten dziki wybryk.

– Jakbym matkę swoją słyszał – mruknął niewyraźnie, zdejmując jednak gruby tom z półki. – Ostatni raz ci ulegam. Nie wyobrażaj sobie, że tak będzie zawsze.

Ale było. Zawsze jej ulegał, chociaż nigdy nie przyznawał racji. Tak jak teraz. Rzucił jej książkę pod nogi. Podniosła ją delikatnie i długo wygładzała potarmoszone kartki.

– Szkoda książki na te niezdarne ręce – zauważył kpiąco. – Nadają się co najwyżej do igły, nożyczek i odkurzacza.

– A twoje już nie nadają się do niczego. I zejdź mi z drogi, bo cię uszkodzę.

– Nie zapominaj się w moim domu, smarkulo.

– Chyba nie chcesz, żebym poskarżyła rodzicom. Oberwiesz, zobaczysz!

– Basiulku, zagrajmy w *Chińczyka* na zgodę – proponował ugodowo.

– Nie, nie zagramy. Nie i nie! – padła zdecydowana odpowiedź. – Nawet mi się gadać z tobą nie chce. Pozwól mi czytać, ignorancie literacki.

Zachłannie zagłębiła się w treści ulubionej książki. Na nowo przeżywała przygody rezolutnej sieroty, nie wiedząc o tym, że jej życie też było tak poplątane, jak smutny los ukochanej, rudej bohaterki. Wtedy miała jeszcze wokół siebie aurę miłości. Każdym zmysłem rozwijającej się istoty wyczuwała swoje dziecinne szczęście. W tym czasie jeszcze nie potrzebowała niczego więcej.

Witold wiedział, że Basia nie jest jego siostrą. Wiedział, że przyjdzie taki czas, kiedy dziewczynka wróci do swoich rodziców. Obawiał się tego, gdyż przywykł do jej codziennego szczebiotu, do głośnej obecności w całym domu i do wspólnych zabaw, zmieniających często swój charakter w naukę. Podziwiał jej improwizowany taniec w rytmie własnych przyśpiewek. Bawiły go te radosne pląsy, które wiele mówiły o jej żywiołowej naturze. Zawsze potrafiła znaleźć sobie właściwe zajęcie i chociaż wszędzie było jej pełno, nigdy nie przeszkadzała innym domownikom. Zresztą jej obecność nikomu nie sprawiała przykrości. Nawet Witoldowi, który dotąd był jedynakiem i świat kręcił się wokół niego. Powinien mieć żal i pretensje do rodziców, że cały swój wolny czas poświęcili

małej dziewczynce, którą przygarnęli, nie podając powodów tej dziwnej decyzji.

Tymczasem Basia wzrastała w Białym Dworcu i przyjmowała zwyczaje nowej rodziny jako własne, ku zadowoleniu wszystkich domowników. Nigdy nie wspominała swojego dawnego domu, zabawek i rodziców. Nie tęskniła za nimi, nie płakała. Zachowywała się tak, jakby te mury i ta rodzina od zawsze były jej przeznaczone. Dni upływały jej na beztróskich zabawach, z dala od matki, ojca i z dala od myśli o dawnym życiu, którego już nie pamiętała.

Tak było do chwili ponownego pojawienia się Józefiny. Przyszła bez zapowiedzi i, tak jak kiedyś, zatrzymała się na progu salonu. Jadwiga przygarnęła ją bez słowa i poprowadziła do stołu. Od razu zaproponowała herbatę i kanapki, bo do obiadu zostało jeszcze trochę czasu. Widząc jej rozbiegane oczy i nieme zdziwienie, szybko zagała rozmowę:

– Basia jest w ogrodzie. Ma tam swoje ulubione miejsca zabawy. Zaraz ją zawołam, jeśli chcesz. Na pewno się ucieszy.

– Na pewno... Ale ja muszę najpierw porozmawiać z wami – szepnęła, nerwowo oglądając się na boki. – Koniecznie, bo to jest bardzo ważne...

– Czy nie możemy, Józefino, poczekać z tym na powrót mojego męża? Czy ta rozmowa jest aż tak pilna? – Jadwiga niepokoiliła się trochę, widząc, że kobieta nerwowo pociera ręce.

– Możemy. – Józefina zapatrzyła się na własne dłonie. – Byle tylko Basia nie słyszała tej rozmowy, bo...

– Zupa już gotowa! – Usłyszały krzyk z niedalekiej kuchni, a po chwili Ludka stanęła w drzwiach. – Pani życzy podawać?

– Tak, proszę.

Na chwilę zapadło milczenie. Choć zupa była smakowita, zarówno Jadwiga, jak i Józefina jadły niezbyt chętnie, gmerając łyżkami w talerzach.

– Bo ja muszę się do czegoś przyznać... – zaczęła Józefina, z oczami wbitymi w stół. – Jeszcze nie mogę Basi zabrać do domu, bo... Bo ja właściwie nie mam domu.

– Porozmawiamy o tym później, jak Adam wróci... Jedz.

– Basia też nie ma domu... I ojca też nie ma.

Jadwiga już chciała zapytać, co to znaczy, ale przerwał jej tubalny głos Adama. Stał w pokoju i witał się teraz z paniami. Po chwili na stole pojawił się dodatkowy talerz i w miłej atmosferze domowego obiadu rozmowa potoczyła się inaczej, niż planowano na początku.

– Basia poznała już wiele zakątków w naszym mieście. Codziennie biega na spacer w swoje ulubione miejsca. Z nianią, oczywiście. Prawie zadomowiła się tutaj na dobre – zaczął beztrósko mężczyzna, nieświadom wcześniejszych słów Józefiny.

– Jestem wdzięczna za wszystko, co zrobiliście dla mojego dziecka. Dziękuję wam, bardzo dziękuję.

– Och, nie ma o czym mówić. – Adam na chwilę zawiesił w powietrzu łyżkę. – To dla nas przyjemność. Zapewniam cię, Józefino, Basia jest naszą prawdziwą radością i szczęściem.

– Wiem o tym. Nam też jej brakuje. Bardzo za nią tęsknimy. Moja mama...

– Muszę coś wiedzieć, Józefino. – Jadwiga spojrzała na nią, odsunawszy swój talerz. – Czy twoja mama... Czy pogodziła się z tym, żeby dziecko powierzyć obcej rodzinie na wychowanie? Krótko mówiąc, czy godzi się, żeby Basia mieszkała u nas?

Przy stole zaległa cisza. Józefina siedziała ze spuszczoną głową i znów swoim zwyczajem pocierała wysmukłe palce. Potem oparła dłonie o kant stołu i gładziła wykrochmaloną serwetę, jakby to w tej chwili było najważniejsze. Spojrzała smutnymi oczami na Jadwigę i zanim zdążyła odpowiedzieć, odezwała się ta ostatnia:

– Józefino, musisz wiedzieć, że Basiulka jest całym naszym światem i wielką radością. I najchętniej zatrzymalibyśmy ją na długo, a może nawet i na zawsze. Potrzebujemy jej, a ona nas.

– Już to kiedyś mówiłaś, Wisiu – przypomniał Adam wzruszony. – Powtarzasz się, moja droga.

– A, tak, powtarzam się – westchnęła. – Ale tak jest, Adasiu.

– Moja mama uznała mnie za wyrodną matkę. Nie może zrozumieć, że robię to dla dobra mojego dziecka... Bo przecież to tylko chwilowa rozłąka. Czy ja robię krzywdę Basi? – W oczach Józefiny pojawiły się łzy.

– Nie prowadzimy rozmowy pod kątem kary i winy. Chcemy tylko znać zapatrywania twojej mamy na tę sprawę – wtrącił Adam. – Nie mieliśmy okazji wcześniej o tym porozmawiać.

– Mama długo się na mnie boczyła, groziła i błagała o wasz adres, potem obrażona zamilkła na jakiś czas... Ale teraz, w obliczu nowych faktów z mojego życia, udaje, że pogodziła się z tą myślą. Wierzy, że Basia wróci do nas, do naszego domu.

– Bo wróci! – przerwał jej Adam z mocą. – W każdej chwili, kiedy tylko zechcesz! Przecież wiesz o tym doskonale. I powinnaś nam zaufać, Józefino.

– Ufam wam i dlatego ukryłam waszą wizytówkę w miejscu, gdzie nikt jej nie znajdzie.

– Może powinnaś jednak powiedzieć mamie, gdzie jest Basia? Żeby mogła czasami ją odwiedzić. Przywieź swoją mamę tu, do nas. Zapraszamy, niech spędzi z wnuczką trochę czasu i przekona się, że nie jesteśmy żadnymi ludożercami – namawiał Adam spokojnie.

– Nie! To niemożliwe! Mama od razu zabrałaby Basię do domu, bo to jej jedyna wnuczka. A ja jeszcze nie podniosłam się finansowo na tyle, by zapewnić mojemu dziecku dobre warunki. Tutaj ma lepiej niż na mojej wsi. I niech tu jeszcze zostanie, jeśli się zgodzicie.

– Nadal jesteś na utrzymaniu matki? – zapytała z troską Jadwiga.

– Teraz tak. Ale wcześniej, zanim Artek ześwirował, to zupełnie dobrze nam się wiodło. I pieniędzy też nie brakowało na dostatnie życie.

– Domyślam się, że nigdy nie pracowałaś zawodowo. Masz ty, dziewczyno, jakiś wyuczony zawód? – Jadwiga popatrzyła na nią z troską.

– Mam – potwierdziła Józefina, ale nie powiedziała nic więcej, a im nie

wypadało ciągnąć jej za język.

– A teraz? Pracujesz gdzieś, żeby pomóc starej matce?

– Jakiej starej? – Uśmiechnęła się po raz pierwszy. – Moja mama jest zaledwie po czterdziestce, a wygląda co najmniej jak moja siostra.

– No to jak? – Adam okazał zniecierpliwienie. – Pracujesz czy nadal szukasz pracy?

– Szukam. Dotąd nie było takiej potrzeby. A poza tym, nie po to wyszłam za mąż, żeby o świcie zrywać się jak do pojenia koni. Nie jestem stworzona do ciężkiej roboty.

– Masz do życia dość beztrudne podejście – zauważył kąśliwie. – A to trudny kawałek chleba.

– Wiem o tym. Zdążyłam już poznać, co to niedostatek, i wiem, jak smakują ziemniaki na wszystkie sposoby.

– Adam – wtrąciła Jadwiga. – A może w twojej fabryce znalazłaby się jakaś posada dla...

– Nie, Wisiu. – Spojrzał na nią złym okiem, podnosząc głos. – Nie wtrącaj się do spraw, które ciebie nie dotyczą! Wszystkie etaty mamy obsadzone.

– Ale może później, Adasiu, może później coś się zwolni... – Nie zamierzała ustępować.

– Wątpię, a poza tym nie wiemy, co mogłoby interesować Józefinę. Nadal nie znamy jej wykształcenia.

– Dziękuję za pomoc. I tak nie mogę matki zostawić teraz samej. I mimo wszystko będę czekać na męża. W tej sytuacji nie mogłabym podjąć stałej pracy. Proszę mnie zrozumieć.

– Jednak musicie mieć jakieś zabezpieczenie finansowe, skoro chcecie wychowywać dziecko. – Jadwiga nie przestawała się martwić.

– Chcę! Bardzo chcę i jeśli będzie trzeba, sama ją wychowam. Bo na Artka nie mam co liczyć. Zajął się teraz własną duszą – wypaliła ze złością. – Dlatego muszę jeszcze raz prosić was o pomoc. Możecie jeszcze jakiś czas opiekować się moją córeczką?

– Oczywiście! – zapewnił Adam z ulgą w głosie. – Tak długo, jak tylko nam na to pozwolisz. I obiecuję, że będziemy z nią rozmawiać o mamie i tacie.

– A teraz? Czy Basia choć czasami nas wspomina? Mnie albo ojca? – Widać było, że rozmowa na ten temat sprawia kobiecie ból.

– Często o was mówimy – zapewniła Jadwiga. – Ale Basia to tylko dziecko. Wasze twarze trochę się już w jej pamięci zacierają.

– Moja pamięć też jest ulotna – szepnęła Józefina. – Często mam z nią kłopoty.

– To normalny objaw oddalenia i tęsknoty.

– A jeżeli nie? Jeżeli ja też zaczynam świrować? – zaniepokoiła się Józefina.

– Głupot nie gadaj – szybko zganiła ją Jadwiga. – Zaraz coś zaradzimy na jej odświeżenie.

– Może zdjęcia rozwiązałyby problem? – zastanowił się Adam. – Przyniosę aparat.

- Ludko! - zawołała Jadwiga. - Przyprowadź dzieci do pokoju.
- Ale ja obiad im podaję!
- Zrobisz to później. Teraz, proszę, przyprowadź dzieci do nas.

Kiedy dziewczynka z chłopcem stanęli w progu salonu, Józefina aż oddech wstrzymała i wyprostowała się na krześle. Zaszklity się jej smutne oczy i dwie ciężkie łzy potoczyły się po chudych policzkach. Wpatrywała się w swoją córeczkę jak w ikonę, poruszała bezgłośnie ustami, ale zabrakło jej sił, by porwać ją w ramiona i ścisnąć, całować z radości i szczęścia, że ją widzi w dobrym zdrowiu i taką odmienioną na lepsze. Dopiero Ludka delikatnie potrząsnęła rączką Basi.

- To twoja mamusia, Basiu. Uściskaj ją. - Lekko popchnęła dziewczynkę w kierunku matki. Basia szła powoli, z ociąganiem i z paluszkami w buzi, co było do niej bardzo niepodobne. Stanęła blisko Józefiny, nieśmiało oparła łokcie na kolanach matki, spojrzała na Jadwigę i zapytała:

- Mamusia? To moja mamusia?

Józefina od razu ją przytuliła i ucałowała, a potem posadziła sobie na kolanach. Trzymając w objęciach, co jakiś czas całowała córeczkę, aż w końcu Basię znudziły i znieczepiły te nadmierne czułości. Zsunęła się z kolan Józefiny i nie patrząc na nikogo, zawołała w biegu:

- Pobawię się w dziupli, z Nitusiem!

Jadwiga uśmiechnęła się z zadowoleniem. Adam ukradkiem patrzył na Józefinę, która westchnęła ciężko, odsunęła talerz z niedokończoną, zimną już zupą i powiedziała w przestrzeń:

- Moje dziecko chyba mnie nie pamięta.

- Jest zbyt mała. Wie, że jesteś jej mamą, ale woli zabawę. Nie martw się, to przecież normalne u dzieci. - Jadwiga próbowała ratować sytuację.

- Wszyscy się ode mnie odsunęli. Całe moje życie zawaliło się w jednej chwili. Nawet dziecko mnie nie chce...

- Nie wolno ci tak mówić, Józefino - odezwał się Adam ostro. - Przecież tak nie jest!

- A jak jest? - zapytała ze złością. - Córnka jest u obcych ludzi, mąż mnie porzucił, a matka utrzymuje ze swojej skromnej pensji nauczycielskiej. Tak jest!

Nikt się nie odezwał. Józefina była bliska płaczu, ale zdołała się powstrzymać. Zamiast tego powiedziała:

- Mój mąż... Mój mąż nie wrócił ze Szczecina. Przysłał list. - Otworzyła torebkę w poszukiwaniu chusteczki, ale zamiast niej wyjęła zmiętą kopertę. Położyła ją przed sobą. Przy stole wciąż panowała cisza. Józefina cicho pociągała nosem ukrytym w chusteczce, zapatrzona w blat stołu. Jadwiga rzuciła mężowi bezradne spojrzenie, jakby szukając u niego ratunku. Adam, zahipnotyzowany listem, który Józefina cienkim palcem popchnęła w ich stronę, utkwiał oczy w tym tajemniczym skrawku papieru. Dopiero po chwili, jakby przebudził się z letargu, wziął kopertę i wyjął z niej zmiętą kartkę. Widniało na niej zaledwie kilka zdań napisanych pięknym charakterem, choć

niezbyt wyraźnym długopisem, mających wyjaśnić sytuację. Jednak niczego nie wyjaśniły. Adam czytał list adresowany do Józefiny i marszczył czoło, zaintrygowany jego treścią. W głowie mu się nie mieściło, że tak mógł postąpić dorosły człowiek, obarczony rodziną i obowiązkami.

– Przecież to nieodpowiedzialny smarkacz! – Stuknął końcami palców w papier listowy trzymany na wysokości oczu. – Wybacz, Józefino, moje wzburzenie, ale tak nie powinien postępować ojciec rodziny.

– Wiem. Ale to i tak niczego nie zmieni w moim życiu.

– Może jednak ktoś powinien nim potrząsnąć?

– Spróbuj, może tobie się uda, ale ja wątpię, czy to coś da. Nic nie zmieni jego decyzji. Ja go znam. Ma swoje zasady.

– O czym wy mówicie? Co było w tym liście? – Jadwiga poczuła się pominięta, jednak pozostała dwójka nie zwracała na nią uwagi.

Adam nakręcał się coraz bardziej.

– Ktoś z rodziny powinien na niego wpłynąć. Może trzeba porozmawiać z jego rodzicami?

– To niemożliwe! – Józefina wzruszyła ramionami.

– Wszystko jest możliwe. Przecież od razu nie dopełni tych swoich nagłych wyświeceń! – oburzył się Adam. – Żeby zostać diakonem, potrzeba sporo czasu i mimo wszystko chyba też zgody rodziny.

– Czy ktoś mi wreszcie powie, o co tu chodzi? – dobitnie zażądała Jadwiga, spoglądając to na męża, to na skuloną Józefinę. Jednak znów ją zignorowano.

– Nie w tym rzecz. Arkadiusz nie ma rodziców, jest sierotą z domu dziecka.

– Nie ma żadnej rodziny? Rodzeństwa?

– Ma. Siostrę. Ale ona utknęła gdzieś w świecie i nie mamy z nią kontaktu. Zresztą zbyt krótko go znam, nie za długo jesteśmy razem. Nie zdążyliśmy poznać wszystkich członków swoich rodzin. Poza tym Artek nigdy nie tęsknił do więzi rodzinnych.

– Skomplikowany i dziwny człowiek...

– Trzeba znaleźć tę kobietę. Koniecznie! – Jadwiga wreszcie zaczęła się orientować w sytuacji.

– Po co? – Józefina znów wzruszyła ramionami. – Mam swój honor. Nie będę ganiać za mężem i jego siostrą, by błagać o miłość.

– Ależ tu nie chodzi tylko o ciebie – obruszył się Adam. – Macie dziecko, a ono potrzebuje was obojga.

– Wiedziałam! – Józefina znów się rozplakała. – Wiedziałam, że Basia wam przeszkadza! Już jej nie chcecie!

– Co ty mówisz, kobieto! – wyrwała się Jadwiga. – My kochamy naszą Basiulkę! Wnosi tyle radości do tego domu. Tym bardziej teraz, kiedy... kiedy...

– Spokojnie, miłe panie. Opanujmy emocje. – Adam przejął rolę mediatora. – List wyjaśnia dużo, ale nie załatwia niczego. Powinnaś porozmawiać z mężem. Wytłumaczyć mu, poprosić.

– Jak to sobie wyobrażasz? – oburzyła się Józefina. – Mam jechać do Szczecina, szukać go po klasztorach i prosić o litość?



– Choćby i tak! Czasem trzeba się chwytać różnych sposobów, żeby osiągnąć cel. Walczysz przecież o dziecko, a to nierówna walka.

– Nie stać mnie na to! – Józefina hardo podniosła głowę. – Mam swoją ambicję!

– Czasem warto schować ją do kieszeni...

– Nie używam kieszeni! – przerwała obcesowo jego pouczenie.

Wszyscy zamilkli. W pełną napięcia ciszę wdarł się głos pomocy domowej

– Mam podawać drugie, proszę pani?

– Nie teraz, Ludko, nie teraz. – Zniecierpliwiona Jadwiga machnęła ręką. – Później zjemy.

– Ale mam już gotowe, potem wystygnie. – Ludka nie ustępowała. – Mogę podać drugie danie, proszę pani?

– Ludko, mamy teraz ważniejsze sprawy na głowie – łagodnie zbeształ ją pan domu.

– A ja chyba jednak mam ochotę – nieśmiało odezwała się Józefina. – Zjadłabym coś ciepłego.

Przy stole od razu wszczął się ruch; zabielił się obrus i zadzwoniły sztućce. Wraz z Ludką przywędrowały z kuchni zapachy smakowitych dań, którymi już nikt nie pogardził. Powoli nawiązywała się rozmowa pełna znaków zapytania, ale spokojna i prowadząca do celu, którym było dobro dziecka. Nie zdająca sobie z niczego sprawy Basia bawiła się beztrudnie w drugim pokoju. Raz po raz dolatywał stamtąd jej zaraźliwy śmiech. Dorośli przy stole na moment przerwali rozmowę. Józefina podniosła głowę, Adam uśmiechał się do własnych myśli, a Jadwiga kilkakrotnie westchnęła, zasłuchana w dźwięczny głosik małego dziecka.

– Adasiu? – zapytała cicho.

– Tak, Wisiu?

– Czy my... Czy będziemy musieli już oddać naszą Basiulkę?

Adam usłyszał w jej głosie strach.

– Porozmawiamy o tym przy herbacie. – I zwracając się w stronę kuchni, rzekł donośnie: – Ludko, herbatę proszę do saloniku!

– Za moment podam, proszę pana – oświadczyła Ludka, pojawiając się w progu pokoju. – Potem już będę z dziećmi w ogródku. Trzeba wykorzystać piękną pogodę, bo zima była szara i przydługa... Pani życzy sobie czegoś jeszcze?

– Dziękuję, Ludko. Możesz bawić się z dziećmi. Chyba że... Chyba że Józefina ma inne plany. – Jadwiga spojrzała na matkę Basi z niepokojem. Ta pokręciła głową.

– Nie chcę zmieniać waszych zwyczajów, ja tu jestem... tylko przejazdem. Nacieszę się córeczką i wrócę do mojego pustego życia bez Artka.

– Czy mogę przeczytać ten list? – Jadwiga znów wróciła do niedomówień.

Józefina kiwnęła głową, podsuwając Jadwidze zgniecioną kartkę.

– Czytaj. Nie mam siły już niczego wyjaśniać. Jestem na niego taka zła, że gdybym go teraz dopadła...

– Szukaj go z tym nastawieniem! – Adam podsunął jej pomysł. – Szukaj go i dopadaj – uśmiechnął się. – Może się opamięta.

W miarę czytania Jadwiga coraz szerzej otwierała oczy.

– Co on wyprawia! Chyba oszalał! Chce unieszczęśliwić dziecko?

– I mnie też – cicho dodała Józefina. – A tak nam dobrze było razem. Teraz wszystko zważyło się na moją biedną głowę. I nawet nie mam wsparcia u matki. Domaga się powrotu Basi do domu.

– Jednak! Domyślałam się tego. I co postanowiłaś? – zapytała Jadwiga z lękiem.

– Chciałabym, żeby Basia u was jeszcze trochę pobyla – szepnęła nieśmiało Józefina, spuszczać głowę. – Tu ma dobrze i jest radosna. Jeżeli pozwolicie, będę ją odwiedzać od czasu do czasu. Wkrótce na pewno znajdę pracę, urządzę dom na powrót dziecka i być może mama pogodzi się ze mną. Myślę, że nie potrwa to długo. Jakies kilka tygodni... i zabiorę stąd moją córeczkę. Dam radę bez tego lekkoducha wychować ją na dobrego człowieka. Takiego ojca ona nie potrzebuje.

Jak na zawołanie Basia wpadła do pokoju z *Elementarzem* pod pachą. Zatrzymała się przy progu i oświadczyła radośnie:

– Mamusiu, mamusiu, ja czytam!

Józefina rozpromieniła się całkowicie i uśmiechnęła do córeczki. Milczała z przejęcia. Basia zaś przykucnęła, położyła książkę na podłodze i poszukała tej właściwej stronicy z obrazkami. Potem z otwartym *Elementarzem* skierowała się w stronę stołu, mówiąc:

– O, tutaj, mamusiu, tutaj są te wyrazy. Nituś powiedział, że już umiem je czytać. – I z dumą położyła książkę na kolanach Jadwigi.

Odtąd książki zajmowały w życiu Basi najważniejsze miejsce. Kochała je wszystkie i traktowała z niemal nabożną czcią. Znała treść tych kolorowych, ze sztywnymi okładkami, i tych pisanych na kredowym papierze. Często wracała do przeczytanych bajek i za każdym razem znajdowała w nich coś nowego. Była nadal reżyserem i aktorem swoich krótkich sztuk teatralnych, wystawianych najczęściej na wiśniowych deskach największego pokoju Białego Dworku. Jadwiga doceniała talent dziewczynki, puchła z dumy i z radością obserwowała jej dorastanie. Cieszyły ją wszystkie zabawy dzieci, a także rozmowy na dziwne tematy, poruszane przy różnych okazjach. Najbardziej radowało ją to, że Basia przejęła styl zachowania, mówienia i przyzwyczajenia domowników. Powoli stawała się ich dzieckiem. W Białym Dworku została trochę dłużej niż kilka tygodni. Zdążyła urosnąć, opanować alfabet, nauczyła się samodzielnie czytać, nabrała towarzyskiej ogłady i zaczęła się przygotowywać do szkoły. Sama wybrała sobie plecak i przybory szkolne. Pod czujnym okiem Witolda, który miał już kilkuletni uczniowski staż, codziennie go porządkowała, sprawdzając przy okazji, czy niczego nie brakuje. Różnica wieku między dziećmi nie dzieliła ich, lecz łączyła w przyjaźni i wspólnej nauce. I chociaż siedmiolatka umiała już sprawnie liczyć do pięćdziesięciu i czytała dość biegle, z utęsknieniem czekała

na rozpoczęcie nauki w tej samej szkole, do której uczęszczał Witold. Oczekiwanie na wrzesień umilały jej własne kompozycje przyśpiewek i znane piosenki, do których, jak dawniej, tworzyła wymyślne kroki taneczne. Z tych dziecinnych upodobań nie zdążyła jeszcze wyrosnąć. Jej dźwięczny głosik nadal słyszany był w całym Dworku, który ostatnio powiększył się o drugą połowę. I chociaż minęło kilka lat, odkąd przybyła do tego domu, ciągle była radością wszystkich, a jej opiekunowie sprawiali wrażenie młodszych niż wtedy, gdy ujrzeli ją po raz pierwszy. Adama i Jadwigę traktowała jak rodziców, mimo że często przypominali jej o Józefinie i Artku, wspólnie oglądali ich zdjęcia i wspominali babcię, mieszkającą gdzieś na wsi. Jej opiekunowie wiedzieli, gdzie znajduje się wieś jej matki, ale nigdy nie zawieźli jej w tamte strony. Basia nigdy też o to nie prosiła. Kiedy wspominali jej poprzednie życie, zaciskała usta, uciekała spojrzeniem w bok, milkła, a potem szybko zmieniała temat albo wyszukiwała sobie jakieś zajęcie. Nie trzeba było słów, bo i tak rozumieli jej zachowanie. Byli z niej bardzo dumni, wszyscy, nawet Ludomira, która przyłgnęła do rodziny, jak do własnej. Zmienił się też charakter obowiązków niani. Dzieci były już na tyle samodzielne, że nie potrzebowały ciągłej opieki. Witold od rana do wieczora ganiał z kolegami, bo był to jeszcze okres wakacyjny, a Basia nie umiała się pogodzić z jego nieobecnością i buntowała się po swojemu. Chciała być zawsze tam, gdzie Witold, choć doskonale wiedziała, że chłopcy mają swoje męskie, małe tajemnice. Jej humory łagodziła Jadwiga, proponując w zamian spacer nad jezioro, z kocykiem, piłką, książką i butelką kompotu z rabarbaru, który uwielbiała. Od razu zapomniała o tym, że koledzy znaczą dla chłopca w tym wieku więcej niż rodzeństwo i dawała się złapać na miłe słowa.

- Basiulku, wróć wieczorem i wtedy pogramy w jakieś gry – obiecywał, gładząc jej puszyste kędziorki. – Ale teraz muszę wyjść, zrozum to.
- Skoro musisz, to idź – powtarzała słowa Adama, niezbyt przekonana.
- Muszę, chłopaki czekają, a żaden z nich nie przyprowdza siostry. Ciebie też nie mogę ciągać za sobą.
- Ale ja nie jestem siostra! – buntowała się nadal. – Ja jestem Basia!
- Tak – potwierdzał słowami swojego mądrego ojca – tak, ty jesteś nasza Basia.
- Basiulka jest tylko jedna – dodawała z dumą.
- Opowiem ci, jak się bawiliśmy. Wieczór jest długi i będzie na to czas. Kiedy wrócę, opowiem ci wszystko!
- Nituś, pamiętaj, opowiesz wszystko! – Dziurkowała jego batystową koszulę opalonym paluszkiem.
- Opowiem. Zawsze ci będę opowiadał wszystko, Basiulku, bo ty przy mnie zostaniesz na zawsze. A chłopaki tylko na chwilę.
- Witoldzie! – Jadwiga oburzała się na słowa syna. – Nie wmawiaj jej takich głupot. Zapamięta sobie, a potem mogą być kłopoty. Jesteś za młody, żeby wpływać na psychikę dziecka. Możesz jej zrobić krzywdę.
- Mamusiu, dobrze wiem, co mówię. – Patrzył Jadwidze prosto w oczy. – Ja

się na pewno z Basiulką ożenie.

– Wszyscy chłopcy w twoim wieku mówią tak samo. – Bagatelizowała jego oświadczenie, chociaż już zasiał w niej ziarno niepokoju. – No, zmykaj, bo chłopaki pewno już się niecierpliwią. Tylko nie wchodź na łódkę, proszę cię, synku, i nie skacz do jeziora. Bądź ostrożny, Witusiu – ostrzegała. Ale chłopiec już nie słuchał; już pędził do zgranej gromadki kolegów pogwizdujących i niecierpliwie wydeptujących chodnik przy bramie Białego Dworku. Potem szybko ładowali się na łódki lub kajaki i wiosłowali do bólu mięśni. Często skakali na główkę w chłodną, niezbyt głęboką toń małego jeziora. Urządzali konkursy pływania na czas, a także mierzyli własną wytrzymałość bez oddechu pod wodą. O tym nigdy się Jadwiga nie dowiedziała. Zaraz po wyjściu chłopca poprawiła makijaż i już z torebką, gotowa do wyjścia, zaproponowała swojej wychowance:

– Jeżeli chcesz zaraz iść ze mną na lody, Basiulku, to zmień szybko skarpetki. Zaczekam na ciebie. Tylko się pośpiesz!

– Obiecałam Basi wspólny spacer na rynek – wtrąciła się do rozmowy Ludka. Stanęła w korytarzu przy lustrze, z koszykiem na zakupy. – Zrobimy drobne zakupy i poczekamy na pana. Miał dziś Basi sprawić większy rower.

– A, tak, teraz sobie przypominam. W takim razie wychodzę na malutką kawusię z koleżankami. Bądź grzeczna, Basiulku. Niedługo wrócę. – Cicho zamknęła za sobą drzwi.

Basia została zdana na łaskę Ludki, co bardzo jej odpowiadało. Z nią spędzała większość czasu w długie letnie wieczory. I było miło. Zawsze. Szczególnie wtedy, kiedy Ludka prowadziła ją do swojego mieszkania, pełnego rzeczy pięknych, choć mało przydatnych. Pozwalała dziewczynce buszować w szafie, przebierać się w długie sukienki i udawać postacie ze znanych bajek. Basia wyjątkowo upodobała sobie lnianą sukienkę z wielką ilością koronek wszytych wszędzie, gdzie tylko to było możliwe. Tańczyła w tym dziwacznym przebraniu najczęściej przy muzyce z radia i śpiewała delikatnym głosem. Ludka pozwalała Basi na swobodę, a sama w tym czasie porządkowała mieszkanie, wietrzyła, nieraz myła okna i wieszała świeże firanki. Nie miała dużo roboty; rzadko tu przebywała, więc nie miał kto bałaganić. Odkąd cały Biały Dworek przeszedł w ręce Sonnefieldów, przydzielono jej malutki pokój z widokiem na park. Sama go sobie wybrała. Odtąd w każdej chwili była pod ręką, czuła się z tego powodu kimś ważnym i potrzebnym i inaczej znosiła swoją samotność. Przyłgnęła do tego małego, a jakże radosnego stworzenia, które już na dobre zadomowiło się w Białym Dworku. Ostatnio nawet poświęcała małej Basi więcej czasu niż jej opiekunka.

Sonnefieldowie tymczasem snuli plany związane z dalszym życiem swojej wychowanki, jakby zapomnieli przy tym, że Basia ma rodziców. I że to oni nadal mają największy wpływ na jej dalsze losy. I chociaż są daleko i nieczęsto odwiedzają swoją córeczkę, to jednak z nimi powinni uzgadniać jej przyszłość. Wkrótce przypomnieli im o tym ojciec Basi, który, choć dla nich zupełnie obcy, miał do niej większe prawo.

W sobotnie południe wysoki, nieznajomy mężczyzna z pogodnym uśmiechem zatrzymał się przy bramie Białego Dworku. Burza ciemnych włosów piętrzyła się na kształtnej głowie, okalając wysokie czoło. Chłopięcą figurę okrywało stylowe i gustownie dobrane odzienie. Stapał lekko wzdłuż metalowego ogrodzenia, spoglądając w głąb posesji przez wąskie szczelby, zakończone zakrzywionym i zardzewiałym szpicem. Czekał na kogoś albo też zabrakło mu odwagi, aby nacisnąć guziczek dzwonka przy furtce. Oddalił się, przemaszerował rytmicznym krokiem wzdłuż ogrodzenia, nie spuszczać wzroku z domu, po czym znów zawrócił i zdecydowanym gestem przycisnął dzwonek. W domofonie usłyszał spokojny głos młodej kobiety:

– Kto tam?

– Ja do Basi – rzekł niepewnie, bo zaschło mu w gardle. – Moje nazwisko Sada.

– Proszę chwilę poczekać. – W domofonie zatrzeszczało i zapadła cisza. Odkleił się od furtki i zwrócił tyłem do budynku, w którym miał nadzieję zastać córeczkę. Szczupłe plecy w kolorowej koszulce lekko oparł o zamkniętą bramkę. Zapatrzył się na odrestaurowane kamieniczki po drugiej stronie ulicy, w skupieniu podziwiając ich kształty. Architektura małych miast zawsze chwyciła go za serce, a tutaj wszystko mu się podobało: malutki rynek, nowocześnie urządzony, kamieniczki skromnie przycupnięte wzdłuż uliczek i same uliczki, wyłożone równą kostką, przy których mieściły się przeróżne sklepiki, jakich już się nie spotyka w większych miastach. Nagle za jego plecami rozległ się donośny głos mężczyzny. Aż poderwało go na baczność. Usłyszał syk automatycznie otwieranej furtki. Jeszcze nie zdążył jej pchnąć i wkroczyć do ogrodu, a już wyrosła przed nim postawna postać kobieca.

– Proszę wejść. Państwo czekają na pana.

Stała przed nim tak niespodziewanie, że zaniemógł. Miała w sobie coś urzekającego, chociaż smarkulą dawno przestała być. Pozwolił prowadzić się krótką alejką między wysokimi tujami na ukwiecone tyły domu. Z przyjemnością obserwował zgrabne ruchy jej wysportowanego ciała. Szła przed nim, pełna gracji i wdzięku, co ujęło jego wrażliwą, artystyczną duszę. Kiedy dotarli do wejścia od strony ogrodu, rzuciła przez ramię miłym głosem:

– Proszę tędy. – Wskazała mu pokój umeblowany antykami. – Państwo przyjmą pana za chwilę. – Po czym zniknęła w czeluściach domu tak szybko, jak się pojawiła.

Postąpił trzy kroki w głąb pokoju i stanął twarzą do wejścia. Bardzo był ciekaw opiekunów jego córeczki, prawie tak, jak i jej samej. Nie widział jej przecież kilka lat. Bał się, czy go rozpozna i czy on pozna własne dziecko. Był zły na siebie, że zaczyna się denerwować. Teraz potrzebował tylko spokoju. Czuł też wzbierającą złość na Józefinę, ale jej już musiał tylko wybaczyć.

Do pokoju wszedł mężczyzna, a zaraz za nim kobieta.

– Proszę spocząć – rzekł pan domu po chłodnym powitaniu, po czym wskazał krzeselko naprzeciw biurka. Sam usiadł po drugiej stronie. Jego żona nie

obdarzyła Arkadiusza najmniejszą uwagą. Zajęła jedyny fotel w pokoju i zakładając nogę na nogę, zapaliła papierosa osadzonego w błyszczącej lufce.

– Jak pan tu do nas trafił po tylu latach? – zapytała, nie kryjąc niechęci. – Czego pan od nas chce?

Nie zdążył odpowiedzieć, kiedy padły kolejne pytania.

– Zdaje pan sobie sprawę, że powinienem pana wylegitymować? Dla naszego bezpieczeństwa. – Mężczyzna za biurkiem wykonał nieokreślony ruch ręką.

– Bezpieczeństwa? Nie jestem przecież mordercą – odezwał się Arkadiusz przez zaciśnięte zęby. – Nie jestem złodziejem. Przyszedłem tylko po moją córkę. I nie ruszę się stąd bez niej!

– To się jeszcze okaże! – Kobieta dmuchnęła dymem. – Nie ma pan żadnych podstaw. Może się okazać, że jest pan zwykłym naciągaczem albo jakimś oszustem. – Cedziła słowa, nie patrząc na niego. – Albo najprawdziwszym terrorystą...

– Moja żona, Józefina, podrzuciła wam nasze dziecko.

– Podrzuciła? – Adam posłał mu szybkie spojrzenie. – Tak pan to widzi?

– A gdzie pan był, kiedy ona podejmowała tę trudną decyzję? – Mruknęła elegancka kobieta, gasząc papierosa w popielniczce o wyszukanym kształcie, którą mąż bez słowa jej podsunął.

– To już moja sprawa, nic wam do tego – zachnął się Arkadiusz. – Wiem, że Basia tu jest. Józefina zdradziła mi ten adres i dała pana wizytówkę.

– To i tak niczego nie zmienia, bo umowę spisaliśmy z Józefiną i tylko jej możemy oddać dziecko.

– Jestem ojcem Basi i mam do niej takie samo prawo jak moja żona. Przyszedłem po nią i nie zamierzam bez niej wyjść! – powiedział, podnosząc się z krzesła, ale spokojny głos mężczyzny osadził go na miejscu.

– Proszę się opanować. Przecież nie zamierzamy więzić Basi, oddamy ją prawowitemu ojcu. Tylko skąd mamy wiedzieć, że to akurat pan?

– Mam na to dowody! – Zaczął szarpać kieszenie koszuli. Wyjął stamtąd skórzany portfel. Zanim go otworzył, usłyszał jak kobieta mówi:

– Nie uważa pan, że razem z panem powinna być tu Józefina? Wtedy nie byłoby żadnego problemu.

– Tak, ma pani rację. – Nagle zmiękł i z powrotem usiadł na krześle. – Ale to niemożliwe...

– Jak pan to sobie wyobraża? – Jadwiga jakby nie słyszała dziwnych nut, które pojawiły się w jego głosie. – Chce pan zabrać Basię, ale dokąd? Chyba nie za klasztorną furte! – Nie umiała odmówić sobie złośliwości.

– To już nieaktualne. Domyślałam się, że moja żona mało mówiła o zmianach, jakie u nas zaszły... Nieważne. W każdym razie zabieram stąd Basię. Do widzenia!

– Nie tak szybko, młody człowieku – powstrzymał go spokojny, ale stanowczy głos Adama. – Chcielibyśmy zobaczyć pańskie dokumenty i upewnić się, że jest pan ojcem naszej dziewczynki. To chyba zrozumiałe?

Arkadiusz, który jeszcze przed chwilą gotów był się wylegitymować, teraz

zmienił zdanie.

– Nic mnie to nie obchodzi! Chcę zobaczyć moją córkę i ją stąd zabrać. – Gdzieś z głębi domu doleciał dziecięcy śpiew. – To ona?

– Nie tak szybko, miły panie. Dziecko nie jest workiem ziemniaków, który można wynieść i rzucić byle gdzie – powstrzymał go Adam.

– O czym pan mówi? Nigdy bym jej nie skrzywdził. Miała rodzinę i szczęśliwy dom. I nigdy nie zrozumiałem, co Józefinie strzeliło do głowy, że ją wam oddała.

Jadwiga się skrzywiła.

– Nie zawsze pan o niej pamiętał, mam panu przypomnieć?

– Nie zamierzam się tłumaczyć. To było chwilowe, ale szybko się opamiętałem.

– I dopiero teraz pan po nią przychodzi? – Adam spojrzał na niego podejrzliwie, jednocześnie biorąc żonę za rękę. Jadwiga zagryzła wargi, ale widać było, że z całych sił stara się opanować.

– Basia się już do nas przyzwyczaiła. Traktuje nas jak rodzinę. To by było niehumanitarne ją od nas odrywać. A poza tym...

– Proszę wybaczyć szczerłość. – Adam przerwał żonie. – Sądzi pan, że po kilku latach ona jeszcze pana pamięta?

Zaległa cisza. Artek patrzył w okno, Jadwiga zapalała nowego papierosa, starannie umieszczając go w lufce, Adam zaś nie spuszczał oka z gościa, jakby chciał wzrokiem prześwietlić jego myśli. Nieoczekiwanie ciszę przerwała popularna piosenka, śpiewana delikatnym głosem. Równocześnie usłyszeli, jak ktoś mówi z łagodną naganą:

– Nie śpiewaj tak głośno, Basiu, bo możesz przeszkadzać w rozmowie.

– Nianiu, ja muszę śpiewać, bo mi tak mówi coś tam w środku, we mnie. Muszę ćwiczyć głos.

– Możesz ćwiczyć trochę ciszej.

– Nianiu, oj, nianiu – mruknęła dziewczynka lekceważąco. – Nituś mówił, że muszę nauczyć się słuchać własnego głosu. Przecież chcę zostać aktorką. No to uczę się w ten sposób, ćwiczę i moduluję sceniczny głos.

– A, rób, co chcesz. – W głosie niani słychać było rezygnację. Arkadiuszowi w jednej chwili przed oczami pojawił się obraz córki. Spodziewał się, że ujrzy pulchniutki, roześmiane dziecko z błękitem w oczach, takich samych, jak jego. Chciał się natychmiast zerwać, pobiec jej szukać, ale spojrzenie Adama osadziło go na miejscu. Z tego powodu powiedział zupełnie co innego, niż zamierzał.

– Moja żona miewała chwile, gdy traciła świadomości. Była chora, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziała. To ona narobiła trochę zamieszania, które z takim trudem staram się teraz odkręcić.

– Najłatwiej obarczyć winą kogoś innego niż siebie – mruknął nieprzejednany Adam.

– Ja nie obwiniam Józefiny, ja tylko stwierdzam fakt, jaki miał miejsce.

– My też mieliśmy w dłoni fakt w postaci pana listu. Powiadał pan o swoich nowych planach życiowych, w których nie było miejsca ani dla pańskiej żony, ani dla córki.

– To było dawno... – zachnął się Sada. – I nie jest to teraz waszą sprawą. Wy

nie macie prawa mnie rozliczać. Nie po to tutaj przyszedłem!

– A po co? – padło wyraźne pytanie.

– Przyszedłem po córkę...

– Nadal nie mamy pewności, kim pan jest... – zaczęła Jadwiga, ale Artek przerwał jej niegrzecznie, wstając z krzesła.

– Koniec z targowaniem, miła pani. Rozmawiajmy poważnie. Czy ten głosik należy do... mojej córki? – spytał. Mimo irytacji trudno mu było ukryć wzruszenie. – Natychmiast chcę się z nią zobaczyć.

– Zaraz, zaraz, nie tak szybko, miły panie! – Jadwiga świadomie użyła jego zwrotu i uciszyła go gestem wypiełgnowanej dłoni. – Nie będziemy Basiulki narażać na dodatkowy stres. Na wszystko przyjdzie czas.

– Poza tym nadal nie wiemy, kim pan jest – powtórzył Adam i nie dokończył, bo Artek wyszarpnął z portfela kilka złożonych kartek i fotografii i rzucił je na stół, prosto pod rękę opiekuna córki.

Zaraz też stanął przy oknie i przez firankę obserwował obcy świat, teraz tak bardzo mu nieprzystępny i wrogi. Nie widział już tego piękna na ulicy, które zauroczyło go, zanim wszedł do tego domu. Czuł lęk i niepewność, a także jakiś niesprecyzowany ból, popychający go do wypełniania obowiązków ojcowskich.

– Oddajcie mi dziecko. Jestem ojcem Basi. Musicie mi uwierzyć.

– Nic nie musimy! Basiulka jest nasza! – rzekła Jadwiga łamiących się głosem.

– Wisiu, proszę cię – szepnął Adam zmienionym głosem po zapoznaniu się z trzema dokumentami. – Nie utrudniaj i tak już zagmatwanej sytuacji.

– Nie rozumiem, Adasiu. – Zdziwiona Jadwiga spojrzała na męża. – Nic z tego nie rozumiem. Będziemy musieli oddać naszą Basiulkę?

– Wisiu, nie naszą... Ten pan jest ojcem Basi. Przejrzyj akt urodzenia i metrykę chrztu... A ten trzeci dokument muszę jeszcze raz przeanalizować. To jest akt... akt zgonu, Wisiu.

– Jeszcze mniej rozumiem. Co on ma wspólnego z naszą Basią?

– Och, Wisiu! – westchnął Adam i zwrócił się do Sady: – Czy mógłby mi pan pokazać swój dowód osobisty? Wierzę, że jest pan ojcem Basi, ale mimo to ostrożności nigdy dość. Proszę więc o wybaczenie surowego traktowania pana... i zapraszam na herbatę.

Herbata, stojąca w dzbanku na środku stołu, wydzielala typowy dla jej gatunku aromat. Filiżanki jeszcze były puste i nikt z siedzących nie miał chwilowo ochoty na wypełnienie ich zawartości gorącym płynem. Arkadiusz niespokojnie wlepił wzrok w otwarte drzwi, oczekując tam natychmiastowego pojawienia się córki, Jadwiga ze łzami w oczach jeszcze raz przeglądała akt zgonu, zaś Adam, sumitując się, po raz kolejny prosił ojca Basi o wybaczenie.

– Musi pan zrozumieć naszą nieufność – mówił. – Nigdy pana nie widzieliśmy. Jakże więc zatem moglibyśmy obcemu człowiekowi wydać naszą Basiulkę.

– Panie Artku kochany – szepnęła Jadwiga – nie mogę uwierzyć w to, co czytamy. Szalenie mi przykro...



– Przepraszam pana jeszcze raz za chłodne przyjęcie – tłumaczył się Adam, nieco zażenowany sytuacją, w jakiej się znaleźli. – Mam nadzieję, że pan nam to wybaczy.

– Biedna Basia – użałała się Jadwiga. – Bardzo mi jej żal.

– Wisiu, proszę cię... – wyciszał jej emocje. – Najbardziej biedna w tej sytuacji jest Józefina.

– Już nie. – Spokojny głos Arka przerwał to utyskiwanie. – Już nie cierpi i ma święty spokój.

– Bardzo panu współczuję... i Basi również – rzekł cicho Adam.

– To kiedy ona przyjdzie? – Artek zadał rzeczowe pytanie. – Czekam na moją córkę już wystarczająco długo.

– Zaraz, zaraz tu będzie nasza Basiulka – zapewniła Jadwiga i powoli ruszyła do drzwi. – Zaraz ją przyprowadzę. Muszę tylko nieco ją przygotować.

– Nie zamierzasz jej chyba mówić o Józefinie? – przeraził się Adam.

– Nie. Na pewno ja jej o tym nie powiem. Szanuję jej spokój i ból pana Arka... Zanim jednak Jadwiga wyszła, w pokoju pojawiła się Ludka z gorącym półmiskiem, z którego unosił się świeży zapach wanilii.

– Upiekłam babeczkę błyskawiczną. Pozwoli pani podać na stół? – zwróciła się do Jadwigi.

– A, rób, co chcesz, Ludomiro, już nie mam głowy do niczego. – Jadwiga minęła ją w progu i udała się w głąb domu.

– Proszę się częstować – zachęcała Ludka, stawiając półmisek na stole. – To mój eksperymentalny wypiek na kartoflance. Jeszcze ciepły.

– Ciepły wypiek szkodzi człowiekowi. Doświadczyłem tych przykrości jeszcze w Szczecinie. – Artek nagle ocknął się z zadumy. – Józefina nakarmiła Basię ciepłym makowcem i gdyby nie szybka pomoc lekarska, nie wiem, jak by się to skończyło.

– To co, proszę pana, zabrać to ciasto? – Ludka była przerażona.

– Zostaw, Ludko, babka wystygnie, zanim zaczniemy ją jeść.

– Jak pan sobie życzy, proszę pana – westchnęła z ulgą. Zanim opuściła pokój, usłyszała fragment dalszej opowieści.

– Gdy ją bolało, nosiłem Basię na barana. Długo śpiewałem, aby nie pozwolić jej zasnąć z tym chorym żołądkiem. Mieliśmy taką swoją ulubioną melodyjkę zakończoną frazą: „Barbara, moja córeczka kochana”.

– Śpiewała nam kiedyś taką piosenkę. – Adam nagle przypomniał sobie dziwne kompozycje Basi. – Zresztą Basia bez przerwy śpiewa. Miał pan dziś okazję posłuchać.

– Tak. Słyszałem – potwierdził Artek po chwili, nie spuszczać wzroku z mężczyzny. – To dziecko nic się nie zmieniło. Nadal jest radosne, pogodne i pełne zaskakujących pomysłów. Odnajduję znów tę samą Basię... moją Barbarkę...

Jak na zawołanie w drzwiach pojawiła się Basia, trzymając za rękę dorastającego chłopca. Za nimi stała Jadwiga z wypiekami na twarzy i dziwnym grymasem, który miał być uśmiechem. Z tyłu mignęła wysmukła postać niani

z zaczerwienionym nosem, ocierającej ukradkiem łzy. Artek wlepił wzrok w postać szczupłej, wyrosniętej i pewnej siebie dziewczynki. Wzruszony chłonał jej obraz w całkowitym milczeniu. Ona również utkwiała bystre spojrzenie w przybyszu, nie czując przy tym żadnego onieśmienia. Wzruszenie nie pozwoliło Arkadiuszowi zrobić żadnego sensownego ruchu. Siedział i patrzył na swoją, jakże wyrosniętą już córeczkę. Nie był na to przygotowany. Spodziewał się malutkiej, pulchnej istoty, jaką widział ostatnio. A stała przed nim szczupła, urodziwa pannica z kędziorami wokół zaróżowionej twarzy. Błękit jej oczu wwiercał się prawie do jego mózgu i poruszał uśpione fragmenty pamięci. Jego ciało jednak odmówiło sprawności fizycznej, więc siedział i patrzył, i patrzył, i patrzył...

Dzieci wyglądały co najmniej dziwnie. Chłopiec w przykrótkich bermudach, z podrapanymi kolanami pokrytymi zaschniętymi ranami od wybryków wakacyjnych. Na łokciach przyschnięte strupy gdzieśgdy wisiły w postaci kawałków stwardniałej skóry, co wskazywać mogło też na jego impulsywny charakter albo i zamiłowanie do bójek. Mocno ścisnął drobne paluszki Basi i śmiało patrzył w twarz jej ojca. Basia, omotana kolorowymi szmatkami z szafy Jadwigi, wyglądała zjawiskowo. Co jakiś czas podrzucała nogą przydługie szaty, aby nie zaplątać się w nich przy pierwszym kroku. Widok tych dziwnych przebierańców nasunął Arkadiuszowi myśl, że dzieci mają tu swobodę, pozwala im się na wiele i dobrze czują się w tym domu. Domyślał się, że została przerwana im jakaś szalona, pełna przygód, radosna zabawa, dlatego stanęły w pokoju w takich dziwnych strojach.

– Nie wiem, czy Basi powiedziano, kim jestem – zwrócił się do Jadwigi, kiedy już siadła na dawnym miejscu przy stole.

– Wiem – odezwała się jego córka mocnym głosem. – Mamusia mi powiedziała. Ale ja ciebie nie pamiętam.

– A pamiętasz nasze wspólne malowanie? – zapytał ze ściśniętym gardłem. – A naszą piosenkę pamiętasz, Barbarko?

– Coś tam pamiętam, ale niedużo tego. – Znów owinęła wokół niewidocznych nóg nadmiar kolorowej materii i spytała: – To co? Możemy już wrócić do naszej zabawy? Możemy już iść, mamusiu?

Arkadiusz Sada pozostał bez słowa. Pochylił głowę i starał się ukryć prawdziwe łzy rozpaczy. Wiedział, że twardy mężczyzna nie płacze, ale jak tu zdobyć się na spokój? Przysłonił oczy drżącą ręką i wtedy poczuł klepięcie dłonią w łopatkę i usłyszał cichą propozycję:

– Napijmy się herbaty. Herbata jest dobra na wszystko.

– I jak ja mam zabrać stąd moje dziecko? – wyszeptał. – Barbarka traktuje ten dom jak gniazdo rodzinne. A przecież to moja córka. Jej miejsce jest przy mnie. Józefina zrobiła nam wszystkim wielką krzywdę, teraz do widzę doskonale. I co ja mam robić w tej sytuacji?

– Zastanowimy się wspólnie i wybierzemy najlepsze wyjście – zapewnił Adam.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Chcemy wam pomóc odnaleźć się od nowa – obiecała Jadwiga i szybko dodała: – Basia nic nie wie o Józefinie. Nie

mogłam jej tego powiedzieć.

– Jeszcze nie teraz, Wisiu. Później przyjdzie na to czas. – Adam pocałował rękę zmartwionej żony. – Tymczasem chcielibyśmy usłyszeć historię Józefiny. Chce nam pan opowiedzieć brakujące fragmenty jej życia?

– Józefina cierpiała na bóle głowy – zaczął Artek, ale Jadwiga szybko mu przerwała.

– Wspominała nam o tym, ale ja myślałam, że to zwykła nerwica po tych przejściach z panem.

– Kiedy porobiła konieczne badania okazało się, że choroba była już na tyle zaawansowana, że żadna pomoc nie mogła być skuteczna. I wtedy ja się zjawiłem.

– Przeczuwała coś złego? Wiedziała, że to są objawy poważnej choroby?

– Droga pani, każdy człowiek broni się przed takimi myślami. Józefina również. Podekscytowana urządzała mieszkanie i czekała na Basię. Długo nie dawała namówić się na żadne badania. Twierdziła, że czuje się dobrze, że osłabienie jest tylko chwilowe, a bóle odejdą tak szybko, jak się pojawiły.

– Szkoda, że nie trafił pan do nas wcześniej. Może udałoby się znaleźć dobrą klinikę.

– To i tak nie zmieniliby niczego. Dopadł ją glejak, podstępny i niebezpieczny.

– Glejak, a co to takiego? – zapytała Jadwiga.

– To guz mózgu o najwyższym stopniu złośliwości. Utrudnia całkowitą chirurgiczną resekcję.

– Domyślam się, jak bardzo był uciążliwy – szepnęła Jadwiga, a po chwili spytała cicho: – Długo Józefina cierpiała?

– Na szczęście nie zdążyła zaznać wielu cierpień. Choroba rozwijała się bardzo szybko. Środki uśmierzające wystarczały i łagodziły napady bólu.

– Czy oprócz bólu były jeszcze jakieś inne objawy? – Adam również okazał zainteresowanie.

– Tak, ale znamy tylko te, na które uskarżała się Józefina. – Artek przerwał na moment, by pozwolić napełnić swoją filiżankę świeżą herbata, którą Ludomira przed chwilą przyniosła z kuchni, a następnie kontynuował: – Głównie były to nudności, zawroty i wymioty, szczególnie nasilone rano. I to uśpiło naszą czujność.

– I bóle głowy, o których wspominał pan wcześniej.

– Tak, ale nie to było najgorsze – westchnął. Upił łyk pachnącego beztruskim latem gorącego napoju i niezbyt chętnie ciągnął swą opowieść. – Coraz częściej pojawiały się zaburzenia wzroku, pamięci i mowy. Myliła imiona, a swoją matkę nazywała Basią. Doszły do tego zachwiania równowagi i całkowity brak apetytu.

Ludka w tym czasie napełniła filiżanki gorącym napojem, Jadwiga wygładzała niewidoczne zagniotki na obrusie, zaś Adam w zamyśleniu pocierał czoło, jakby chciał rozmasować zmarszczki. Od czasu do czasu rozmowę w jadalnym przerywały krzyki i śmiechy dziecięcych głosów, dochodzące z głębi domu. Słyszając to, Arkadiusz na chwilę zastygał w bezruchu, po czym wracał do zaczętej rozmowy, udając, że nic a nic do niego nie dotarło i wcale nim nie

wstrząsnęło. A wstrząsnęło nim dogłębnie. Bo oto jego mała córeczka wyraźnie go zlekceważyła i udała się do swoich zajęć, nie zapytawszy o nic z jej dawnego życia. Tłumaczył to sobie upływem czasu i ulotną pamięcią małego dziecka, choć to wcale nie zmniejszało bólu.

Ludomira ociągała się z wyjściem do swoich zajęć tak opornie, że aż bezwstydnie przystanęła w progu. Oparła się ramieniem o futrynę drzwi i chłonęła słowa Arkadiusza tak łakomie, jakby tylko dla niej były przeznaczone. Z wypiekami na twarzy, z oczami utkwionymi w tego nieznanego człowieka, stała ciągle w tym samym miejscu. Dopiero wzrok Jadwigi przypomniał jej o obowiązkach.

– Przepraszam, jestem zajęta – bąknęła niewyraźnie i opuściła pokój. Ale nie poszła do swoich garnków, szcotek, ścierek, pralki i żelazka. Zatrzymała się w pobliżu drzwi i niewidoczna dla reszty domowników, podsłuchiwała bez skrupułów. Nie był dla niej ważny temat i sens rozmowy, lecz głos, który urzekł ją już w pierwszych słowach skierowanych do niej przy furtce. Przymknęła oczy i marzyła, sama zdziwiona tym, że jeszcze to potrafi, po tylu latach samotnego i pracowitego życia. Dotarło do niej, że zawładnął nią głos tego człowieka, a ona jest całkowicie pod jego urokiem. Poczowała jakąś niemoc w sobie i trudno było jej oderwać się od ściany. Głos przybysza docierał do jej mózgu i poruszał uspięne nerwy czucia i chwilowych uniesień. Raptem coś się przy niej zakotłowało, powiało huraganem, zakręciło nią i wyrwało z tego dziwnego odrętwienia, zaciągając ją do kuchni. – Nianiu! – Słyszać było wyraźnie radosny głosik Basi.

– Nianiu, potrzebuję świadków.

– Świadców? – Wyrwana ze świata marzeń Ludka jeszcze nie oprzytomniała na dobre. – Po co?

– Chcę, żeby świadki usłyszeli wyznanie tego głupka!

– Basiu, nie używaj brzydkich słów. Wiesz, że w tym domu dbamy o poprawność języka – zastosowała powiedzenie Jadwigi, dumna, że tak gładko jej przeszło.

– Dobrze, bez „głupka” – zgodziła się Basia po namyśle. – Ale świadki są potrzebne!

– Świadców, Basiulku, świadkowie potrzebni. – Witold pouczył ją cierpliwie.

– Właśnie o tym mówię, ty nadęty głąbie! – Zaśmiała się, stukając chudym paluszkami w jego szczupłą klatkę piersiową. – Niech świadkowie usłyszą, co wygadujesz, głupku.

– Masz rację, Basiulku, jestem głupkiem, ale obietnicy dotrzymam.

– Wiesz, że lubię takie obietnice. I już mi się podoba to, co obiecałeś! – Znów zaśmiała się perliście.

– Co, Basiu? Co ci Wituś obiecał? – Ludkę wreszcie zainteresowało to, co wygadywały dzieciaki.

– Powiem przy świadkach, bo to muszą usłyszeć świadkowie. Idziemy do świadków! – zawołała Basia, zrywając się do galopu. – Goń mnie, Wituś!

Zadarła długą spódnicę, zarzuciła ją na ramiona i już po chwili tupot młodych stóp dał się słyszeć na korytarzu, a potem na schodach. Przeleciał drobnymi

krokami przez pięterko, zadudnił ponownie na stopniach, aż wreszcie ucichł w pokoju jadalnym. Dzieci, głośno posapując, wpadły zarumienione i spocone. Od progu się przekomarzały, a nawet ze złością poszturchiwały. Zwyciężył ostry krzyk dziewczynki. Oderwał dorosłych, siedzących przy stole, od ich spokojnej rozmowy. Podnieśli głowy i z zaciekawieniem przyglądali się Basi, która zatrzymała się na środku pokoju, dmuchała w poskręcana grzywkę i energicznym ruchem niecierpliwych rąk odgarniała włosy z czoła. Zakręciła się potem wokół własnej osi, podrzucając nogami sute fałdy ciężkiej spódnicy omotanej wokół jej łydek, i ze śmiechem oznajmiła:

– Będziecie świadkami tego, co ten głupek chce powiedzieć. Słuchajcie!

– Basiulku, w tym domu zwracamy dużą uwagę na poprawność języka. – Jadwiga powtórzyła swoją zwyczajową kwestię. – Proszę cię, pamiętaj o tym, dziecino.

– Pamiętam, mamusiu, no, przecież pamiętam – zapewniła niedbale Basia. – Ale czy ten głupi głupek... no, Nituś, czy pamięta, co mi obiecał?

– Pamiętam. I zaraz powtórzę. – Witold odważnie wyprostował plecy.

– Powiedz to, niewydarzona pokrako, no, powiedz to przy świadkach, no, powiedz! – zachęcała rozbawiona, stukając go palcem. – Lubię słuchać tego, co mówisz!

– Basiu – łagodnie pouczył ją Adam – zachowuj się. Jesteś przecież młodą damą.

– Dobrze, tatusiu! Ale posłuchajcie Nitusia! No, powiedz to, głupku, przy świadkach. – Walnęła go w plecy aż zadudniło i nagle ufnie przyłgnęła do jego chudego boku. Wyszukał jej rękę, ścisnął ją i wypalił bez skrępowania:

– Przymierzam jej miłość i nie dopuszczę jej aż do śmierci – powiedział wyraźnie, z buntem czternastoletniego młodzieńca. Spojrzał przy tym na rodziców i hardo podniósł głowę, widząc ich nieco zdziwione miny. Adam uśmiechnął się pod wąsem jakoś inaczej niż zwykle, potem roześmiał się głośno i rzekł rozbawiony:

– Jeżeli tyle obiecujesz, to mogę spać spokojnie.

Jadwigę oświadczenie syna nieco zamurowało. Nieznajomy zaś wpatrywał się w młodzieńca ostrym wzrokiem, chcąc od razu odczytać wszystkie jego tajne myśli. Toteż chłopak powtórzył z mocą, jakby specjalnie dla tego obcego, żeby zrozumiał jego zamiary.

– Obiecuję, że nie dopuszczę jej do śmierci.

– No, skoro smarkatej nie dopuścisz do śmierci, to wszyscy możemy odetchnąć z ulgą, mój synu – rzekł ubawiony Adam.

– Ja się z Basiulką ożenię – uściślił Witold z buntem w głosie, żeby sprawa została jasna. A kiedy milczenie przy stole przedłużało się w nieskończoność, powtórzył dobitnie, patrząc ponad głowami zebranych:

– I nikt mi nie zabroni! Ożenię się i już!

Basia tymczasem zakręciła się na pięcie, znów podrzuciła stopą nadmiar materii zalegającej wokół jej nóg i przyśpiewując sobie do taktu, skandowała radośnie. Płasała po pokoju i śpiewała. Potrząsała kędziorami, machała

cienkimi rączkami i mruzczała śpiewnie jakieś niewyraźne sylaby. Wreszcie zatrzymała się w tanecznym półobrocie i dziurkując chudym paluszkiem koszulę na piersi Witolda, zaśpiewała wyraźnie, improwizując własną melodię.

– Nikt nie będzie widział mojego sewela!

W ciągu następnych dni nie było wesoło w Białym Dworcu. Zamyślony Adam codziennie wychodził do swojej fabryki „podpierać komin, żeby się nie przewrócił”, jak często w żartach mawiała jego Jadwiga. Witold ginął na długie godziny wraz z kolegami, ujeżdżając na rowerze po kilkanaście kilometrów z dala od domu albo wypożyczał kajak na przystani, by wiosłować zawzięcie po jeziorze. Jadwiga swój czas dzieliła między dzieci, męża, książki i spotkania z koleżankami w cukierni. Prace domowe całkowicie zepchnęła na barki Ludomiry. Zresztą to właśnie Ludomira najwięcej czasu poświęcała dzieciom. Podczas gdy z zapałem pałaszowali przyrządzane przez nią posiłki, wysłuchiwała w kuchni dziecinnych ploteczek, poznawała fragmenty marzeń i nowości z zakresu zabaw wymyślonych, a urządzanych w ogrodzie. Doskonale orientowała się, jakie koleżanki Basia sprowadzała do domu i jakie zapasy kulinarne ginęły z lodówki podczas tajnych zabaw pod namiotem czy gruszą. I tymi spostrzeżeniami nigdy się z nikim nie dzieliła. Czasem wzdychała, rzucając na Basię ukradkowe spojrzenia, a następnie głaskała jej opalony policzek.

– Ludka, co ty! – Basia opryskliwie reagowała na jej pieszczoty, powtarzając słowa Witolda. – Na czułości ci się zebrało, czy co?

– Tak, trochę – przyznawała Ludka nieśmiało. – Bo gdy patrzę na ciebie, taką naszą i wyrosniętą, to przypominam sobie tamtą kruszynkę, którą Józefina przyprowadziła pewnej zimy.

– Jeżeli chcesz wspominać na smutno, to nie patrz na mnie – mówiła dziewczynka szorstko i odsuwała się od niani, aby nie dosięgnął jej czuły gest.

– A pamiętasz przebieranki w mojej starej szafie? – Ludka szybko zmieniła temat, żeby nie okazać wzruszenia. – Jak chcesz, Basiu, to pójdziemy tam zaraz i wybierzesz sobie najładniejszą sukienkę na pamiątkę. Chcesz?

– Nie obstawiam się pamiątkami – powtórzyła słowa zasłyszane u Jadwigi i szybko spytała:

– A dlaczego na pamiątkę? Chcecie mnie wydać?

– Ja nic nie wiem, Basiu, lepiej idź się bawić. – Niania przeraziła się nagle, że powiedziała za dużo.

– I pójde! Ustroję choinkę na tyłach domu.

– Teraz? Basiu, co za pomysły w środku lata! Nie zmuszaj świata do stawiania na głowie! To nie czas na choinkę!

– I co z tego? Ustroję choinkę! A świat i tak już stoi na głowie! – krzyknęła w pędzie do swoich zabaw w ogrodzie. Ludka tymczasem ciężko usiadła na twardym stołku kuchennym z łezką w oku i wzdychała rytmicznie, chcąc pewno w ten sposób oddalić od tego domu to, co wkrótce miało się wydarzyć. I było nieuniknione. Nikt tego jeszcze głośno nie powiedział, ale i tak wszyscy

mieszkańcy Białego Dworku przeczuwali, że niedługo coś się zmieni. Przemykali teraz ukradkiem, żeby sobie w drogę nie wchodzić, z westchnieniem spoglądali na dziewczynkę i w chwilach samotności zadawali sobie pytanie, jak będzie w tym domu bez tupotu jej młodych stópek, bez śpiewu i wariackich pomysłów, bez pohukiwania na Witolda, no i bez niej samej.

Tylko Basia niczego się nie domyślała. Szykowała się bardzo poważnie do rozpoczęcia kolejnego roku nauki w swojej szkole, w twardej ławce lekcyjnej, przy tablicy i wśród rówieśników. A chociaż dobrze czytała i pisała nie najgorzej, cieszyła się na te prawdziwie dorosłe szkolne chwile ze swymi koleżankami i kolegami. Nie wiedziała jeszcze, że jej dziecinną radość zmienią plany opiekunów. Bo losy dziewczynki już były przesądzone. Czekala ją jeszcze poważna rozmowa, ale tego też się chyba nie domyślała. Na razie spokojnie układała swoje nowe przybory szkolne w eleganckim plecaku i szalała beztrudnie w przydomowym ogrodzie. Na samą myśl o pustce i ciszy, jaka niedługo zapanuje w tym domu, niania głośniej westchnęła. Westchnienie usłyszała Jadwiga, zjawiając się w tym momencie w kuchni. Błyskawicznie ogarnęła wzrokiem niezbyt dokładnie sprzątnięte królestwo Ludki oraz zażawione oczy kobiety i zamiast prosić o kawę, zapytała:

- Stało się coś złego, Ludko? Może źle się poczułaś?
- Nie, nie. To nie to - rzekła niania markotnie.
- A co? - Jadwiga zadała zbyteczne pytanie, bo dobrze wiedziała.
- Tamto.

Jadwiga zrozumiała. Przysiadła obok, na drugim stołeczku. Jej też zaszklili się oczy. Ona także często wzdychała i nie potrafiła jeszcze zmusić się do decydującej rozmowy z Basią. A czas naglił.

- Uzgodniliśmy z ojcem Basi, że ona nowy rok szkolny rozpocznie już w swoim mieście... - Spojrzała bezradnie na pomoc domową i dokończyła: - Ale chyba niepotrzebnie to mówię, bo na pewno wiesz.

- Wiem. - Ludka zrezygnowana pokiwała głową. - Ale jak się człowiek wygada, to lżej się robi na duszy - rzuciła swoją życiową sentencję.

- Wcale nie jest lżej, Ludko. Jest smutek i prawie tragedia. Przyzwyczailiśmy się do tego dziecka... a ono do nas.

- To też wiem.

- I co z tą kawą? - Adam pojawił się w progu kuchni. - Nie będziemy pić?

- Właśnie! - Jadwiga poderwała się z krzeselka podejrzliwie ochoczo, jakby jej od razu trosk ubyło. - Zagadałam się, a przyszłam po kawę.

- Za chwilę podam - zapewniła Ludka. - Woda zaraz się zagotuje.

- Jak ja mam jej to powiedzieć? - zapytała Jadwiga, idąc za Adamem do salonu. - Pomyśli, że jej nie chcemy.

- Tę kwestię już uzgodniliśmy - odrzekł sucho. - Pozostała sprawa matki. Ja mogę tym się zająć, jeżeli wolisz.

- Nie, nie, Adam. Chyba ja to rozegram najlepiej.

- Liczę na to.

- Chciałabym jednak, żeby wszyscy byli przy tej rozmowie...

- Oczywiście. To zrozumiałe.
- Mówisz to z takim spokojem, że aż mnie przerażasz.
- Wisiu! Tylko spokój tu wskazany.
- Trudno mi go zachować...
- Bądź dzielna. - Pocałował rękę żony. - Mnie też nie jest łatwo. Będziemy się wzajemnie wspierać.
- Ale najpierw napijemy się kawy - zdecydowała Jadwiga, gdy niania postawiła dzbanek na środku stołu.

Gorąca kawa nie rozwiązała jednak problemów Białego Dworku. Nadal wisiało nad nimi widmo wyprowadzki Basi do innego miasta, do nowego domu, gdzie samotnie mieszkał jej ojciec. Ten dom urządziła jej matka z pomocą babki i czekał na nią kilka lat. Cała zawierucha z chorobą Józefiny zmieniła wiele w beztróskim dotąd życiu dziecka. Pojawienie się ojca przewróciło dwa światy do góry nogami i chociaż Sonnefieldowie w chwili przyjęcia dziewczynki pod swój dach wiedzieli, że przyjdzie w końcu ta chwila, to jednak niełatwo było im teraz pogodzić się z rozstaniem. Jadwiga wmówiła sobie, że Basia pozostanie z nimi już na zawsze, że będzie ich dzieckiem tak długo, jak sama zechce. Myśl o przekazaniu dziewczynki prawowitemu opiekunowi napawała ją przerażeniem. Bo jakże teraz ma tu być! Basia u prawie obcego mężczyzny, który poza imieniem i nazwiskiem w jej metryce urodzenia nie ma z nią nic wspólnego? Ten człowiek nie zna jej marzeń, przyzwyczajzeń i cech charakteru. Kto wie, czy zdolny jest zatroszczyć się o podstawowe potrzeby dorastającej dziewczynki. Bo przecież Basiulka była ich promyczkiem wnoszącym do tego domu samą radość i poczucie humoru. I to oni sprawowali nad nią pieczę w trudnych momentach zawilego życia jej rodziców. I nie ukrywali też tego, jak bardzo kochali to dziecko, któremu byli gotowi dać o wiele więcej, prócz jawnych uczuć. Basia zaś wiedziała doskonale, że tu był jej dom, z wszystkimi radościami, zabawami, miłością opiekunów i nauką, chociaż z dala od rodziców. Bo to oni zaprzestali odwiedzin i korespondencji. Widocznie oboje wspólnie stwierdzili, że na razie tak musi być, dla dobra ich córki. Basia nie była izolowana od informacji o rodzicach. Wiedziała, że gdzieś tam istnieją i czasem interesują się jej losem, że godzą się na to oddalenie dla dobra ich wszystkich. Wspólnie z opiekunami oglądała tych kilka zdjęć wykonanych okazjonalnie podczas krótkich pobytów Józefiny. Opiekunowie często wspominali jej wczesne dzieciństwo i przypominali, że ma dobrych i kochających rodziców. Równocześnie żarliwie zapewniali, że jest ich perełką błyszczącą talentem i indywidualnością. Ta mała iskierka potrafiła zawojować wszystkich domowników, rozkochać ich w sobie po to, by teraz pozostawić w smutku, łzach i niepewności. Adam również przeżywał nadchodzące rozstanie, ale inaczej niż jego żona. Mężczyźni są tak skonstruowani, że troski, smutek i rozczarowanie potrafią ukryć przed światem i przeżywają to twardo, odważnie i po męsku. Po męsku też patrzył na tę energiczną istotkę, która pobudziła do życia Jadwigę i bezwiednie pomogła jej przebrnąć przez trudny okres po stracie



ukochanej córeczki. Obserwował zachowanie tego dziewięcioletniego dziecka i nie mógł zrozumieć jego postępowania. Tak, jak przed laty Basia gładko pogodziła się z rozstaniem z rodzicami, tak teraz beztrzesko podchodziła do zmiany miejsca zamieszkania. Bez skargi w głosie, bez płaczu, bez buntu i krzyku. Nie mógł pojąć postępowania tego dziecka, jakże innego od zachowania ich rodzzonego syna. Witold, chociaż był chłopcem, przynajmniej okazywał swoje uczucia i nie wstydził się o nich mówić. Zaś Basia, prócz śmiechu, humoru, radości i temperamentu, nie miała w sobie tego dziwnego lęku przed nieznanym, jakiego oczekiwał od małego dziecka. Jakby jej zachowanie było jedną wielką pozą... A może on się mylił w ocenie dziewczynki? Może przemawiała przez niego rozpacz w obliczu nadchodzącego rozstania? Wiedział, że będzie musiał oddać to dziecko, które pokochał jak własne. Może celowo tak oceniał dziewczynkę, żeby łatwiej było mu pogodzić się ze stratą. Poza tym nie był psychologiem i nie do niego należały rozważania na ten temat.

– Basia wie, co ją wkrótce czeka. – Adam przerwał milczenie przy stole. – Tego nikt jej głośno nie powiedział, ale ona wie.

– I ja tak sądzę, bo to mądra dziewczynka. Intuicyjnie wyczuwa zmiany, jakie ją czekają – dodała Jadwiga.

– Przywyknie do nich. Zobaczysz, poradzi sobie w nowym życiu. To dzielna dziewczynka – zapewnił Adam, niezbyt o tym przekonany.

– Adasiu, czy Basia da radę bez nas w nowych warunkach? Jak sobie poradzi z tym... z tym człowiekiem, który wprawdzie jest jej ojcem, ale przecież dla niej to zupełnie obca osoba. Boję się o nią.

– Niepotrzebnie. Zobaczysz, szybko nawiążą nic porozumienia i...

– Chyba nie wierzysz w to, co mówisz! – przerwała mu. – Przecież też się boisz o nią.

– To prawda, mam wątpliwości, bo jakże ich nie mieć, gdy serce mocno przywiązało się do tego dziecka – przyznał otwarcie. – Ale nasza rola już skończona, moja droga.

– Mamy tak po prostu oddać ją temu lekkoduchowi? Adam, ja nie chcę!

– Musimy, przecież to jej ojciec. I nie oceniamy go, póki go dobrze nie poznamy.

– Wieki upłyną do tego czasu, a nasza Basiulka będzie w tym czasie zdana tylko na łaskę tego człowieka o takim dziwnym imieniu. Sam przyznasz, bo co to za imię: Artek!

– Cóż chcesz, moja droga, artystyczne.

– Phi! I taki artysta ma wychowywać nasze dziecko?

– Swoje, Wisiu, swoje dziecko będzie wychowywać. – Uśmiechem starał się rozładować jej napięcie. – O tym to my już musimy pamiętać.

– Patrzysz na tę sprawę przez pryzmat męskiego wygodnictwa, a ja...

– A ja już ubrałam choinkę – oznajmiła Basia, wpadając jak burza do pokoju, czym wprawiła ich w niemałe osłupienie.

– A ja wróciłem głodny jak wilk – dołączył z pretensjami drugi głos.

– Idź do kuchni, synku, Ludka coś ci przygotowuje.

- Nie chcę w kuchni. - Pretensje znów się wzmogły. - Chcę jeść tutaj!
- Czy ty wiesz, że jesteś niegrzeczny? - spokojnie zapytała Jadwiga.
- Tak - odpowiedział hardo. - Wiem.
- Będę musiał poprosić cię, Witoldzie, na rozmowę do gabinetu. Ostatnio niepokoi mnie trochę twoje zachowanie. Bierz przykład z Basi. Z nią nigdy nie mamy kłopotów - rzekł Adam.
- I dobrze, tato! Porozmawiamy. Ale nie porównuj mnie z tą dziewczuchą!
- Witoldzie! Opamiętaj się, synu. Ranisz nas i Basię także.
- I dobrze!
- Witek, zapraszam cię na rozmowę.
- Najpierw chcę jeść! - buntował się dalej. - Chcę jeść właśnie tutaj. Przecież i tak ma się tu odbyć rodzinna narada.

I trwała ta rodzinna narada. Nadchodził zmierzch, a oni nadal siedzieli przy stole z nietkniętą kolacją i oczami wbitymi w Basię. Ludka bez przerwy donosiła jakiś gorący smakołyk, ale nikt nie miał apetytu, mimo jej usilnych nalegań. Dłubali w talerzach i bili się z myślami, których nikt jako pierwszy nie miał odwagi wyrazić. Jadwiga co jakiś czas wzdychała i odwracała twarz, aby ukryć załzawione oczy. Witold bębnił palcami po stole i zawzięcie dzwonił widelcem w pustą talerz, nie reagując na zgorzenie widoczne w oczach matki. Zamyślony Adam spoglądał w okno ponad głowami wszystkich, a niania nie kryła się już w korytarzu, tylko jawnie oparła swoim zwyczajem o futrynę wielkich drzwi i stała tak w bezruchu, patrząc na Basię. Basia intuicją dziewięcioletniego dziecka wyczuwała, że jest najważniejszym punktem życiorysu tej rodziny, aktualnie największą ich troską, a zachowywała się tak, jakby sprawa jej nie dotyczyła.

– Powiesiłam już wszystkie bombki i lametę – pochwaliła się. – Ubrałam choinkę na święta.

– Już to dziś słyszałem – rzekł Adam z uśmiechem – ale nadal nie widzę tej strojnej jodełki.

– Basiulku, poprawnie mówimy: ustroiłam choinkę, bo ubrać można człowieka. Taka drobna uwaga na przyszłość, kochanie, i dbaj o poprawność języka.

– Wisiu, w takiej chwili... – syknął Adam z pretensją.

– Stąd nie widać choinki! Kto szuka ten znajdzie! – zapewniła Basia, zachowując się tak, jakby uwaga Jadwigi jej nie dotyczyła. – Choinka jest kolorowa i pięknie przystrojona różnymi świecidełkami! I już czeka na święta.

– Na głowę ci padło, głupolu! – wycedził Witold. Spojrzał na matkę, czekając na wychowawczą reprimendę, ale się nie doczekał. – Stroić choinkę w środku lata, to idiotyczny pomysł.

– Może to pomysł idiotyczny, ty czubku jeden! Ale ja miałam cel. Chciałam tu pozostawić coś po sobie. W święta już będę daleko stąd. Z wami już świąt nie spędzę – rzekła dziewczynka, sięgając po dzbanek.

– Basiulku – łzawo szepnęła Jadwiga. – Przyjedziemy po ciebie... i po twojego ojca także, bo chcemy, żebyś była z nami. Bez ciebie to nie będą radosne święta.

– Dlatego na wesoło już dziś przystroiłam choinkę – ciągnęła Basia swoje przechwałki, nie reagując na słowa Jadwigi. – Bo jak mnie tu nie będzie, to zostanie świerk za oknem. Przystrojony. I tylko on będzie radosny. Bo jak ktoś spojrzy na jodełkę, to może o mnie wtedy pomyśli.

– Basiu, nie tylko wtedy będziemy myśleć o tobie. – Adam wyjaśnił spokojnym głosem. – Będiesz w naszych myślach zawsze.

– I zawsze możesz do nas wrócić, Basiulku, w każdej chwili – dopowiedziała Jadwiga. – Ten dom będzie czekał na ciebie...

– I ja też! – wyrwał się z poważną deklaracją Witold. – Zaczekam na ciebie aż dorośniesz i ożenię się z tobą.

– Już to kiedyś mówiłeś, głupi głupku. Nawet przy świadkach to mówiłeś! Dobrze to pamiętam – rzekła z błyskiem w oczach, nachylona nad filiżanką.

– Sądzę, że na takie deklaracje masz jeszcze dużo czasu i nie jest to odpowiedni moment. – Adam uciszył zapędy młodości.

– Ale i tak ożenię się z Basiulką! – Chłopiec upierał się przy swoim postanowieniu.

Basia zacytowała słowa Ludomiry:

– Kto wie, co będzie kiedyś.

– Będzie dobrze, Basiulku, zobaczysz. Wiele zależy od nas samych, bo to my kształtujemy naszą przyszłość. Przekonasz się o tym kiedyś – wtrąciła Jadwiga, patrząc na męża. Ale Basia jej nie słuchała, drażyła temat zaczęty przez Witolda i to do niego zwróciła się teraz, choć patrzyła na Jadwigę.

– Kiedyś lubiałam słuchać, jak mówiłeś, że się ożenisz, chciałam, żebyś to mnie wybrał, żebyś mnie ślubował – powiedziała cicho. – Ale teraz wolę, żebyś milczał. Chyba nie będziesz mógł się ze mną ożenić.

– Przecież obiecałeś! – Szurając krzesłem, zerwał się z miejsca. – Obietnicy trzeba dotrzymywać! A ty obiecałeś!

– Dzieci, o czym wy mówicie! – przeraziła się Jadwiga.

– Małżeństwo to poważna decyzja, mój synu, i nie czas o tym mówić teraz.

– A kiedy, tato? Kiedy, no, kiedy? – przerwał ojcu niegrzecznie. – Powiedz, kiedy? Czy wtedy, gdy mi ją ktoś zabierze?

– To kalkulacje na zimno. Mało dojrzały jesteś, a w grę powinny wchodzić uczucia. A o tym nie wspomniałeś ani słowem.

– I nie wspomnę! – Witek rzucił się do drzwi i z całą mocą młodzieńczej siły zatrzęsął je za sobą, aż z futryny posypał się tynk.

– Witold! – zawołał za nim ojciec. – Tak nie będziemy kończyć rozmowy!

– Zostaw go, Adam. – Jadwiga wstawiła się za synem. – Nikomu nie jest łatwo.

– Od dawna było wiadomo, że to nastąpi – rzekła Basia bezlitośnie. – Nie sądziłam tylko, że będzie mi żal. Bo jest żal i nie chcę odchodzić... Ale moje pragnienia zupełnie nie liczą się w tym domu. I nie mogę nic zrobić, żeby tu zostać. Mogę jedynie na odchodne łupnąć drzwiami tak jak Nituś.

I zanim się zorientowali, wybiegła z pokoju. Chociaż przygotowała ich nieco na ten szalony wybryk, to i tak wszystkich zamurowało dzikie zachowanie układnych dotąd dzieci. Siedzieli z szeroko otwartymi oczami, w których już nawet zdziwienia zabrakło. I choć myśli kłębiły się pod czaszką, żadne z nich nie wypowiedziało ich głośno.

– Adam, ona nie chce odchodzić – szepnęła wreszcie Jadwiga, przerażona tym, co usłyszała.

– Słyszałem. Nie musisz powtarzać.

– Czy jest jakiś szansa na to, żeby mogła zostać u nas?

– Prawo jest po stronie ojca.

– Ale ona nie chce z nim iść!

– Słyszałem! – Podniósł głos i trzasnął pięścią w stół.

– Adam – szepnęła z rozpaczą.

- Prawo jest po stronie ojca – powtórzył już łagodniej.
- A może by tak jeszcze raz dogadać się z Artkiem, ugodowo – odpowiedziała.
- Mam mu zaproponować gotówkę za Basię? – oburzył się Adam. – Nie umiałbym się na to zdobyć! Co ty mi proponujesz?! Wisiu!
- Już sama nie wiem, co mówię. To wszystko dlatego, że nie mogę pogodzić się z jej odejściem... Ale spróbować można. Nie znamy jego moralności – kuszyła.
- Nic o nim nie wiemy...
- Wątpię, czy na to pójdzie. Nie ustąpi i zabierze nam Basię.
- To jest wielce niesprawiedliwe. To przecież z nami spędziła więcej życia niż przy rodzicach. Są chyba na to jakieś paragrafy.
- Nie ma, moja droga. Wiesz dobrze, że dziecko jest u nas nielegalnie.
- A może... może Artek wyraziłby zgodę, żebyśmy Basię adoptowali?
- To też nie wchodzi w rachubę. Artek ma wyznaczony cel, którego jeszcze nie odkryłem. I nie możemy z nim walczyć.
- Czy Basia nie może sama decydować o swoim życiu? Chyba jej słowo miałyby znaczenie w tej sprawie.
- Miałyby, gdyby była pełnoletnia.
- Porozmawiaj z waszym prawnikiem. Może znajdzie coś na naszą korzyść. Adam, proszę cię, przekaż sprawę sądowi, może on znajdzie jakieś dobre wyjście dla naszej Basi. Przecież ona nie chce nas opuszczać.
- Powtarzasz się, Wisiu, i jeszcze bardziej mnie przygnębiasz, bo wiem, że nic nie mogę zrobić w tej sprawie. Musimy ją oddać. Prawo nam nie sprzyja, niestety.
- Ale ja nie chcę rozstawać się z Basią. – Jadwiga nagle się rozplakała, przytulając do męża.
- Ja też nie chcę. Jesteśmy bezsilni, moja droga – stwierdził, całując żonę w czubek głowy.
- Może coś się wyjaśni po rozmowie z jej ojcem. – Wiedziała, że się łudzi, ale to było silniejsze od niej.
- Lepiej nie nabijaj sobie głowy złudzeniami, to łatwiej przez to wszystko przebrniemy.
- Czuję się tak, jakbyśmy własne dziecko oddawali na poniewierkę. – Skrzywiła buzię do płaczu.
- Cicho, moja droga, już ani słowa. – Pogładził jej włosy ciepłą dłonią.
- Witold też bardzo to przeżywa. I reaguje w tak gwałtowny sposób. Przywiązały się do siebie te nasze dzieci.
- Otóż to! – potwierdził Adam. – Pomówmy o Witoldzie i jego zaskakujących oświadczeniach.
- Nie mam teraz głowy do jego wybryku. – Jadwiga zrobiła wychowawczy unik.
- A jeżeli to nie jest wybryk? Jeżeli to coś poważnego? – Adam zaniepokoił się trochę.
- W tym wieku? Adam! On ma dopiero piętnaście lat i fanaberie chłopięce!
- Przypomnij sobie naszą młodość, moja droga! – Uśmiechnął się do własnych

wspomnień. – W tym wieku najłatwiej się zakochać. I takie miłości czasem trwają na wieki.

– Nie chcę teraz o tym myśleć.

I tak trwali w milczącym uścisku, w mroku pokoju, aż zjawiała się Ludka ze świeżą herbata. Zaświeciła kinkiety, zebrała talerze po kolacji i stanąwszy w progu, odezwała się nieproszona.

– Słyszałam państwa rozmowę. I chyba znalazłam wyjście z tej sytuacji – oznajmiła stanowczo.

– Jakiej sytuacji? – Jadwiga nie od razu zrozumiała sens jej wypowiedzi, gdyż jeszcze błędziła myślami przy wydarzeniach, które miały nastąpić.

– No, tej... – Ludka zawiesiła głos.

– Co masz na myśli? – Adam spojrzał na nią wnikliwiej.

– Postaram się pomóc nam wszystkim przebrnąć przez to trudne, co nas wkrótce czeka.

– Chyba nie uda się ominąć prawa. – Adam już się pogodził z tą myślą. – Sytuacja wyraźnie nas przerosła.

– Znalazłam wyjście – powtórzyła Ludka z mocą.

– Chyba nie ma legalnego wyjścia.

– Ale można podstępem coś zawojować – rzekła odważnie.

– Podstępem? – Jadwiga z Adamem unieśli głowy i bystro spojrzeli na kobietę.

– Jak to?

– A tak. Ktoś będzie musiał się poświęcić.

– Kto, Ludko, i w jaki sposób? – zapytali równocześnie, nieco zszokowani.

– Ja się poświęcę – padła wyważona decyzja.

– Co to ma znaczyć, Ludko? – Adam natychmiast zażądał wyjaśnień.

– Wymyśliłam, że mogłabym ojca Basi omotać i namówić na wspólne życie.

– Nie rozumiem. – Adam spojrzał przytomniej. – Po co?

– Ojciec Basi zająłby się wtedy swoim życiem i mną, i nie miałby już takiej potrzeby wychowywania dziecka, którego prawie wcale nie zna.

– Ciebie też nie zna, Ludko – zauważył Adam.

– Jak to tak? – Jadwiga też miała obiekcje. – Wspólne życie bez miłości?

Ludko!

– Może jakieś choć małe uczucie przysłoby we właściwym czasie... Albo i nie. Tymczasem Basia byłaby dalej u nas... to znaczy tutaj.

– On może wcale nie mieć ochoty na ślub – głośno rozmyślał Adam. – I co wtedy z twoim planem?

– Zawsze znajdzie się jakieś wyjście, choćby romans albo kocia łapa – rzekła beztrudnie, wzruszając ramionami. W tym geście podobna była do Basi, ale tego nikt jej przy tej okazji nie powiedział. Sprawa była zbyt poważna, by tropić cechy niektórych domowników. Ważyły się losy całej rodziny i nie było im do śmiechu.

– Oj, Ludko! – roześmiał się jednak Adam. – Porzekadło głosi, że ci, co żyją na kocia łapę, robią to z wielkiej miłości. Podobnie jest z romanssem.

– Czyli nie mam szans, tak pan twierdzi? – zmartwiła się trochę.

– Niczego nie twierdzę, bo nie znam ojca Basi pod kątem amatorów, nazwijmy to otwarciem.

– Ale mogę go trochę wypróbować? – Optymizm na powrót wstąpił w pomoc domową.

Adam zerknął na nią z ukosa.

– Zależy, co masz na myśli, Ludko!

– Pan mnie prawie obraża, jako kobietę, oczywiście. – Ludka użyła słów Jadwigi.

– Pozwól, Adasiu – Jadwiga wmieszała się nagle do rozmowy. – Niech Ludka spróbuje swoich kobiecych sił. To wcale nie jest takie głupie.

– I ty też jesteś przeciwko mnie? – Szelmowsko mrugnął do żony.

– Może Arkadiusz boi się samotności i chce mieć blisko choć jedną osobę? – Jadwiga głośno snuła domysły. – A może naprawdę obudziły się w nim ojcowskie uczucia i pragnie pokierować życiem Basi według zamierzonego planu.

– Albo chce się wywiązać z przyrzeczenia, jakie pewno dał jej matce na łożu śmierci – dopowiedziała niania.

– Wszystkie możliwości trzeba brać pod uwagę. I z najmniejszej nawet szansy należy skorzystać – wytłumaczyła Jadwiga.

– I co? Podkładanie Ludki pod topór ma być tą szansą? – oburzył się Adam.

– Ludka wspomniała, że może się poświęcić dla rodziny...

– Ale ja też tego chcę. Chcę! – Niania wyznała nieśmiało. – Dobrze mi u państwa, ale chętnie spróbuję innego życia.

– Czyżby chodziło o coś więcej, prócz poświęcenia? – domyślił się Adam.

– To też wchodzi w rachubę – wyszeptala skromnie. – Może wcale nie muszę być samotna do końca moich dni.

– Ludko, co ja słyszę! – ucieszyła się Jadwiga. – Masz we mnie na wieki prawdziwego sprzymierzeńca.

– Ale to jeszcze nic pewnego, proszę pani. – Ludka była zawstydzona i trochę zszokowana. Jakby dopiero teraz wyraźnie do niej dotarło, co chciała uczynić. – To zaledwie mój plan malutki. Może głupi, może nic z niego nie wyjdzie...

– I ja tak myślę! Bo jakże można planować życie we dwoje bez zgody drugiego człowieka? – Surowy głos Adama otrzeźwił je trochę. – Poza tym, w ogóle go nie znasz! Ludko.

– Adam, nie psuj nam radości – zaczęła Jadwiga z pretensją, ale Ludka już wtrąciła swoją uwagę:

– Nie zawsze musi być po porządku, tak jak ludzie przywykli i Bóg nakazał!

– Popieram cię, Ludko. Nie jesteś jedyną kobietą, której okazja podsuwa rozwiązanie na nowe życie – pokiwała głową Jadwiga.

– Przecież oni nie znają się zupełnie. – Adam prawie się przeraził, słysząc plany kobiet, i zwrócił się do żony z lekką naganą: – I nie pchaj, Wisiu, łatwowiernej Ludomiry w łapy człowieka, którego wcale nie znamy.

– Zawsze jednak znajdzie się czas na bliższe poznanie. Możemy tę sprawę naświetlić jasno i wyraźnie zanim... zanim Basia stąd odejdzie – zaproponowała

Jadwiga, zapatrzona we własny cel.

– Nie radziłbym wam mieszać w jego w życiu. To niestabilny mężczyzna, mieliśmy na to dowody – rzekł ostro Adam.

– Ludko, ja i tak będę czuwać nad pomyślnością całej sprawy! – zapewniła Jadwiga, nie zwracając uwagi na słowa męża.

– Już ty, Wisiu, lepiej czuwać nad głupim pomysłem naszego syna.

– Masz rację, muszę z nim porozmawiać. Zdaje się, że traktuje to dość poważnie.

– Nie zrobił tego po raz pierwszy – cicho wtrąciła Ludka. – Wiem coś o tym.

– No, to mamy poważny problem, miłe panie – z powagą oświadczył Adam, głośno wzdychając.

– Chyba ja ponoszę największą winę w tym wszystkim – zaniepokoiła się Jadwiga. – Przeoczyłam coś w jego zachowaniu.

– Niczego nie przeoczyłaś, Wisiu. Zwyczajnie, buzują mu hormony. – Adam starał się uspokoić żonę. – Cóż chcesz, moja droga, trudno nie ulec czarowi naszej dziewczynki. Ja też jestem pod jej kobiecym urokiem – przyznał ze śmiechem.

– Sam czujesz, jakie to bolesne, kiedy taką perełkę trzeba oddać obcemu człowiekowi – smutno westchnęła Jadwiga.

– To jej ojciec, Wisiu.

– Czy Basia wie, kiedy ojciec po nią przychodzi? – Niania wyrwała się z pytaniem, co od razu zważyło atmosferę.

– Nie. Jeszcze jej nie mówiliśmy.

– A ja mam cichą nadzieję, że się rozmyśli albo dobrowolnie zrezygnuje i zostawi ją u nas – głośno zamarzyła Ludka.

– Liczysz na to, że może przerazi go samotne wychowywanie córki i stchórzy? – upewnił się Adam.

– Dobrze by było. Mógłby ją przecież zawsze odwiedzać tutaj, w każdej chwili. Niechby już żył sobie tym swoim niestabilnym życiem artysty, byleby naszą Basię pozostawił w spokoju – ekscytowała się Jadwiga.

– Mówisz od rzeczy, moja droga, przecież Basia to jego życie, to jego krew z krwi. To jego córka.

– Sama nie wiem, na co liczę... Wszystko mi jedno, byle ona została z nami.

– Nie masz się co łudzić, Wisiu. Decyzja zapadła – rzekł Adam bezlitośnie.

– To może ja od razu spróbuję z tym Artkiem – wtrąciła się Ludka.

– Oczaruj go, próbuj na niego wpłynąć i rób, co chcesz, byle skutecznie, byle z pożytkiem dla nas wszystkich. – Adam nagle zmienił zdanie. – Masz, Ludko, moje ciche błogosławieństwo.

– Postaram się go przekabacić, może mi się uda. Trzymajcie za mnie kciuki. Robię to z poświęceniem dla naszej Basiulki.

– Oczywiście, rozumiemy... – zapewnił Adam pośpiesznie. – Ale nawet gdyby nie tylko o to ci chodziło, Ludko, też masz nasze przyzwolenie.

– Zauważyliście, jakim on jest przystojnym mężczyzną? – zaczęła Jadwiga, wpatrując się porozumiewawczo w Ludomirę. – Oby tylko okazał się



przyzwoitym człowiekiem.

– Cóż chcesz, moja droga, wiele układów w życiu zależy od kobiecej ręki. To głównie kobieta urabia charakter mężczyzny.

– Lepiej już nic więcej nie mów – przerwała mu ze śmiechem żona – bo Ludce namącimy w głowie. I to do nas będzie później miała pretensje, jeżeli coś jej nie wyjdzie.

– Niepowodzenie też biorę pod uwagę, proszę pani. Najważniejsza jednak w tym wszystkim jest nasza Basia – rzekła niania dobitnie.

– Jeszcze tylko trochę z nami tu pobędzie, a potem... – Jadwiga westchnęła płacziwie.

– Niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba. – Adam rzucił cytatem i uciekł do swoich zajęć w gabinecie.

– Oby tylko nie wyniknęły z tego jakieś kłopoty. – Jadwiga podniosła się z krzesła i udała na górę, do dzieci.

Panowała tu podejrzana cisza. Jadwiga stanęła w progu otwartej dziupli i zarejestrowała brak obecności syna. Wiedziała, gdzie go szukać. Zapukała do drzwi Basi i nie czekając na zaproszenie, bez słowa tam wtargnęła. W mroku pokoju zauważyła wybebeszoną szafę z otwartymi skrzydłami drzwi i niewyraźną sylwetkę syna. Witold siedział na podłodze z wyciągniętymi ramionami, co trochę dziwacznie wyglądało. Dopiero, kiedy oczy przywykły do zmroku, wyłapała sylwetkę drugiego dziecka. Odruchowo sięgnęła do kontaktu i w świetle zobaczyła coś, czego nie spodziewała się ujrzeć. Okrzyk zdziwienia zamarł jej w krtani. Witold, nieczuły na rozbłysłe światło i na obecność nieproszonej osoby, trzymał dłonie Basi, która siedziała w szafie, ze łzami w oczach. Zapatrzeni w siebie trwali w bezruchu. Żadne z nich nie zareagowało, nie odezwało się, nie drgnęło nawet na obecność matki. Widząc to, poczuła się jak intruz. W popłochu cofnęła się, nerwowo wymacała przycisk i wyłączyła światło. Przekonana, że nie docierają do nich żadne słowa, bąknęła jednak niewyraźne „przepraszam”, i po cichu wyszła z pokoju, przymknąwszy za sobą drzwi.

Pokój Basi zachował ten sam klimat, jak podczas jej pobytu. Wszystko wskazywało na to, że nie zniknęła całkowicie z tego miejsca i z pamięci tych, co tu zostali. Pozostała jej garderoba, starannie odwieszona w brzuchatej szafie, i bielizna w szufladkach komódki. Jej ulubione książki i zabawki też leżały nietknięte w tym samym miejscu, w którym je pozostawiła. Ten cichy dom wciąż na nią czekał, choć nigdy od chwili wyjazdu się tu nie pojawiła. A upłynęło już kilka lat. I chociaż często wspominała ją z czułością, nigdy nie zatelefonowała do swoich opiekunów. Nie odpisała na ani jeden list, mimo że zasypywali ją korespondencją. I nigdy też nie odwiedziła swoich opiekunów, chociaż zapewniała w chwili pożegnania, że powróci, jeśli zatęskni. W chwili wyjazdu była spokojna, opanowana i pogodzona z losem. Odpowiadała zdawkowo na pytania Jadwigi. Wszystkie zapewnienia i przestrogi traktowała z uwagą, co uspokajało nieco jej opiekunkę.

– Basiulku, spakowałam ci najbardziej potrzebne rzeczy na teraz – mówiła Jadwiga roztrzęsionym ze zdenerwowania głosem. – Wszystkie zimowe ubrania dostarczymy ci później, córeczko.

– Dobrze, mamusiu.

– Te szkolne przybory i podręczniki masz w plecaku, Wituś ci zapakował.

– Wiem, mamusiu.

– A twoje ulubione książki masz w kartonach, pamiętaj.

– Pamiętam, sama je przecież pakowałam – zabrzmiała sucha odpowiedź.

– Daj spokój, Wisiu, przecież Basiulka nie wybiera się na biegun północny. Będzie z nami w kontakcie i w każdej chwili może zabrać to, co jej będzie potrzebne. Nie porzuca nas na zawsze, tylko chwilowo zmienia adres zamieszkania – przekonywał Adam.

– Tak, tatusiu.

– I pamiętaj, córeczko. – Jadwiga miała łzy w oczach. – Zawsze tu możesz wrócić. Tutaj też jest twoje miejsce.

– Daj spokój, Wisiu, przecież Basia o tym doskonale wie. Nie musisz jej tego bez przerwy przypominać.

– Ale chcę... Chcę, żeby nie zapomniała o nas, bo...

– Pan Sada przyjechał – oznajmiła Ludka i wprowadziła do salonu ojca Basi.

– Basiulku, odezwij się do nas od czasu do czasu, daj znak, że nie zapomniłaś tego domu – poprosiła Jadwiga. – Najlepiej pisz regularnie.

– Nie umiem pisać listów – powiedziała dziewczynka dziwnym tonem, z hardo podniesioną głową.

– To chociaż daj znak, że nie zapomniłaś o nas – rzekła bezradnie Jadwiga, powstrzymując łzy pod wpływem surowego spojrzenia Adama. – Ten dom cały czas czeka na ciebie, córeczko.

– I ja też – zdążył wtrącić Witold, do tej pory uparcie milczący.

– Gotowa jesteś, córeczko? – zapytał beztrąsko Artek.

– Już dawno się spakowałam. Całe wieki na ciebie czekam. Zbyt długo już siedzę tu na walizkach – odpowiedziała z pretensją.

– Przenieśmy te walizki do samochodu – zaproponował Adam. – Panie Artku, pomoże pan? Odwiozę was.

– Pan mi nie dowierza! – obruszył się Sada. – Chce pan sprawdzić, jakie warunki dla niej przygotowałem?

– Niech pan to nazywa, jak pan chce. – Adam zrezygnowany machnął ręką, a po chwili szybko dodał: – Tylko niech mi pan powie, jak pan zamierza dotaszczyć te walizy do pociągu.

– No, tak, nazbierało się trochę tego kłopotu – mruknął ojciec Basi. – Takiej ilości tłumoków naprawdę nie przewidziałem nawet w marzeniach.

– Wielu rzeczy pan nie przewidział, panie Artku. – Adam nie umiał powstrzymać złości, choć się bardzo starał. – A to nie są tłumoki, tylko całe życie naszej Basiulki, zamknięte w walizkach. I proszę mi pomóc załadować je do samochodu.

– Zrobię to z przyjemnością – zapewnił Artek dość lekko.

– A, głównie prawda, panie Artku. – Adam wreszcie dał upust złości, nie wiadomo z jakiego powodu. Czy tylko dlatego, że ten obcy odbierał im perełkę, którą pokochali, czy może dlatego, że nie zdążyli polubić jej ojca, a musieli ją mu odesłać? A może chodziło jeszcze o coś innego? Mieszało mu się w myślach, kiedy tak, pomrukując pod nosem, dokładnie upychał pod wzrokiem Arkadiusza walizki z niewielkim, jak mu się wydawało, dobytkiem Basi.

– Chciałabym, żeby jeszcze ten kosz tu się zmieścił. – Przy samochodzie pojawiła się Ludka.

– A co tu Ludka przygotowała na drogę? – fuknął na nią Adam, nadal na coś zły, wyszarpując z jej rąk ciężki kosz z prowiantem.

– Trochę jedzenia na pierwsze dni, bo podczas przeprowadzki zwykle się o tym zapomina. Nie ma czasu na zakupy.

– To aż tyle tego trzeba było pchać do koszyka?!

– Pani kazała. I o co pan się złości? – burknęła, niezbyt grzecznie.

– Ja się nie złoszczę, mnie po prostu szlag trafia, że tak mało miejsca jest w tym samochodzie!

– Wiadomo już, kto Basię odwiezie? – spytała niania.

– Jak to kto? Ja ją odwieżę! – sapnął, wycierając pot z czoła.

– No, tak, pan musi. Ale ja pytam, kto jeszcze z nią pojedzie, kto ją odprowadzi do nowego domu?

– To już z panią musicie uzgodnić – rzekł ugodowo.

– Nadarza się wspaniała okazja na wycieczkę – zauważył Artek niewinnie.

– Dość beztrudno podchodzi pan do zmian w swoim życiu. – Adam spojrzał na niego złym okiem. – Jeżeli tak samo traktować pan będzie pobyt mojego dziecka w swoim domu, to już mi żal Basiulki.

– Zapomina pan, że to moja córka, i pozwoli pan, że przypomnę... – zaczął Artek, Adam jednak przerwał mu szybko:

– Ja również coś przypomnę! Jest taka przypowieść biblijna o dwóch matkach i dziecku. W walce ustąpiła ta, która kochała.

– Co mi tu pan sugeruje? – Arkadiusz wyprostował plecy. Był teraz jeszcze wyższy niż normalnie. – Zarzuca mi pan, że nie kocham mojego dziecka?

– Kocha pan naszą Basię? I dlatego rozbija pan szczęśliwą rodzinę?

– Według prawa... – próbował Artek ostro i znów został osadzony w miejscu mocnymi słowami:

– Wie pan, gdzie ja mam to pańskie prawo?

– Wie pan co? – Artek nagle zmienił zdanie, odrywając się od samochodu. – Dziękuję za wychowanie mojej córki, dziękuję za opiekę nad nią. Z całym szacunkiem dla państwa, ale z dóbr materialnych darowanych nam dzisiaj nie skorzystam.

– Niech pan schowa swój honor na inną okazję!

– Mam pana dość! – Artek nagle stracił cierpliwość. – Wyraźnie mam dość pana insynuacji! Wyjeżdżam natychmiast!

Zacisnął zęby i wziął głębszy oddech, omijając wzrokiem urażonego jego wybuchem Sonnefelda. Łagodniej popatrzył na Ludkę i powiedział cicho:

- A panią uprzejmie proszę o przywołanie mojej córki. Wracamy pociągiem.
- W tym domu ja wydaję służbie polecenia – syknął Adam uszczypliwie, rozzłoszczony już na dobre.
- Panie Artku, nie można kierować się wyłącznie emocjami, gdy w grę wchodzi dobro dziecka. – Ludka próbowała negocjacji, patrząc jednak na Adama. – Po co rzucać słowa, których potem będzie się żałować.
- Ja już żałuję – opamiętał się Adam – i przepraszam.
- Nie mam jeszcze powodu, żeby czegoś tu żałować i przepraszać – mruknął Sada nieprzejednany.
- Przepraszam za mocne słowa, panie Arkadiuszu – powtórzył Adam, próbując załagodzić swój wybuch sprzed chwili. – Wszyscy jesteśmy podenerwowani.
- Panie Artku, niech pan lepiej pomoże upychać te walizy. – Ludka chciała jeszcze coś dodać, ale wmieszał się Adam, z dziwną łagodnością w głosie:
- Proszę, sam nie dam rady. Zapominam ciągle, że samochód nie jest gumowy i się nie rozciągnie.
- Po prostu za dużo tych walizek – zaczął Artek niewinnie, ale kiedy zobaczył minę Sonnefielda, podniósł ręce obronnym gestem i szybko dodał: – Już nic nie mówię.
- I tak będzie najlepiej! – Adam sapnął głośno.
- Niepotrzebne te wszystkie ceregiele – Arkadiusz jednak nie wytrzymał bez komentarza. – Jedna walizka rozwiązałaby wszystko.
- Tak jak jedno pana słowo zburzyło cały świat dziecka. Niech już pan lepiej milczy.
- Każdy z nas patrzy na to inaczej.
- Możliwe. Ale to nie zmienia faktu, że Basia znajdzie się niedługo w obcym świecie, w innych warunkach niż te, do których tu przywykła.
- Może ja... Może ja mogłabym pomóc Basi na początku – mruknęła Ludka niewyraźnie, patrząc na swego chlebodawcę. – Może dałoby się tak załatwić, aby dziewczynka na początku nie czuła się przez nas odepchnięta.
- Z panią to musisz, Ludko, uzgodnić, nie ze mną.
- To ja idę porozmawiać, żeby nie było za późno. – Ludka biegła w podskokach niczym osiemnastolatka.
- A my z panem coś sobie wyjaśnimy. – Adam zwrócił się do Artka. – Zapraszam pana na rozmowę do gabinetu.
- A kiedy zamknęły się za nimi ciężkie drzwi, Ludka w sypialni odnalazła Jadwigę. Jej pani siedziała na skraju łóżka, tępo zapatrzona w świat za oknem, i nawet nie zareagowała na pukanie. Dopiero kiedy niania, tłumacząc coś, stanęła na progu, Jadwiga ją zauważyła.
- Przepraszam, Ludko. Trochę się zamyśliłam i nie słuchałam, co mówisz.
- Pan prosił, żeby pani zdecydowała, kto pojedzie z Basią.
- A kto ma ochotę odprowadzić naszą dziewczynkę?
- Wszyscy, proszę pani!
- To chyba nie jest możliwe. – Jadwiga wreszcie zrozumiała, czego od niej

oczekują.

– Ktoś musi jechać z Basią, proszę pani.

– Zastanówmy się chwilę. Ze mnie nie byłoby pożytku, bo tylko płakałabym całą drogę, więc odpadam. Witold chyba też nie nadawałby się na tragarza. Prędzej ty, Ludko, okazałabyś się pomocna w tej sytuacji – zastanawiała się głośno. – Chciałabyś jechać z panem i Basią?

– Tak – potwierdziła Ludka w roztargnieniu, myśląc o czymś innym. – Jest coś jeszcze, proszę pani.

– Sada się rozmyślił? – zapytała Jadwiga z wyraźną nadzieją, widząc jednak przeczący ruch głowy, zwątpiła w pomyślnie zakończenie tej przykrew historii.

– Pan zgodził się, abym została u Basi jakiś czas i pomogła jej przyzwycząć się do nowych warunków.

– To dobry pomysł – medytowała Jadwiga. – Co na to ojciec Basi? Zgodził się?

– Nie wiem. Panowie dopiero uzgadniają. Chyba dość ostro...

– To znaczy, że chciałabyś zostać jakiś czas z naszą dziewczynką?

– Mogłabym na początku służyć pomocą i Basi, i jej ojcu, bo on też na pewno jest przerażony tym wszystkim.

– To nawet niezłe rozwiązanie w tej sytuacji. Musimy jednak poczekać na jego decyzję, bo wiesz, Ludko, dwie obce osoby w domu to cała rewolucja w życiu wolnego dotąd człowieka.

– Jestem tego samego zdania. Ale nie od razu zostałabym u nich, bo jeszcze nie przygotowałam potrzebnych rzeczy... I nie wiem, czy chcieliby mnie w swoim domu. No i martwię się, bo pani zostałaby tu sama. Poradzi sobie pani z całym gospodarstwem?

– Dałam radę, kiedy Witold był mały, to i teraz, przy dorosłych mężczyznach, nie powinnam mieć kłopotów. Zresztą jeszcze o tym porozmawiamy. Teraz najważniejsze, co panowie uzgodnili.

– Chyba skończyli rozmowę, bo coś cicho na dole. Pozwoli pani, że pójde do kuchni, bo mogą mnie potrzebować... Dziś nawet obiadu nie zrobiłam przez to zamieszanie.

– A komu chciałoby się jeść, gdy smutek w domu zagościł. Może tylko dzieci niczym się nie przejmują i bez troski bawią.

Ale tak nie było. Jadwiga myliła się bardzo, bo dzieci wyczuwały atmosferę. Czuły się bezsilne, wiedziały, że nic nie mogą poradzić, że i tak zostaną rozdzielone. Siedziały przy tym wielkim stole w salonie i zawzięcie sobie dogryzały. Milkły tylko po to, by nabrać sił do nowych, jeszcze bardziej złośliwych przytyków. Witold siedział naprzeciw Basi i milczał. Patrzył w jej błękitne, jak niezapominajki, rosnące na skraju ogrodu, oczy i walczył z sobą, aby nie szukać sposobu, by ją siłą zatrzymać. I chociaż w myślach przemawiał do niej czułymi słowami, zdziwiony tym, że i on znalazł takie w swoim repertuarze, usta jego miotły same epitety, pełne buntu i złości.

– Teraz to widzę, że nie nadajesz się do naszej rodziny!

– Bo co? – spytała zadziornie.

– Bo każdy z naszej rodziny umiałby zdobyć się na własne zdanie, a ty,

głupolu, nie umiesz się im przeciwstawić! Ty nawet nie posiadasz mocnego kręgosłupa! Jesteś kupą mięsa!

– Jeżeli tak myślisz, to głupi jesteś jak łysy czubek!

– Nie obrażaj mnie w moim domu! I to ty jesteś głupia, jeżeli wyobrażasz sobie, że mam myśli zajęte tobą! Moje myśli są puste!

– To widać, głąbie! Jesteś pustakiem i bezmózgowcem, i szkoda słów, by dalej tu z tobą rozmawiać.

– To nie rozmawiaj, tylko słuchaj! Słuchaj mnie, bo mówię po raz ostatni – rzekł ostro. Zaraz jednak złagodniał. – Proszę cię, zostań, Basiulku. Zostań z nami.

– Nie mogę, Wituś. Dobrze wiesz, że muszę wrócić do ojca – szepnęła prawie niedosłyszalnie.

– Nie musisz! W tamtym domu nikt cię nie kocha, a tutaj... – Przypomniał sobie słowa matki. – Tutaj jesteś naszym promyczkiem i samą radością. I wszystkich cieszy twoja obecność.

– Ciebie też?

– Ja jestem coś innego. Ja nie jestem: *wszyscy* – świadomie użył słów ojca. – Ja jestem ponad to, bo wyjątkowy ze mnie egzemplarz!

– I dlatego cię lubię, mój ty wyjątku. – Uśmiechnęła się do niego.

– A ja dlatego ożenię się z tobą. I nie drocz się ze mną. Chcesz czy nie, i tak się ożenię.

– Dobrze, Nitusiu. Chcę, żeby tak było.

– No, widzisz! Wreszcie zrozumiałaś, że nie masz innego wyjścia – oświadczył cicho.

– Mam wyjście, ale chcę być z tobą.

– A chcesz prezent ode mnie? Przyjmiesz coś na pamiątkę?

– Przyjmę, Nitusiu. Będzie mi się to podobało? Bo ja lubię ładne rzeczy.

– Zawsze cię rozpieszczaliśmy, co teraz wyłazi z ciebie. Jesteś rozpuszczonym bachorem, Basiulku. – Wreszcie uśmiechnął się do niej i nie patrząc na nią, oznajmił z powagą: – Ale ja też w przyszłości będę cię rozpaskudzał.

– No, to rozpaskudzaj mnie i daj wreszcie ten prezent, łysy czubku!

– Wyciągnij ręce przed siebie – rozkazał władczo. – Zamknij na chwilę oczy! Tylko nie podglądaj!

– Nie podglądam. No, Wituś, długo jeszcze? Bo ja nie lubię siedzieć w ciemnościach. – Basia niecierpliwiła się trochę.

– Wytrzymaj jeszcze chwileczkę – sapnął i zaszeleścił jakimiś papierkami. Potem nerwowe palce dotknęły jej ręk i coś chłodnego zatrzymało się na palcu. Równocześnie poczuła mocne targanie kędziorów i wzruszony głos rozległ się przy jej uchu.

– Już! Możesz otworzyć oczy.

Spojrzała na niego. Był lekko zaczerwieniony, a na jego czole lśniły drobne kropelki potu. Jeszcze raz zanurzył chłodne palce w gęstym lesie jej kędziorów i ponownie potarł je. Milczał. Wzruszenie nie pozwalało mu mówić. Basia na szczęście paplała, nie widząc, co przeżywa chłopak. A może tylko udawała, że

tego nie widzi.

– No i co, głupku, z tym prezentem? – Szturchnęła go paluchem. – Jeszcze jedna obiecanka-cacanka, a mnie, głupiej, radość?

– Potwierdzam, jesteś rozpaskudzoną jedynaczką!

– Dostanę ten prezent? A może już się rozmyśliłeś i dasz mi to coś za sto lat?

– Już ci dałem!

I wtedy Basia zauważyła błysk na palcu. To był pierścionek. Mały, srebrny koszyczek, otoczony markasytami, z błyskiem polegiwał na środkowym palcu. Zaledwie trochę za luźny.

– Śliczny – rozczuliła się, podnosząc dłoń bliżej oczu. – Śliczny i akurat na mój palec. Kupowałeś go z myślą o mnie?

– A jak myślisz?

– Myślę, że to wygląda na zaręczyny. Mam rację?

– Nie.

– Nie? To co to jest?

– Nie widzisz, głupolu? – rozżłościł się nagle. – To pierścionek!

– Po co mi go dałeś?

– Na pamiątkę, żebyś pamiętała, że my tutaj, a ty tam.

– Aha. Teraz wiem, po co kobiety dostają pierścionek.

– Nie po co, tylko dlaczego – sprostował wypowiedź.

– Dlaczego: dlaczego? Ale i tak jest piękny. Czy powinnam dziękować, bo nie wiem, jak mam się zachować? Kobiety dziękują za pierścionek? – Znów błysnęła nowym nabytkiem na drobnym paluszku i rzekła ze śmiechem: – Nigdy nie byłam w takiej sytuacji. Nie wiem, co mam robić.

– Nie przeżywaj tego tak, jak żaba okres!

– O, tu jesteście – mruknął Adam, gdy znalazł ich w salonie. – Szukają cię, Basiu.

– Przecież tu jestem cały czas.

– Pora się szykować, Basiulku – oznajmił. – Za chwilę wyjeżdżamy. Już jesteś gotowa?

– Tak. Od kilku lat czekam na ten wyjazd!

Szybko spojrzał na dziewczynkę, potem na Witolda i zanim zdążył coś powiedzieć, chłopak trzasnął drzwiami i popędził na górę. Adam bez słowa pogłaskał rozgrzany policzek Basi i mruknął do siebie:

– Tego chłopaka trzeba wreszcie zacząć wychowywać, bo wyrośnie na wandala i barbarzyńcę.

– Co on wyprawia? – W pokoju nagle pojawiła się Jadwiga. – Adam, rozumiesz coś z jego zachowania?

– On się buntuje, Wisiu.

– Tak jawnie i głośno? – zdziwiła się. – Nigdy nie zachowywał się tak skandalicznie.

– Dojrzewa, Wisiu, i hormony dają znać o sobie.

– Nie poznaję go. Nigdy tak nie trząsał drzwiami, a ostatnio zbyt często wyżyna się na przedmiotach martwych. Może ty, Basiulku, wiesz, co dręczy

Witusia? – Uściskała dziewczynkę i cmoknęła w czoło.

– Ja nic nie wiem, mamusi. Ja już muszę wychodzić.

– Zapamiętaj nasz adres i numer telefonu, i pamiętaj, Basiulku, o tych wszystkich radach... – Jadwiga nakarmiła dziewczynkę przestrogi na drogę i poradami na najbliższą przyszłość. Przytuliła Basię i poprowadziła na tyły domu. Odkryła wtedy, że Basia znów wyszczuplała i urosła, i prawie już sięgała poza jej ramię, co bardzo ją ucieszyło. Znów uściskała dziewczynkę, zostawiła ją przy samochodzie, a następnie poleciła Ludce sprawować nad nią opiekę. Sama cichutko weszła do domu, gdzie z ukrycia na piętrze obserwowała całą scenę pożegnania z Basią.

W kamiennej alejce czekał już Artek, obok samochodu, który miał Basię zawieźć w nieznaną. Adam sprawdzał mocowanie walizek. Ludka wsiadła do auta i posunęła się, żeby zrobić Basi miejsce. Dziewczynka już wsunęła nogę do samochodu, już Ludka wyciągnęła do niej ręce, by ją przygarnąć, kiedy nagle przyszło opamiętanie. Dopiero teraz Basia zrozumiała, co traci, opuszczając ten ciepły dom, pełen serca. Pożałowała tego dobrego życia, troski opiekunów, wspólnych kłótni i zabaw z Witoldem. Poczuła nagły skurcz żołądka i łzy w oczach. Ale zacisnęła zęby, zacięła się i nie rozplakała. Westchnęła tylko cichutko, odsunęła się od niani i szybko wbiegła do domu. Stała w holu, zadarła głowę i głosem scenicznym, takim, żeby celniej doleciał tam, gdzie powinien, z całej siły zawołała:

– Odchodzę!

Nikt jej nie odpowiedział. Jadwiga cicho płakała ukryta za firanką przy oknie na pięterku, a z dziupli Witolda doleciał huk przypominający trzaśnięcie drzwiami.

Z chwilą odejścia Basi wszystko zaczęło się mieszać. Jadwiga szukała zapomnienia w kawie i nalewce. Gotowała na odczepnego, byle co, byle dużo, aby jedzenia starczyło co najmniej na dwa dni. Adam w skórzanej aktówce znosił do domu coraz więcej papierzyk, nad którymi ślęczył znów do późnych godzin nocnych. Witold udawał, że ma dużo nauki i albo przebywał z kolegami na dodatkowych zajęciach pozalekcyjnych, albo w swojej dziupli, gdzie nikt nie sprawdzał, co tam robi, bo każdy miał głowę zajęta własnymi myślami. Bazował na zaufaniu rodziców. Nadal miewał chwile młodzieńczego buntu i choć okazywał je w dość nietypowy sposób, nigdy nie sprowokował rodziców do pouczeń czy wymierzenia mu kary. Snuli się więc drętwo i bezszelestnie, w znieczuleniu na otaczający ich świat. Każdy przeżywał po swojemu rozłąkę z Basią. Witoldowi nie pozostało więc nic innego, jak tylko solidna nauka, by dojść tam, dokąd wyznaczył sobie drogę już w dzieciństwie. Z nauką nie miał żadnych kłopotów i z łatwością przyswajał materiał, był wynagradzany bardzo dobrymi ocenami i świadectwem z wyróżnieniem. Odkąd zabrakło Basi, ucichły dziecięce epitety, nie zawsze łagodne, oraz rozentuzjasmowane rozmowy w ciszy wieczoru. Ucichły też śpiewy i pląsy w rytm spontanicznie komponowanych własnych przyspiewek dziewczynki, a także buntownicze trzaskanie drzwiami.



Wszystko to było jednak miłym akcentem Białego Dworku. I tego akurat brakowało teraz jego domownikom. Jadwiga łapała się na tym, że mimo wszystko w napięciu wyczekuje na kłótnie dzieciaków, na ich gwałtowny tupot na schodach, a nawet i na to barbarzyńskie i gwałtowne buntowanie się. W skupieniu nasłuchiwała śpiewu i śmiechu dzieci, a kiedy to nie przychodziło, wraz z opamiętaniem włączała telewizor lub chwytiała książkę, która po takich dziecięcych sensacjach życia codziennego wydawała się nudą nie do strawienia. Chodziła wtedy na długie spacery alejkami pobliskiego parku, nie zawsze w towarzystwie koleżanek, i często siadała na wygodnej ławeczce w niewielkim, przydomowym ogródku. Jego codzienną pielęgnacją zajmowała się o wczesnych godzinach porannych, nie tyle z konieczności, ile z potrzeby zajęcia rąk i myśli. Musiała w końcu wypełnić godziny samotności. Adam, odgrodzony od jej codzienności ciężkimi drzwiami gabinetu, uważnie analizował dokumenty fabryki i wszystko inne przestało się w tym momencie dla niego liczyć. Ważna była jego fabryka, w której to on był jedyną doskonałością, o czym był gruntownie przeświadczony. Uważał też, że tylko on na wszystkim zna się najlepiej i nikt nie potrafi go zastąpić. W swym przeświadczeniu nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że nic nie jest trwałe i wszystko to mogłoby ulec zmianie.

Wieści nadchodzące od Ludki również nie napawały radością, bo była tam, gdzie Basia, choć potrzebna była tutaj. Ale tego Jadwiga nigdy jej nie powiedziała i udawała radość, że trochę szczęścia rodzinnego spotkało i Ludkę. Kiedy więc któregoś dnia usłyszała w domofonie głos dawnej niani, z radością pobiegła aż do furtki, aby uściskać kobietę, na którą wciąż czekał dawny pokoik.

– Wpadłam na chwilę na rynek, żeby przewietrzyć mieszkanie – oznajmiła Ludka radosnym głosem – i grzechem byłoby nie odwiedzić państwa.

– I ja tak myślę. Nie wybaczyłabym ci tego! Miło cię widzieć, Ludko. – Objęła ją za ramiona. – Napijemy się kawy i wszystko mi opowiesz.

– Co tu opowiadać, proszę pani – zaśmiała się dawna pomoc domowa. – Życie tak prędko upływa, że nie mam czasu rejestrować wydarzeń.

– Zmieniłaś się w tym nowym życiu – zauważyła Jadwiga, kiedy już siedziały przy pełnych filiżankach pachnącego napoju przyrządzonego tym razem przez panią tego domu.

– Troszeczkę, zaledwie tylko troszeczkę. – Znów powiedziała to ze śmiechem – Tak, jak to w życiu bywa.

– No, to opowiedz o tym nowym życiu – zachęciła Jadwiga. – Jesteś szczęśliwa?

– Chyba tak.

– A nasza Basia...? Odnalazła się już w nowych warunkach?

– O, tak, już dawno. Przecież to już minęły prawie trzy lata, odkąd zamieszkała z ojcem. Kończy już podstawówkę.

– Jak ona teraz wygląda? Nasza mała Basiulka...

– Pani nadal tak o niej myśli? Miło wiedzieć, że w tym domu wciąż się ją

wspomina.

– Masz może jej zdjęcie, Ludko? – cicho spytała Jadwiga.

– Nie pomyślałam o tym. – Ludka uciekła oczami w bok. – Na następne spotkanie przywiozę kilka fotek.

– Zmieniła się trochę, urosła moja dziewczynka? – Jadwiga nie kryła wzruszenia.

– Tak! To już duża pannica. Jest szczuplutka jak dawniej i wesoła jak zawsze.

– Ludko, mówisz o niej z wielką dumą – zauważyła Jadwiga. – Polubiłaś chyba naszą Basiulkę. Mam rację?

– Basia przecież zapadła mi w serce już tutaj. Przecież to ja więcej czasu jej poświęcałam niż pani. Lubiłam te chwile z nią, w kuchni czy na spacerze.

– Ja też. Ale teraz... teraz ty jesteś jej opiekunką. Zastępujesz jej matkę.

– Matki nikt jej nie zastąpi. Chociaż... chociaż kiedy tu była, miała lepiej niż kiedyś w domu rodziców.

– Miło to usłyszeć – rozpromieniła się Jadwiga. – A teraz? Ojciec stara się choć trochę jej dogodzić?

– Ja też się staram, proszę pani, stworzyć jej taki dom, w jakim ostatnio przebywała – oburzyła się Ludka, słysząc te pytania. – Przecież to córka mojego męża, którego kocham, to i Basię muszę kochać.

– Musisz, Ludko, czy chcesz? – Jadwiga przyglądała się wnikliwie swojej dawnej pomocy domowej.

– Och, pani mnie zmusza do krępujących wyznań. Basię traktuję jak moją własną córkę, nie tylko dlatego, że jej ojciec... i tak dalej. Nie tylko dlatego, że przywiązałam się do niej, gdy byłam jej nianią. Chcę jej nieba przychylić, bo właściwie to nigdy nie miała domu. Przecież już w dzieciństwie się rozleciał... I zawsze ktoś za to winę ponosił.

– Nie ma sensu osądzać kogokolwiek. Tym bardziej teraz, kiedy Józefina już się nie może obronić – westchnęła Jadwiga.

– Artek też nie był bez winy – dodała Ludka z przekąsem. – Ale tylko Basi szkoda.

– Tak. Czuć było, że pragnęła ciepła i zachwyty.

– A znalazła je tutaj. Tutaj poznała miłość, dobroć i tolerancję. I za to jestem wam wdzięczna... I za wszystko inne też.

– Dziękuję ci za te słowa – wzruszyła się Jadwiga. – Dobrze nam było z naszą dziewczynką, ale teraz nie warto już o tym mówić. Po co wracać do tego, co boli?

– Nie wszystko zależy ode mnie...

– Ludko, przecież wiem i nie mam pretensji. – Jadwiga poklepała ją po dłoni, spokojnie leżącej przy filiżance.

– Przykro mi... Tak wyszło. – Niania próbowała się usprawiedliwić.

– Cieszę się, że to ty, Ludko, jesteś teraz z naszą Basiulką. – Jadwiga poczuła, że zaraz się rozpłacze. – Jestem o nią spokojna, bo wiem, że krzywdy jej nie zrobisz.

– Co też pani mówi?! – obruszyła się Ludka. – Basia jest dla mnie całym

światem, to jakże mogłabym ją skrzywdzić? Wie pani dobrze, że nie mam własnego dziecka. Traktuję ją prawie jak córkę.

– Cieszę się. I dobrze, że właśnie ty jesteś przy niej, razem z Artkiem, oczywiście.

– Basia szybko znalazła wspólny język z ojcem i wspaniale się dogadują – pochwaliła się niania.

– To dobrze. A ty, Ludko, jak się czujesz w nowej sytuacji? Artek jest dobry dla ciebie?

– Dobry, zwyczajny taki i kapryśny, jak każdy artysta. Ale przywykłam już do tego i jestem uległa.

– Nie wiem, czy to dobra metoda na męża...

– Zbyt długo byłam sama, więc zrobię wszystko, żeby samotność już nie wróciła.

– Ludko – uśmiechnęła się Jadwiga – to prawie złota myśl.

– Widać kobieta szczęśliwa potrafi tworzyć złote myśli.

– Powiesz mi coś o ojcu Basi?

– Nie ma o czym mówić, proszę pani.

– Nadal pracuje w muzeum?

– Tak. I bardzo chwali sobie tę robotę. Może wykazać się swoimi uzdolnieniami i może też realizować własne pomysły.

– Mówisz już jego językiem, Ludko – zauważyła Jadwiga.

– Bo jak człowiek nasłucha się takich słów, to sam nie wie, kiedy je wykorzysta w życiu.

– Znów stworzyłaś złotą myśl – zaśmiała się Jadwiga i poklepała ją po łopatce, tak z czystej przyjaźni.

– Witusia nie widzę – zauważyła Ludka. – Jeszcze w szkole?

– Witold uczy się w stolicy – pochwaliła się dumna matka. – Adam znalazł tam liceum dla uzdolnionej młodzieży i nasz syn został przyjęty bez żadnego problemu. Jako jeden z niewielu wybranych.

– Nie jest to chyba takie zwykłe liceum, proszę pani, jeżeli przyjmują tam wybranych uczniów. – Kobieta chciała się przypodobać dawnej chlebobdawczyni.

– To nie jest tak, jak myślisz, Ludko. Witold zdał egzaminy i jego wzorowe świadectwo też miało na to wpływ.

– Gratuluję. Zawsze w niego wierzyłam, jeszcze w czasach, kiedy chodził ze mną na ławeczkę pod kościół.

– A wiesz, Ludko, że ta ławeczka nadal tam stoi?

– To dobrze, proszę pani. Odświeżę wspomnienia przed wyjazdem i też tam posiedzę kilka chwil. Przypomnę sobie czasy, kiedy Wituś puszczał w ruch bączka, podcinając go bacikiem.

– Kiedy to było... – Jadwiga westchnęła z rozrzewnieniem. – A jednak to były dobre czasy, Ludko, i jakże inne od tych dzisiejszych.

– Były inne, to prawda. – Ludka przytaknęła własnym myślom. – Nawet i dzieci teraz tak się nie bawią, jak kiedyś. Mają inne zainteresowania. O, choćby nasza Basia. Ona nadal ma te same pragnienia. Nadal marzy o scenie.

– Wiesz, Ludko, często wracam pamięcią do tego, jak pewnego dnia, na środku tego pokoju, chudym paluszkami dziurkowała koszulę Witka i zapewniała go z ogniem w oczach, że zostanie aktorką.

– Jeszcze jej to nie przeszło – zapewniła niania z dumą. – Chyba pošlemy ją do szkoły teatralnej. Szukamy już dla niej odpowiedniego liceum.

– Podobno jest takie liceum artystyczne w Toruniu.

– To wiemy, Artek rozmawiał już z dyrektorem tej szkoły. Tylko nie wiadomo jeszcze, czy w tym roku będzie nabór na interesujący ją profil.

– To macie prawdziwe zmartwienie, Ludko – zaśmiała się Jadwiga, widząc, z jaką powagą kobieta przeżywa to wszystko. – Gdybyś potrzebowała pomocy, możesz na mnie liczyć.

– Dziękuję pani, na razie dobrze sobie radzimy, bo Artek ma znajomości, nieźle zarabia i zdrowie mu dopisuje.

– Dopóki znów nie zeświruje – niespodziewanie wymknęło się Jadwidze. Ludomira nie wyglądała jednak na urażoną.

– Raz to nie zawsze, proszę pani. Gdyby planował jakieś zmiany w życiu, to nie zabiegałby tak o wygody Basi i moje zachcianki.

– A zabiega? – mruknęła z przekąsem Jadwiga, mając w pamięci historię Józefiny.

– Stara się, jak potrafi. – Widać było, że Ludka jest zawiedziona nieufnością Jadwigi. – A pani go nie lubi. Nawet nie wiem, dlaczego.

– Wybacz mi, Ludko, ale nie ufam temu twojemu Artkowi.

– Pójdę już – chłodno rzuciła Ludomira i podniosła się z krzeselka. – Odwiedzę jeszcze Nastkę, ławeczkę i wskoczę w nocny pociąg do domu.

– O, to już wiesz, że przybyło nam pociągów w miasteczku? – Jadwiga szybko zmieniła temat.

– Wiem – zapewniła Ludka i dodała: – Wiem i to, że gdyby wtedy, przed laty, był taki pociąg, to nigdy nie spotkalibyśmy Basi ani mojego Arkadiusza.

– Widocznie los tak chciał...

– I za to jestem wdzięczna losowi i wam również.

– Pamiętaj, Ludko, gdybyś potrzebowała pomocy... – Jadwiga szybko ponowiła propozycję, starając się zatrzeć poprzednie wrażenie. – Gdyby Basia potrzebowała czegoś, wiesz, gdzie nas znaleźć. Zawsze pomożemy Basi, i tobie też, Ludko. Weź to pod uwagę.

– Nie będzie takiej potrzeby. – Ludka zbyt szybko odrzuciła propozycję swojej dawnej pani. – Mamy dość wszystkiego, Artek o nas dba, a Basia... Basia niczego nie potrzebuje. Poza tym Artek nie przyjąłby żadnej pomocy od obcych – wymusnęło jej się nieopatrznie.

– Ale od nas, Ludko... od nas może, my jesteśmy prawie jak rodzina Basi. – Jadwiga upierała się przy swoim.

– Artek nigdy się na to nie zgodzi.

– To chociaż ty, Ludko... Pamiętaj, gdybyś kiedyś znalazła się w potrzebie, czeka tu na ciebie twój pokój i nasza życzliwość. Pamiętaj o tym...

– Dziękuję – rzekła Ludka sucho. – Myślę, że nie będzie takiej potrzeby.

– A co z twoim mieszkaniem? – Jadwiga szybko zmieniła niemiły dla nich temat. – Sprzedasz je czy znajdziesz najemcę?

– Chyba wkrótce wynajmę obcym ludziom. Po co ma stać puste, kiedy jeszcze mogę na nim zarobić? Kiedyś chyba sprzedam ten mój skromny lokal, bo po co mi dwa domy?

– Będąc na twoim miejscu, Ludko, zachowałabym je na wszelki wypadek – bąknęła Jadwiga. – Nigdy nie wiadomo, jakie niespodzianki przygotowuje dla nas życie. Różnie może być...

– Pani nie polubiła mojego męża – powtórzyła Ludka ze smutkiem. – A szkoda, bo to naprawdę dobry człowiek.

– Nie znam go, Ludko. Wydaje się być osobą nieodpowiedzialną i lekkiego ducha. Niezbyt dobrze go wspominam. Wybacz mi szczerość.

– Muszę już pędzić. Do widzenia, pani Jadwigo. – Ludomira szybko się pożegnała, ucinając tym samym rozmowę, toteż Jadwiga nie zdążyła zapytać o to, co ją nurtowało podczas wizyty dawnej niani. Dopiero kiedy Ludka była w połowie drogi do furtki, Jadwiga zawołała za nią:

– Ludko!

Kobieta przystanęła natychmiast, przyzwyczajona do rozkazów swojej dawnej chlebodawczyni. Już miała się odwrócić, kiedy padło oczekiwane pytanie, którego nie chciała usłyszeć:

– Może ty wiesz, dlaczego Basia się do nas nie odzywa?

Słyszając je, wyprężyła się, przyspieszyła kroku i prawie biegiem dopadła furtki. Opuszczała Biały Dworek tak szybko, że miało się wrażenie, jakby nie dosłyszała wołania. A może celowo nie chciała odpowiedzieć? Krępujące byłoby wyjaśnianie, a wykrętnej odpowiedzi na pytanie Jadwigi Ludka nie potrafiła wymyśleć. Prawdy zaś nie chciała ujawnić, by oszczędzić przykrości dawnej opiekunce swojej pasierbicy. Wstydziała się przyznać, że Arkadiusz nie życzył sobie żadnych kontaktów z Białym Dworkiem, gdzie jego córka spędziła kilka dobrych lat. Tak długo przekonywał Ludkę do swoich racji, używając propozycji małżeństwa jako argumentu w tych przetargach, że Ludka uległa. Pogodziła się z sytuacją, jaką narzucił jej mąż, i wpłynęła także na Basię. Z Basią zresztą nie było kłopotów pod tym względem, bo dziecko łatwiej i szybciej przyswajało nową sytuację i warunki, w jakich przyszło mu żyć. Za to Ludka wariacko tęskniła do udeptanych ścieżek swojego miasteczka i do ludzi, którzy byli częścią jej poprzedniego życia. Nie przyznawała się do tego, bo chciała zasłużyć na zaufanie mężczyzny, z którym teraz dzieliła swój los. A że samotność nigdy nie była dobrym doradcą w wielu jej życiowych sprawach, postanowiła wszystko zmienić w nowym życiu, aby przypodobać się mężowi. Nawet znajomych starała się nie wspominać, co odpowiadało Arkadiuszowi, a ją trochę uciskało na sumieniu. Ale zawsze ktoś musiał ponosić ofiarę. W tym przypadku to ona przyjęła na siebie rolę pocieszycielki Basi i jej ojca. Tak musiało być i nie było odwrotu. Tym samym chciała uśpić ból własnego sumienia. A bolało. Bolało to, że nie wolno jej było pisać ani dzwonić, zgodnie z umową, choć tak bardzo pragnęła opowiedzieć znajomym o tych dobrych zmianach w jej nowym życiu,

o wszystkich ciekawostkach z życia Basi. I bolało to, że tak nagle musiała zapomnieć o wszystkim, co знаła do tej pory. Na szczęście aktualna sytuacja przedstawiała się pomyślnie, ręce też zawsze miała zajęte robotą, to i myśli szybko uciekały z dawnego życia. Musiała zająć się tym, co teraz było najważniejsze. A życie z kapryśnym artystą nie było łatwe. Warte jednak czegoś, czego brakowało jej w dawnej samotności. Ale o tym szczerze nie mogła porozmawiać nawet z Jadwigą. Będąc ten jedyny raz w domu Sonnefeldów, prawie po trzech latach nieobecności, odkąd odeszła z Basią, zauważyła przygnębienie Jadwigi i jej niezbyt starannie wypieszczony dom, któremu dawniej jej pani poświęcała więcej uwagi. Znała tego przyczynę, ale nie mogła pomóc Jadwidze. Bała się, że utraci to coś swojego, coś, co ofiarował jej los. A za żadną cenę nie chciała wrócić do swojej dawnej samotności! Basia zaś szybko polubiła nowe miasto i choć dotąd była rozpieszczanym dzieckiem, z łatwością przyzwyczała się do nowych warunków i do ojca, który przy najmniejszej nawet okazji zapewniał ją o swoim uczuciu, rozpuszczał bez granic oraz zapewniał takie rozrywki w ciągu dnia, że nie miała czasu na wspomnianie dawnego życia. Dopiero wieczorami przychodziła niekiedy fala smutku za tym, co odpłynęło daleko i chyba na zawsze. Wyobrażała sobie twarze ludzi, z którymi dawniej upływał jej czas, miło i bezkonfliktowo, ale ten sam czas nie pozwalał teraz dłużej zatrzymać się przy tych, których rysy już zacierały się w jej pamięci. Dziewczynka, karmiona zapewnieniami o swoim talencie, dążyła do tego, aby się nim wykazać i mimo wszystko wystąpić na scenie. Już teraz spragniona była podziwu, pochwał i oklaskiwania jej uzdolnień. Artek potrafił ją przekonać, że jest niezwykła, że ma ogromną wyobraźnię. Powoli, ale skutecznie pchał ją w kierunku życia, które dla niej wymyślił. Ludka za to potrzebna była im do karmienia dusz pochwałami, ciała chlebem i podziwianiem ich wyszukanych pomysłów na życie. Bo ich artystyczne dusze unosiły się wysoko nad codziennością. Było jej z tym dobrze. Czuła, że to jej miejsce na ziemi i sądziła, że tak będzie zawsze. Innej opcji nie brała pod uwagę. Była szczęśliwa i przekonana, że Artek odczuwa to samo. Nigdy go o to nie zapytała.

Natomiast artystyczna natura Arkadiusza domagała się dużej wolności, poklasku, uwielbienia i swobody działania pod roziskrzonym wzrokiem wychwalających jego twórczość, a także jego samego. Przy tym pragnął też ciszy i skupienia. Tego zaś nie mógł oczekiwać w domu pełnym śpiewu i głośnych deklamacji, w oparach zapachów kuchennych rozchodzących się po małym mieszkanku. Te trzy pokoiki z kuchnią, z trudem zdobyte jeszcze za czasów panowania Józefiny, to było wszystko, czym dysponował mało przedsiębiorczy artysta. Prócz talentu, oczywiście. I to on zajmował większy pokój, z racji tego, że duże okna wpuszczały więcej światła, tak bardzo potrzebnego mu do pracy. Jego twórczość charakteryzowały zdecydowany pędzel i wysokie dochody, o których nie wiedziały jego kobiety. Ostatnio skąpił nawet na ubrania dla córki, choć ze starych już dawno wyrosła. Trzeba było w pośpiechu przygotować jej wyprawkę do nowej szkoły z internatem, którą nareszcie udało się załatwić.

Basia była ponad te wszystkie zmartwienia i przygotowania do nowej roli

życiowej. Jej zawsze wszystko łatwo przychodziło i bezkonfliktowo upływało jej życie. Teraz też nie okazywała podenerwowania, że niedługo opuści dom rodzinny i rozpocznie samodzielne życie z dala od bliskich.

Wszystko to było raczej zmartwieniem Ludki. Doszło do tego jeszcze i to, że powoli traciła z pasierbicą dobry kontakt i nie była przez nią traktowana tak, jak tego oczekiwała. I nawet nie miała odwagi zwrócić się z problemem do męża, bo i tak zawsze stawał po stronie córki. Porównując warunki, w jakich dotąd egzystowała Basia, Ludka dziwiła się, że dziewczynie wystarczał ten minimalizm, prawie niedostatek. Robiła dużo, aby zapewnić Basi podobne życie do tego, jakie stworzyli jej przed laty opiekunowie w Białym Dworcu, jednak z wiadomych przyczyn nie było to możliwe. Rozmowy z Arkadiuszem na temat pieniędzy najczęściej kończyły się klęską i sprzeczkami.

– Artku, musimy się sprężyć finansowo, bo Basia potrzebuje kilku nowych ubrań – zaczynała, jak zwykle, spokojnie.

– Rozprasza mnie rozmowa o tych przyziemnych sprawach, Ludko. Moja wena cierpi – odpowiadał w zamyśleniu, patrząc na własne dzieło na sztalugach. – To takie prostackie, mówić o pieniądzach.

– Ale konieczne. – Rzeczowo sprowadzała go na ziemię. – Pieniądz rządzi światem, mój romantyku.

– Przecież daję ci pieniądze – przypominał, przyglądając się zmrużonym okiem jakiejś kolorowej plamce na płótnie.

– Ale za mało – ucinała krótko. – To, co dajesz, nie starcza na wszystkie potrzeby. Mimo rezygnacji z wielu rzeczy wystarcza nam zaledwie na skromne życie.

– Gdybyś nie była taka rozrzutna, starczałoby na wiele więcej. Chcesz mi dać do zrozumienia, że za mało zarabiam? – pytał zaczepnie, dalej wpatrzony w kolory na obrazie.

– Nie wiem, ile zarabiasz, i nie obchodzi mnie to – odrzekła, nie patrząc na męża.

– Słusznie, Ludko – zaczął niewyraźnie, z pędzlem w ustach, ale szybko wtrąciła swoje uwagi i pretensje:

– Nie wiem, ile zarabiasz! Wiem natomiast, że za mało dajesz na życie.

– Słyszę pretensję w twoim głosie. Czy ty, Ludko, aby nie przeceniasz swojej roli w moim domu? – powiedział od niechcienia, poprawiając mokrym pędzlem ostrość koloru plamki na płótnie.

– W twoim domu? – zająknęła się, słysząc te przykrości. – Artek, więc to nie jest mój dom? Nie mam swojego miejsca w tej rodzinie?

– Masz, na pewno masz tu swoje miejsce... Ale przy kuchni – wyjaśnił łagodnie, z uśmiechem przyglądając się mokrej jeszcze plamie na płótnie. – Masz też swoje zarobki, moja droga Ludko.

– Moje zarobki? – zdziwiła się. – Jakie zarobki? Nie wiem, o czym mówisz.

– Masz mieszkanie, które przynosi zyski z wynajmu. O tym mówię, moja Ludomiro – kontynuował z szyderczym uśmiechem. – Możesz od czasu do czasu dorzucić coś do wspólnego gospodarstwa, a nie narzekać i stękać, że mało daję

na dom.

– Stękam? – Ludka aż się zapowietrzyła. – Staram się jak potrafię, żeby związać koniec z końcem, a ty mówisz, że...

– Nigdy nie byłaś gospodarna i teraz to się na nas mści. Wyciągasz ręce po pieniądze, które ja zarabiam, a swoje upychasz w skarpetę.

– Wyciągam? – Nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. – Urabiam ręce po łokcie, prowadząc gospodarstwo przy tak małych finansach. Wiesz dobrze, że to umiem. Nabrałam praktyki, bo nigdy w zbytki nie opływałam.

– Możesz wrócić do dawnych zbytków i dalej upychać złotówki w skarpetę na czarną godzinę.

– Krzywdzisz mnie taką rozmową – szepnęła ze łzami w oczach. – Arkadiuszu, zacznym się siebie bać.

– To już coś ciekawszego, bo ciągle przypominanie o wielkiej miłości staje się nudną bajką.

– To ty wiecznie bredzisz, że mnie kochasz – oburzyła się wreszcie.

– Bredzę, moja Ludko? – rzekł dziwnym głosem i spojrzał na żonę wzrokiem, którego trochę się przeraziła. – Obiecuję, że jutro już wrócę do pełnego zdrowia i przestanę bredzić. Już jutro będę zdrowy, koniec bredni, moja Ludko. Obiecuję to, zobaczysz, nie będzie już żadnych bredni i bajek.

– O czym ty mówisz?

– Już ty dobrze wiesz, o czym mówię.

– Zamierzasz nas porzucić? Chcesz po raz drugi popełnić ten sam błąd?

– Kto ci powiedział, że po raz drugi? – Wyprostował szczupłe plecy i chwycił ją za ramię.

– Boli... Artek, to boli – syknęła.

– Życie jest bolesne, moja droga Ludko! Zupełnie inaczej wyglądałoby nasze życie, gdyby... – Nie dokończył zdania, gdyż wpadła Basia, roześmiana, z wypiekami na twarzy.

– Wyjeżdżam na wycieczkę z koleżankami z dawnej klasy – oznajmiła. – Ludko, przygotujesz mi plecak na drogę?

– Basiu, o tym powinien zdecydować twój ojciec. Musisz go zapytać o pozwolenie. – Ludka zdziwiła się lekkomyślnym postępowaniem dziewczyny.

– Basia ma moje pozwolenie, nie muszę nic więcej wiedzieć, a i ciebie, Ludko, nie powinno obchodzić z kim i dokąd wybiera się moja córka.

– Artku, oboje odpowiadamy za jej wychowanie – zaczęła, przekonana, że i tak nie pozwoli jej dokończyć myśli.

– Ja odpowiadam za jej wychowanie, ciebie to nie dotyczy. Ufam mojemu dziecku.

Ludce ręce opadały, gdy to słyszała. Ale wtedy jeszcze tliło się w niej to uczucie uniesienia, radości i prawie euforii z powodu wspólnych dni, i patrzyła na wszystko przez różowe okulary. Jeszcze wtedy była im potrzebna, szczególnie Basi, której poświęcała dużo czasu i dla której miała wiele zrozumienia. Ale to ojciec przewrócił jej w głowie. To ojciec wmówił jej wiele nieistniejących faktów, które zawładnęły młodym umysłem i szybko obróciły się



przeciwko niej. Ludka, znająca surowe życie, domyślała się, jak potoczą się dalsze losy jej wychowanki, ale nie mogła zrobić wiele, bo nad wszystkim czuwał Artek, ze zmarszczonym czołem, za którym gromadziły się nieprzeniknione myśli.

Basia nie interesowała się ani pracą, ani finansami ojca. Wystarczały jej zapewnienia, że jest jego utalentowaną muzą i sama niedługo stanie się znaną osobą. Chciała coś udowodnić sobie i jeszcze komuś. Zapatrzona we własne interesy, nie widziała niepokoju w oczach Ludki i ojcowskiego zamyślenia, dotyczącego nie tylko jej przyszłości. Żyła we własnym świecie egoistycznych przyzwyczajzeń, bo każdy jej kaprys dotąd spełniany był prawie natychmiast. Tak było kiedyś w Białym Dworku i tak było tutaj, w domu ojca. Z czułością pomyślała o swojej opiekunce z dawnych lat. Naprawdę zatęskniła do jej miłego uśmiechu i czułego głaskania po głowie. Tutaj tego nie doświadczała, mimo zapewnień, że jest najważniejszą osobą w życiu tej rodziny. Może ze względu na to, że dorosłość nie lubi czułych gestów, a może były inne powody, by unikać jawnych gestów serdeczności, o której ojciec zapewniał ją bez przerwy. Ale i tak tęskniła do śmiejących się oczu Adama, do sprzeczek z dorastającym Witoldem, nawet do jego szorstkiej ręki, targającej jej loki w geście przyjaźni. Brakowało jej tych miłych wieczorów w gronie dawnej rodziny. Coraz częściej wracała pamięcią do życia w Białym Dworku, chociaż nigdy nikomu by się do tego nie przyznała. Zachowała też dla siebie tajemnicę dotyczącą Witolda. Za jego szturchańcami zatęskniła tak samo mocno, jak za jego głosem. W przypiływie powrotu do dawnych czasów spojrzała na ozdobny klejnocik na serdecznym palcu i westchnęła na wspomnienie rozmowy w dniu wyjazdu. Przyglądała się misternie wykonanej ozdóbce w wianuszkach markasytów migocących w blasku słońca i zauważyła brak jednego świecidełka. Nie chciała zapomnieć o dawnym życiu, o trosce opiekunów, traktujących ją jak własne dziecko, i o tym wszystkim, czego doświadczyła w tamtym domu. Nieraz zapragnęła przytulić się do Jadwigi, potrzymać jej rękę i zobaczyć ciepły wzrok Adama, w którym nigdy nie było nagany, a także poczuć szorstką rękę Witolda na swojej głowie. Ale i tych pragnień nie chciała nikomu zdradzić. Na chwilę przeniosła się myślą do tych szczęśliwych dni z Sonnefieldami i próbowała wyobrazić sobie ich twarze po upływie tych kilku lat. Chciała wiedzieć, co robią, jak się czują. Natychmiast pomyślała też o czułych słowach, jakimi przeważnie zwracała się do niej Jadwiga. Szybko jednak odrzuciła od siebie te myśli i zajęła się zmianami, które wkrótce miały stanowić jej odrębność, jej dom i ciąg dalszy niewiadomego losu w nieznanym jeszcze okolicznościach, z nową szkołą w tle. W dogasających promieniach słońca znów błysnął pierścionek. Z westchnieniem popatrzyła na niego i odrzuciła myśl o tym, co zostało za nią z czasów szczęśliwego dzieciństwa w Białym Dworku.

Tymczasem w życiu Białego Dworku nic się nie zmieniło, prócz tych chwil miłego zamieszania, kiedy Witold przyjeżdżał na krótkie wakacje. Rozmowom nie było końca, spacerów i niewielkich wycieczek poza miasto dawały chwilowe radości i krótkie wspomnienie, że kiedyś było więcej osób w tej rodzinie. Imienia

tej nieobecnej nikt nie miał odwagi głośno wypowiedzieć. Bawiły ich wspólnie oglądane fotografie, wspomnienia z dzieciństwa i ciekawe wydarzenia z życia całej czwórki. I tylko Jadwiga podczas takich wspomnień zdobyła się kiedyś na szczerą rozmowę z dorosłym już synem. Spodziewała się, że może spotkać ją rozczarowanie albo co najmniej nieszczerłość. I choć zwykle rzucała pytanie od niechcienia, i tak obaj mężczyźni wiedzieli, co czuje. Nigdy też nie udało jej się przechytryć swoich domyślnych chłopaków. Mimo to brnęła dalej ze straceniczą odwagą, bo rozmowa na ten temat jej była bardziej potrzebna niż tym twardzielom, za jakich uchodzili.

– Witusiu, pamiętasz jeszcze naszą Basiulkę? – pytała znad fotografii.

– Oczywiście. Fajna była ta smarkata – odpowiadał szybko.

– Wspominasz ją czasem, synu? – Również i ojciec zapytał z ciekawości.

– Czasami, tato, bo było to tak dawno, że już zapomniałem, jak wyglądał ten podlotek.

– Chciałbyś, żeby była razem z nami? – Jadwiga spojrzała na syna.

– Wam, zdaje się, bardziej przydałaby się jej obecność niż mnie. – Spokojnie wyważył odpowiedź. – Zwłaszcza, kiedy już niedługo wyjadę stąd na dłużej. Ale to już chyba niemożliwe, by tu wróciła. To miałaś na myśli, mamó?

– Niezupełnie. Wiem, że Basia ma już swoje życie. Ale mnie jednak troszeczkę brakuje jej tutaj.

– To już dorosła dziewczyna, Wisiu, i nie byłoby teraz tak łatwo sterować jej życiem – zauważył Adam z rozsądkiem.

– Przecież wiem! Ale i tak pusto tu bez niej. Tobie, synu, chyba też brakuje pogawędek z nią.

– Jakie pogawędki! – zaśmiał się Adam. – Przecież oni bez przerwy skakali sobie do oczu! Kłótniom nie było końca, aż tynki ze ścian odpadały.

– Nie zawsze, tato – zaprzeczył Witold ze śmiechem.

– Teraz byłoby inaczej. – Jadwiga chciała powrócić do swoich myśli, Witold jednak szybko jej przerwał.

– Nie jestem tego pewny, mamó. Każde z nas i tak żyłoby własnym życiem, a tylko mijalibyśmy się codziennie, w przelocie do swoich obowiązków.

– Ale bylibyście z nami i rodzina byłaby w komplecie.

– Wcale nie, Wisiu – cicho rzekł Adam. – Basia wybrałaby na pewno naukę w liceum, a Witold już dawno opuścił gniazdo rodzinne. Nigdy więc nie mielibyśmy ich razem. I byłoby tak, jak jest teraz. Raz przyjeżdżałoby jedno, raz drugie.

– Jednak miałabym świadomość, że ich mam dla siebie – szepnęła płacząco.

– Przecież masz mnie. – Adam spojrzał na żonę przekornie. – To ja ci, Wisiu, już nie wystarczam?

– Ty? Adam, ty ciągle gdzieś latasz, a ja jak ten pies przy budzie wciąż czekam, czekam i waruję!

– Moja droga. Nie mogę porzucić pracy, aby w dzień i w nocy składać hołdy twoim zamysłom i pragnieniom. Musisz to zrozumieć.

– Niby muszę... Ale żeby choć Basia była ze mną – westchnęła Jadwiga. –

Może wtedy częściej i Witek by nas odwiedzał.

– Mamusiu – jęknął Witold – wiesz dobrze, jak wygląda mój dzień na uczelni. Teraz, na trzecim roku, będzie podobnie.

– Ale chyba będziesz mógł wyrwać się do domu częściej niż dotąd. Przecież nie musisz się już przed nikim usprawiedliwiać, tak jak kiedyś w liceum – wtrącił ojciec.

– Tato, miałem ostatnio kupę zajęć i tyleż samo obowiązków. Poza tym pracowałem dorywczo już w czasach licealnych. Sam widzisz, że brakowało czasu na częste odwiedziny.

– Nic nam o tym nie mówiłeś, synu. – Ojciec popatrzył na niego z powagą.

– A czym tu się chwalić? Dużo nauki i pracy, a mało pieniędzy.

– Przecież mogliśmy cię wspierać finansowo jeszcze bardziej niż dotąd – rzekł Adam z wyrzutem. – I nadal możemy. Tylko że ty nic nam nigdy nie mówisz.

– Bo właśnie tego chciałem uniknąć. Jestem dorosły i sam powinienem zarobić na siebie. I zarobię. A wam się należą chwile miłego sam na sam i odpoczynku od dzieci.

– Synku, dzieci w tym domu były dobrodziejstwem i samą radością, chociaż nie powiem, wnosiliście wiele zamieszania. Nawet wasze kłótnie uwielbiałam. – Jadwiga uśmiechnęła się nostalgicznie. – Brakuje mi tych waszych sprzeczek.

– Sam nie wiem, czemu niekiedy skakaliśmy sobie do oczu zupełnie niepotrzebnie, bo my jednak lubiliśmy się trochę – mruknął Witold. – Pewno tym się charakteryzowała nasza niedojrzałość.

– A może coś innego kryły w sobie te wasze dziecięce zatargi? – uśmiechnął się Adam.

– A pamiętasz, synku, co jej obiecywałeś? – spytała Jadwiga z niepokojem, który starała się ukryć.

– Coś tam paplałem, mamu. Ale kto by do tego wracał, kiedy świat ma tyle pięknych, dojrzałych ciał do zaoferowania.

Adam się zaniepokoił.

– Synu, jak mam to rozumieć?

– Tato! Daj spokój, dorosłem i jestem mężczyzną, nie małym chłopcem.

– W to nie wątpię, znam datę twoich narodzin. Pamiętaj jednak, że różne trudności czekają na młodych, choćby odpowiedzialność za życie drugiej osoby.

– Tato, kochany! Dziś są inne priorytety i żyje się na pełnym luzie. „Luz, blues i dziura w niebie” – zanucił, patrząc na ojca.

– Tego właśnie obawiałem się zawsze u młodych, a szczególnie u własnego dziecka.

– Dostałeś przecież od nas doskonałe wychowanie – wtrąciła Jadwiga. – Musisz o tym pamiętać, synku.

– Pamiętam, mamu, ale muszę dorównać chłopakom, bo inaczej mnie wyśmieją. Młodość ma swoje prawa.

– Zawsze tak było – westchnął ojciec.

– Tato, teraz nie ma miejsca na sentymenty! Teraz liczą się nieprzewidziane, prawie wyskokowe czyny i kasa, by wygrać w tym wyścigu szczurów. A było ich

kilku w moim liceum.

– No, tak, ale matura już dawno za tobą. Teraz, na studiach, spotykasz nowych ludzi i rozpoczynasz prawdziwe życie, znów z dala od nas.

– Przywykłem już do tej mojej samotności i jestem wam wdzięczny, że tak wcześniej zaakceptowaliście moją samodzielność.

– Nie mieliśmy wyboru – stwierdził Adam z uśmiechem. – Twoje liceum było daleko od domu. Sam je wybrałeś.

– Głupio mi tylko, że nadal siedzę u ojca w kieszeni. Obiecuję, że długo to już nie potrwa.

– To akurat nie powinno cię krępować – odparł Adam spokojnie. – Póki nam sił starczy, będziemy ci pomagać, synu.

– I za to też jestem wam wdzięczny. Wezmę w miesiącu kilka prac zleconych, to będę samowystarczalny i zwolnię was z obowiązku. Muszę znaleźć sposób na własne życie.

– Niepotrzebnie tym się zamartwiasz, synu. – Adam machnął ręką. – Nasza sytuacja materialna pozwala nam pomagać jeszcze i tobie. I wcale nie odczuwamy w związku z tym nadmiernego uszczerbku w naszym budżecie. Poza tobą nie mamy przecież obowiązków względem innych dzieci.

– A Basia naszej pomocy przyjąć nie chce – cicho dodała Jadwiga.

– Moi kochani – Witold przerwał jej z troską w głosie. – Chcę poznać prawdę. Czy nasza Basiulka klepie biedę?

– Nic nie wiemy o ich sytuacji finansowej.

– Rozmawiałam z Ludką... – zaczęła Jadwiga.

– Dzwoniła? – Adam nagle się ożywił.

– Nie. Była tu – przyznała żona ze skrucą.

– Wisiu! I nic nie powiedziałaś?

– Jakoś to przeoczyłam – szepnęła.

– Aha, przeoczyłaś. To znak, że rozmowa nie była po twojej myśli.

– Ano nie była! – przyznała.

– Dowiedziałaś się czegoś ciekawego? – zapytał, patrząc na zmieszaną kobietę.

– Ludka nie powiedziała niczego nowego. Chwaliła Artka jako malarza, mówiła o talencie Basi. Wspomniała też o nowej szkole artystycznej dla naszej dziewczynki.

– Słuszny wybór – potwierdził Adam. – Już u nas jej talent sceniczny był wyraźnie widoczny.

– Ja też się na niej poznałam – z dumą wtrąciła Jadwiga. – Zawsze była dzieckiem utalentowanym.

– Daj spokój, mamgo! – Witek przerwał matce zachwyty. – Z tego Artka taki artysta, jak z mojej kieszeni skarbiec. Basia też nie ma talentu, tylko fantazję.

– Mylisz się, synku. Basia ma duszę artysty.

– Ale to jest i tak stanowczo za mało, aby zostać aktorką! – rozzłościł się nagle.

– Czy mi się wydaje, czy ty jesteś na nią zły? – Ojciec przyjrzał mu się podejrzliwie.

– Ależ skąd! – zapewnił Witold szybko. – Nie mam powodu do złości!  
– To dobrze. Uspokoileś mnie trochę, bo nie chciałym, aby między was wkradła się złość z byle jakiego powodu – rzekł Adam, uśpiony obłudnym zapewnieniem syna.

A Witold naprawdę był zły na Basię. Zły, że zerwała kontakt, zły, że nie znał jej nowego adresu, że nie mógł dotknąć jej kędziorków, nawet popatrzeć na nią nie mógł, a tęsknił jak głupek. Niechby już używała sobie na nim do woli, niechby słowami jeździła na nim jak na łysej kobyle, ale niechby już się odezwała. A ona milczała, jakby nie było między nimi porozumienia, wspólnych zabaw, cichych lekcji i aprobaty jej szaleńczych pomysłów, którym zawsze przyklaskiwał.

– Różnie w życiu bywa, mój synu. – Ojciec kontynuował wypowiedź. – Fortuna zwykle kołem się toczy, zatem chciałym, abyś w razie potrzeby zaopiekował się naszą Basią. Traktuj ją jak siostrę.

– Jaka tam siostra, tato! To zwykła dziewczyna, prawie przybłąda!

– Witek, nie poznaję cię! Nie pozwalam ci tak mówić o Basi – oburzyła się Jadwiga. – Wiesz dobrze, na jakich warunkach przystała do naszej rodziny. Dotąd zawsze traktowałeś ją po bratersku. Byliśmy dumni z ciebie, synu.

– Po siostrzanemu, mamó, po siostrzanemu brzmiałoby lepiej w odniesieniu do naszej sytuacji – zaczął ze śmiechem, ale matka szybko mu przerwała:

– Nie baw się w zawiłe subtelności. Dobrze wiesz, co chciałam powiedzieć.

– Oczywiście, mamó! – potwierdził, nadal się uśmiechając, ale po słowach ojca szybko spowaźniał.

– Odniosłem wrażenie, że lubiłeś Basię. Widać było, że kiedyś dobrze czułeś się w jej towarzystwie. – Ojciec popatrzył na niego przeciągle.

– Tak było, tato, tak było – zapewnił. – Ale to było dawno, a teraz Basia już nie jest tą naszą dziewczynką.

– Dostała takie samo wychowanie jak ty, traktuj ją nadal jak członka naszej rodziny – upominał go ojciec dość ostro.

– Ale i tak jest dla nas obca – upierał się, nie wiedząc dlaczego.

– Wiedziałem, że się na nią złościś – podsumował ojciec, patrząc z ukosa na zbuntowanego syna.

– Tylko trochę, bo mam powód – przyznał otwarcie młody Sonnefield, siadając na wprost ojca. – Posłuchaj, tato. Spędziła z nami kawał czasu, prawie całe dzieciństwo, odeszła, opłakiwana przez nas wszystkich, wiedziała dobrze, czym dla nas była, i nagle wszystko zapomniała. Nawet nie uważała za stosowne okazać wdzięczność.

– Tego akurat nikt od niej nie wymaga – szybko zapewniła go matka.

– Ale powinna się poczuwać, a ten podrzutek milczy!

– Dobrze wiesz, synu, dlaczego znalazła się w naszym domu i na jakich warunkach ją przyjęliśmy. – Znów usłyszał spokojny głos ojca.

– Tego właśnie nie wiem, tato. Sądzę, że przyszedł właściwy moment na wyjaśnienia, bo w tajemnicę jej przybycia akurat nikt mnie wtedy nie wprowadził.

– Witoldzie, błagam! – chrząknął Adam. – Dobrze wiesz, dlaczego Basia u nas została.

– Nie wiem, tato. – Witold upierał się niegrzecznie. – Nigdy o to nie pytałem, bo wydawało się naturalne to, że przyjęliście pod dach osobę potrzebującą pomocy. Poza tym bawiło mnie to dziecko. Teraz jednak proszę o szczegóły.

– Witusiu, ty udajesz, że nie znasz tej sprawy, czy naprawdę nie wiesz? – zdenerwowała się Jadwiga.

– Nie znam szczegółów i chcę je poznać – rzekł z mocą, patrząc na rodziców.

– Po co ci to teraz wiedzieć? Po tylu latach? Po co chcesz wracać do tego, co nas nadal boli?

– Jest może jakiś powód, coś, kochani rodzice, co was powstrzymuje przed odkryciem prawdy? – zakpił Witold. – Nie uważacie, że przyszedł właściwy moment na szczerłość?

– Przecież nie mamy przed tobą, synu, żadnych tajemnic i zawsze szczerze rozmawiamy o wszystkich naszych sprawach! – żarliwie zapewniła Jadwiga.

– A daj już mi spokój i myśl sobie o tej sprawie, co chcesz. – Adam nagle się zdenerwował. – Albo baw się w dochodzenia. Tylko mnie już dłużej nie męcz!

– Nie musisz tak od razu się unosić, tato – zaczął Witold, ale ojciec szybko dokończył swoją myśl:

– Mama zna więcej szczegółów na temat Basi, zwłaszcza po rozmowie z nianią. Chcesz wiedzieć, jej zapytaj. Mnie dajcie spokój!

– Nie złość ojca, Witoldzie. Ma teraz więcej kłopotów w fabryce i częściej jest zdenerwowany. Niepotrzebnie i ty grasz mu na nerwach. – Popatrzyła na syna z wyrzutem.

– Nie słuchaj matki – obruszył się Adam. – Zawsze przesadzała we wszystkim. Teraz też. Fabryka stoi i stać będzie nawet wtedy, kiedy ja będę leżał. I przestańcie już się mną zajmować.

– Tato, czy ty czujesz się gorzej niż zwykle? – zaniepokoił się Witek. Nagle do niego dotarło, że rodzice są już starsi i mają prawo chorować, choćby nie mieściło mu się to w głowie. Poczł się jak szubrawiec, który dla własnej korzyści naraża spokój rodziny. Był zły na Basię, a wyżywał się na niewinnych rodzicach. Zrobiło mu się wstyd, szybko więc bąknął coś na przeprosiny. Ojciec machnął lekceważąco ręką, lecz matka spojrzała na niego miłszym okiem. Atmosfera zrobiła się nieco lżejsza.

– No, to mów o tym wyścigu szczurów – poprosił udobruchany ojciec. Witold miał jeszcze myśli zajęte osóbką z wiecznym uśmiechem na twarzy i głową pełną ciemnych kędziorów. Jeszcze widział ją płasającą na dywanie w tym pokoju, gdy przydługie rękawy jego swetra fruwały nad jej włosami, a już ojciec zmieniał temat. Przypomnił sobie, jak w szalonym tańcu wyśpiwywała mu różne prawdy. I musiał pogodzić się z tym i przyznać jej rację, że jednak już wtedy miała talent aktorski i być może odnajdzie się w teatrze albo w filmie. Tylko zły był na nią za to, że nie mógł teraz pogłaskać jej policzka ani dotknąć kędziorów. I właśnie ta złość przesłaniała mu wszystkie inne uczucia, dlatego z taką szorstkością rozmawiał z rodzicami, bo nie chciał zdradzić swoich

pragnień. Popatrzył na dwójkę starszych ludzi i znów pożałował swoich ostrych słów sprzed chwili.

– Przepraszam was, kochani – rzekł skruszony. – Wychowaliście mnie na prawdziwego mężczyznę, a nie narcyza. Wam zawdzięczam, że nie jestem mięczakiem nieodpornym na niepowodzenia, jak Janusz.

– Wykonaliśmy dobrą robotę – zażartował ojciec z zadowoleniem.

– Tak, tato. Przekonałem się o tym, gdy bliżej poznałem Janusza.

– Sądziłem, że wy, chłopcy z małego miasteczka, już tutaj zdążyliście się poznać. Aż do stolicy musieliście po to jechać?

– Ty żartujesz, tato, a ja się wściekałem. Co z tego, że siedzieliśmy kilka lat w jednej ławce, że razem wy pływaliśmy kajakami i spędzaliśmy wspólnie wakacje każdego roku. Dopiero sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, z dala od domu, pozwoliła mi na niego inaczej spojrzeć.

– Lubiliśmy jego rodziców – przypomniała sobie Jadwiga. – Zawsze byli z niego tacy dumni.

– Oczywiście. Wtedy to wydawało się naturalne, że go chwala. Przekonywali go o jego uzdolnieniach i wmawiali, że jest najlepszy. A on w to wierzył.

– Nie widzę w tym nic nienormalnego.

– I ja nie widziałem, dopóki nie zmierzył się z innymi chłopakami. Na treningach w basenie wcale nie był najlepszy, zamiast pochwał, dostawał nagany. I się załamał. Po rozmowie z dyrektorem jego ojciec wykupił karnet na basen i Janusz ćwiczył pod okiem trenera. Wtedy słyszał to, czego pragnął. Że jest najlepszy, że kariera przed nim.

– I rzeczywiście był najlepszy, bo prócz niego nikogo w basenie w tym czasie nie było! – skwitował Adam ze śmiechem.

– To chore – zauważyła Jadwiga, a Adam dodał:

– Takie postępowanie skrzywiło mu psychikę.

– Zgadza się z tobą, tato. To chyba nie była najlepsza metoda, żeby urabiać charakter, ale pomogła mu uwierzyć, że lepszych od niego nie było na zajęciach w wodzie.

– Czy chodzi ci o to, Witusiu, że za pieniądze wszystko można zdobyć, a świat zacznie kręcić się wokół nas? – zapytała matka.

– Nie tylko, mamó. Raczej o to, że są sposoby, aby udowodnić sobie i innym, że jest się najlepszym.

– Ale to jakim kosztem!

– Nie dość, że drogo, to jeszcze obłudnie – podsumował ojciec. – I tacy ludzie będą szli po trupach do celu, bo wierzą w swoją nieomyślność i doskonałość – przytaknął Witold. – I to właśnie tacy kiedyś poprowadzą firmę i pokierują ludźmi, pełni wiary, że robią to najlepiej!

– Czy ty, synu, nie wpadłeś przypadkiem w kompleksy przy tak doskonale zapowiadającym się koledze? – ze śmiechem zapytał Adam. – Ciebie nikt nie chwalił i nie mówił o twojej doskonałości.

– Bo mnie tam nie było, przy moim chłopcu – cicho zauważyła Jadwiga.

– Nie było to potrzebne. Znam swoją wartość, bez głośkania mnie po głowie.

– Chyba nie powinniśmy oddawać cię do tak odległej szkoły. Teraz wyraźnie widzę swój błąd.

– Mamo! To była prawdziwa szkoła życia, z dala od wygod i waszej nadopiekuńczej troskliwości – zapewnił Witek. – Nauczyłem się samodzielnie decydować o własnych losach. I na dobre mi to wyszło.

– Ale nie było nikogo, kto głaskałby cię po głowie, synu. – Ojciec uśmiechnął się zadowolony z postawy swojego jedynaka.

– I właśnie to zrobiło ze mnie twardziela!

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że twardziel nie lubi czułości.

– Lubi, tato, lubi. – Witek z uśmiechem mrugnął do ojca. – Tylko woli się do tego nie przyznawać.

– A ty, synu? Przyznasz się?

– Do czego? Zawsze byłem z wami szczerzy i tak jest teraz. Do czego mam się przyznać, tato?

– Sam to powinieneś wiedzieć, Witoldzie. Ale ty nie jesteś chętny do zwierzeń. Siłą nie będę z ciebie niczego wyciągać. Nie chcesz, nie mów.

– A czego ja nie chcę powiedzieć? – Witold okazał autentyczne zdziwienie.

– Dobrze wiesz, co miałem na myśli. – Adam nagle się rozżłościł.

– Przypuśćmy – mruknął Witold. – Nie zakłada się rodziny na trzecim roku studiów. A ja właśnie jestem takim studentem i nie mam czasu na zakochanie ani na spełnianie kaprysów żony. To chciałeś usłyszeć, ojcze?

– Oczywiście. Trzeba zachować jako taki porządek we wszechświecie – Adam poczuł się uspokojony. – Zauroczenie, uniesienie, potem ślub i płacz niemowląt, tak to powinno wyglądać.

– I tak będzie, tato. A ty jesteś tego przykładem – dokończył Witold ze śmiechem.

– Na dodatek ciągle jestem głodny – poskarżył się Adam. – Minęły te czasy, kiedy Ludka wpychała w nas różne smakołyki.

– To prawda, minęły te czasy, kiedy nikt już nie mógł w siebie niczego wmusić, mimo zachęty naszej gosposi.

– Cóż chcesz, mój drogi – rzekła Jadwiga z przekąsem, wzięwszy do siebie uwagi męża i syna. – Każdy wiek ma swoje prawa. Młodość nie lubi opychać się jedzeniem, natomiast starsi ludzie żyją tylko dla niego. Tak jest i tyle. I nas też to dotyczy.

– Chcesz mi przypomnieć, moja droga Wisiu, że niezaprzeczalnie należymy do starszyny rodowej?

– Ja nie! Mnie nie zaliczaj do swoich szeregów – zastrzegła, patrząc na niego z uśmiechem. – Ale ty na pewno, bo wciąż jesteś dużo starszy ode mnie!

– I dlatego ciągle jestem głodny i jadłbym, i jadł – przytaknął Adam, po czym szybko dodał: – Teraz dopiero doceniam dobrodziejstwo, jakim była nasza Ludka. Nasza matka karmiaca.

– A to już mogłeś sobie darować! – Jadwiga spojrzała gniewnie. – Jesteś niedelikatny! Przynajmniej nie należało tego mówić przy mnie. Staram się, jak umiem i nie żądam pochwał za moje wyczyny kulinarne. Mógłby jednak ktoś



docenić moje poświęcenie.

– Ależ my to doceniamy, kochanie – krzyknęli prawie równocześnie jej dwaj panowie, z rozbawieniem w oczach. – Doceniamy i prosimy o jakąś przekąskę po tych nocnych rozmowach.

– To zróbcie sobie sami. Ja idę spać!

– Wisiu, nikt nie potrafi nam tak dobrze dogodzić kulinarnie. Tylko ty posiadasz ten talent, a ja to doceniam – przymilił się Adam.

– Apetyczne jadło wychodzi spod twoich rąk, mamó. Wszystko nam smakuje, zatem prosimy o małą kolację.

– Sami sobie zróbcie jedzonko!! – powtórzyła. – Czuję się bardzo urażona, wykorzystana i niedoceniona, dlatego was opuszczam.

– Niepotrzebnie się obrażasz, Wisiu – mruzczał Adam do pleców odchodzącej żony. – Ale Ludka i tak przydałaby się nam na te wszystkie głodne wieczory.

– A wiesz, tato, że chętnie zjadłbym coś z kuchni naszej Ludki i nawet cierpliwie wysłuchałbym jej gderania?

– Masz szczęście, że mama tego nie słyszy – zaśmiał się Adam. – Rozbudziłeś moją kulinarną wyobraźnię, toteż nagle zatęskniłem do kuchni Ludki i do śmiechu Basi.

– Mnie też tego brakuje, ale nie mogę się przyznać przy mamie.

– Bardzo mnie ciekawi, jak one sobie tam radzą bez nas.

– Tato, Basia jest chyba już dużą pannicą. Podejrzewam, że nie poznałbyś jej teraz, gdybyś przypadkiem otarł się o nią na ulicy.

– Zaprosimy więc ją do nas. Będziemy się poznawać od nowa.

– Nie przyjdzie. Wiesz dobrze, że nie reaguje na nasze zaproszenia i listy.

– No tak... – Adam podrapał się po głowie. – Coś w tym musi być, choć i tak ciekaw jestem, jak życie jej się ułożyło.

– Tego się chyba nigdy nie dowiemy. Nie mamy szans na spotkanie.

– Tak myślisz, synu? – Spojrzał na Witka z uwagą. – Możemy przecież umówić się z nią na miście.

– W tajemnicy przed mamą? – domyślił się Witold.

– Tak chyba byłoby najlepiej dla nas wszystkich, bo nigdy nie wiadomo, co zobaczymy i usłyszymy. Mama mogłaby tego nie przeżyć. Niech lepiej sobie żyje w dalszej nieświadomości. To co, synu? Szukamy naszej Basi?

– Chcesz się bawić w dochodzenia, szukać namiarów? – Witolda nie zachwycił plan ojca. – Ludka milczy jak zaklęta, nikt już nie wie, o co tam chodzi. Nie chce kontaktu, to nie. Lepiej odpuść i przestań udawać detektywa.

– Dlaczego? Zaczyna mnie podniecać ten pomysł. Przyłączysz się? Spróbuję dotrzeć do Basi przez Ludkę, może poszukam jej w stolicy – zapalał się Adam. – Porozmawiam z nią, może uda mi się coś zrozumieć...

– Nie! – rzekł stanowczo Witold. – Chcesz, idź sam, a mnie wyłącz z tych atrakcji. Życzę powodzenia.

Tymczasem Basia przygotowywała się do nowej szkoły w Warszawie, do liceum swoich marzeń i artystycznego spełnienia. Część potrzebnych rzeczy już wywieziono do nowego mieszkania, małego jak łupinka, niezwykle

przytulnie ulokowanego na Pradze. Rzeczy zbędne, a jeszcze przydatne, zostały przekazane do mieszkania matki Józefiny.

Tego właśnie Ludka nie mogła zrozumieć, bo nie dość, że Artek niczego z nią nie uzgadniał, to jeszcze wszystko wskazywało na to, że rzeczy Basi mu przeszkadzały. A może córka również była przyczyną jego spętanej przyszłości? Co wobec tego Ludka mogła myśleć o sobie w jego życiu? O swojej obecności w tym domu? Może i ona była zawadą i powstrzymywała Arkadiusza przed swobodą, przeszkadzając w spełnieniu zachcianek oraz kawalerskich nawyków, chociaż upłynęło już wiele lat, odkąd przestał być kawalerem? Babka Basi też dziwnie patrzyła na te niewyraźne manipulacje i choć jedynie takt powstrzymywał ją przed szczerą rozmową z zięciem, zamierzała jednak przedstawić mu swoje obawy. Ludka z niepokojem przyglądała się zabiegom męża. I milczała. Wspólnie odwieźli Basię do nowej szkoły, ale do domu już wracali oddzielnie. Przejeżdżając blisko dawnego miasta Ludki, Artek rzucił mimochodem, nie patrząc na żonę:

- Może chcesz pobyc trochę wśród starych znajomych?
- Dlaczego pytasz? Chcesz się mnie pozbyć? - Spojrzała na niego podejrzliwie, hamując złośliwości.
- Co za podejrzenia! Jesteśmy blisko twojego domu, więc myślałem, że zechcesz odwiedzić stare kąty. Tym bardziej teraz, kiedy rzadziej będę bywał w domu. Mogę być nieuchwytny...
- Nieuchwytny? Co to znaczy? - Przestraszyła się.
- Nieuchwytny, to znaczy nieuchwytny, moja dociekliwa żono. Mam po prostu kilka spraw do załatwienia. I nie chciałbym, żebyś teraz, kiedy Basi nie ma, sama siedziała w chałupie. Ot, po prostu, dbam o ciebie!
- Jestem wdzięczna za tę troskę - mruknęła półgębkiem. - Powiedz mi jeszcze, jakie sprawy masz do załatwienia, to moja wdzięczność urośnie do rangi uwielbienia.
- Po co ci to wiedzieć, kobieto! Bajki piszesz? - Spojrzał na nią przeciągle. - Nie poznaję cię, Ludko. Nigdy nie byłaś dociekliwą babą. Ostatnio stałaś się strasznie podejrzliwa.
- Ty mi tak nagle nie zamydlaj oczu, mój kochany. Powiedz lepiej, o co chodzi, jakie to ważne sprawy zaprzatają twoją artystyczną głowę?
- A takie tam, zwykłe sprawy zawodowe - rzekł z niechęcią. - Nie dla ciebie, więc nie musisz silić się na kpinę, moja droga Ludomiro.
- Niby takie ważne, a nie warto o nich mówić? Coś kręcisz, mój panie.
- A coś ty się tak mnie dziś uczepliła! Chyba chcesz się kłócić - powiedział ze złością, ale po chwili zapytał miękko. - To jak? Zostajesz tu, czy chcesz wracać do pustego domu?
- Tutaj też będę sama wśród pustych kątów - mruknęła.
- Ale będziesz wśród znajomych.
- No tak, w twoim domu nikt na mnie nie czeka - dopowiedziała kąśliwie.
- Chwilowo będę bardzo zajęty - powtórzył bez przekonania. - Właśnie to od kilku chwil staram ci się powiedzieć, a ty...

– Zostaję tutaj, Arkadiuszu – szybko zdecydowała z rezygnacją w głosie.  
– I to jest prawidłowa decyzja – pochwalił ją z uśmiechem, który wydał się Ludce nieszczerzy.  
– Zachowujesz się, jakbyś mnie chciał mieć z głowy – mruknęła. – Zawieź mnie na rynek, do domu sama trafię.  
– Znow się dąsasz, a tego nie lubię – wycodził przez zęby. – Z fantazją podwiozę cię pod dom. Co mi szkodzi? Jesteś przecież moją żoną. Nie będę żonie szczędził nawet najmniejszych wygód. Niech żona doceni mój gest!  
– Żona docenia, ale też czuje, że czasami zawadza w domu.  
– Ale tylko czasami. – Spojrzał na nią filuternie, westchnął, a po chwili dodał poważnie: – Jesteś dobrą żoną, Ludko. Niekonfliktową, pracowitą, cierpliwą i wyrozumiałą.  
– Powiedz, o co ci właściwie chodzi? – Nie wierzyła w ani jedno jego słowo. – Masz w tym jakiś cel? – spytała cicho.  
– Zebrało ci się dzisiaj na pytania i dociekania, a ja nie mam nastroju na szukanie odpowiedzi – burknął pod nosem. – Nie można cię zadowolić. Prawię ci komplementy i też ci się to nie podoba. Wolałem już twoje milczenie.  
– No pewnie, przynajmniej nie musiałeś zastanawiać się, ile prawdy do mnie dotarło i co myślę o twoich zachowaniach.  
– Stałaś się podejrzliwa, jak prawdziwa stara żona. Nigdy taka nie byłaś – syknął, już wyraźnie niezadowolony.  
– Starzejemy się, mój drogi, a złośliwość jest tego oznaką.  
– Ale przecież my nie jesteśmy starzy, Ludko. Dlaczego tak mówisz? – Zapatrzył się w drogę przed sobą, jakby to, co przed nim, było ważniejsze od żony. – Mamy marzenia, które chcemy jeszcze spełniać, plany.  
– Ja już ich nie mam! – przerwała mu szybko.  
– Co się stało, Ludko?  
– Nic! Zatrzymaj się przy rynku – warknęła.  
– Ej, uśmiechnij się. Nie psuj wrażenia z ostatnich wspólnych godzin.  
– Zabrzmiało jak pożegnanie – zauważyła cierpko.  
– To jest pożegnanie, Ludko... na krótki czas. Pobędę trochę sam, a i tobie się to przyda. Dawni znajomi, stare kąty... Będiesz miała okazję na chwilę wytchnienia od kapryśnego męża.  
– Nigdy się nie żaliłam...  
– Myślisz, że nie czuję, że się przy mnie męczysz? Ja również potrzebuję trochę wolności. Chyba nam się to należy po kilku latach wspólnego życia? Prawda, Ludomiro?  
– Ty się ze mną żegnasz na zawsze – cicho stwierdziła, odwracając głowę, aby nie zauważył łez w jej oczach.  
– Ależ skąd! – zapewnił zbyt szybko, nie patrząc na nią. – Idź już.  
Wysiadła z ociąganiem, zamykając za sobą drzwi. Kiedy samochód ruszył, zdążyła jeszcze krzyknąć: – Arteku!  
Ale Arkadiusz tego już nie słyszał. Pozostała po nim nikła smużka smrodku z rury wydechowej. To wszystko stało się tak szybko, że Ludka, zaskoczona

sytuacją, nie do końca jeszcze wiedziała, co czuje. Zastygła w pochylonej pozycji. Dopiero po chwili wyprostowała plecy, uniosła głowę i powolnym krokiem skierowała się w stronę domu, człapiąc niczym staruszka. Postanowiła spędzić kilka dni w swoim mieszkaniu, gdzie mimo obecności lokatorów, zawsze czekał na nią jeden pokoik. O tym, co będzie dalej, pomyśli później. Po drodze udała się do banku, aby sprawdzić rachunki i konto, na które wpływała comiesięcznie gotówka z wynajmu mieszkania. Upewniwszy się, że wszystko jest bez zmian, usiadła na ulubionej ławeczce. Po namyśle zadzwoniła do Anastazji i namówiła ją na krótką pogawędkę. Nie czekała długo. Zanim się zorientowała, znów była dawną Ludką, plotkującą z przyjaciółkami przed kościołem. Kiedy już skończyły wspominać dawne czasy i omawiać teraźniejszość, Anastazja zaprosiła Ludkę do siebie, na dalsze babskie pogaduchy, podczas których nie żałowała jej złośliwości, które wypływały jednak z troski i dobroci serca, a nie z nienawiści czy zazdrości.

– Wróciłaś na zawsze do naszej miejsciny? – spytała, przyglądając się koleżance z uwagą. – Odeszłaś od tego swojego artysty?

– Czemu tak myślisz, Nastko? – szepnęła zaskoczona Ludka. – Jest nam razem dobrze. Tworzymy udany związek.

– Bo masz nieszczególną minę.

– Zmęczona jestem pakowaniem i przeprowadzką Basi.

– A co, już ją wydałaś za męża? – Nastka miała w oku błysk sensacji.

– No coś ty! Przecież to jeszcze dziecko!

– Dziecko! – prychnęła Nastka. – Dzieci też wychodzą za męża. Dawno jej nie widziałam, a czas goni bez ustanku. Twoja Basia też zdążyła dorosnąć i pewnie się zmieniła.

– Zmieniła się, naprawdę bardzo się zmieniła, na korzyść – rozmarzyła się dawna niania Basi. – Wyrosła na ładną dziewczynę i wcale nie jest moja.

– Twoja jest, teraz jest twoja!

– Jaka tam moja! Zaledwie mnie toleruje. Bardziej jest Sonnefieldów niż moja.

– A oni ją widują?

– Ich o to pytaj.

– Coś ty taka ważna i nieprzystępna? – obraziła się Nastka. – Z tobą to już zwyczajnie poplotkować nie można!

– Można, ale o moich sprawach, a nie o życiu moich znajomych. Z takiego pustego gadania nic dobrego nie wychodzi, tylko sama krzywda dla niektórych.

– To są tak samo moi znajomi.

– No właśnie, po cóż więc siać plotki.

– A co, pokłóciłaś się ze swoim dyrektorem? – dociekała wścibska koleżanka.

– E, nie. Ostatnio tylko trochę rozluźniły się moje kontakty z Sonnefieldami. Wiesz, jak to w życiu bywa...Dajmy temu lepiej spokój – uśmiechnęła się Ludka z przymusem. – Lepiej umówmy się na jutrzejszy spacer.

– Zamierzasz tu jeszcze trochę pobyc? Wolisz tę naszą dziurę zabita deskami niż wielkomiejskie życie? – Ludka wyczuła drwinę w głosie koleżanki. – Nie spieszo ci do męża?

– Mam tu jeszcze kilka spraw do załatwienia. Potrzebuję czasu, bo zawsze wpadam na tak krótko, a muszę coś ważnego przypilnować – tłumaczyła Ludka, niezbyt zgodnie z prawdą. – Tylko kilka dni i zaraz wracam do domu.

– Zobaczmy się jeszcze? Znajdziesz dla mnie czas?

– Oczywiście. Zapraszam cię już teraz na jutrzejszą kolację. Przyjdź do mnie wieczorkiem. Przygotuję coś pysznego.

– A ci twoi lokatorzy nie będą krzywo patrzeć?

– Co ty, Nastka! Do mnie przyjdiesz, a nie do nich. A poza tym to moje mieszkanie. Jak im coś się nie podoba, mogą wyprowadzić się od zaraz!

– Wiedziałam! Od razu się domyśliłam, że potrzebujesz tego mieszkania – rzekła Anastazja z prawdziwą satysfakcją w głosie. – Od razu wiedziałam, że coś cię złamało. Chcesz się tu wprowadzić i zostać na dłużej, a może na zawsze.

– Coś ty taka domyślna! – rozłościła się Ludka. – Wcale nie mam takich planów. Mam gdzie mieszkać, mam rodzinę i dobrego męża. Niepotrzebnie wymyślasz jakieś niestworzone historie!

– Ja tam swoje wiem! – Nastka nie dawała za wygraną. – I dobrze wiem, dlaczego jesteś taka przygaszona.

Ludka westchnęła. Poczowała, że nie ma już ochoty na towarzystwo koleżanki.

– Już ci mówiłam. Jestem zmęczona tym zamieszaniem z przeprowadzką Basi – oświadczyła. – Idę do siebie, trochę odpocząć. Pamiętaj, czekam jutro wieczorkiem.

– Wstąpisz do swojej pani? – zapytała Anastazja na odchodne.

– Na pewno ją odwiedzę. Może jutro tam wpadnę – rzuciła Ludka beztrąsko, choć wcale nie była tego taka pewna. Od ostatnich odwiedzin czuła, że coś się rozluźniło w ich wzajemnych kontaktach i nie chodziło tu tylko o rolę, jaką kiedyś odgrywała w Białym Dworku. Przyczyną upatrywała w tym, że to jej, Ludce, dane było patrzeć na Basię codziennie, wychowywać ją i troszczyć się o jej przyszłość, choć Jadwiga, gdyby tylko mogła, z wielkim zapałem poświęciłaby jej wszystko, co miała.

Wola ojca Basi była nieprzejednana i Jadwiga wiedziała, że musi się z tym pogodzić. Często rozmyślała na ten temat, zwłaszcza, gdy samotność jej dokuczyła w czterech ścianach. Bo ile czasu można poświęcić na sprzątanie czy gotowanie dla dwojga niejadków! Ile też czasu można przeznaczyć na spotkanie i pogaduchy z koleżankami, a także oglądanie telewizji? Człowiek potrzebuje żywego człowieka, by móc spełniać swoje życie. To właśnie między innymi było tematem rozważań samotnej Jadwigi, gdy Adam spełniał się w fabryce, a Witold na uczelni. I w takim to natchnieniu kiedyś w samo południe zastała ją Ludka. Bo jednak wreszcie odważyła się spotkać z dawną chlebodawczynią i porozmawiać o tym, co obie aktualnie interesowało najbardziej.

– Ludko, napijesz się ze mną kawy? – spytała Jadwiga tuż po przywitaniu. – Mogę też poczęstować cię sernikiem. Sama piekłam. Dasz się skusić?

– Chętnie się napije – rzekła dawna niania i dodała przygaszonym głosem: – I sernika też spróbuję.

– A może, Ludko, nie życzysz sobie teraz, żebym zwracała się do ciebie po imieniu? Może chcesz...

– Nie, nie, wszystko dobrze – przerwała Jadwidze. – Niech pozostanie, jak było. Chcę, żeby było jak dawniej.

– Tak jak dawniej? – Jadwiga uważniej spojrzała na nianię, podając jej białą kawę. – Ludko, to chyba niemożliwe. Mieszkamy tu tylko we dwójkę.

– Wiem o tym, ale może przydałabym się na coś... Tak jak kiedyś. – Kobieta się zmieszała.

– Coś cię trapi?

– Tak, trochę się niepokoję...

– Czy chodzi o Basiulkę? – W głosie Jadwigi dał się wyczuć niepokój.

– Sama nie wiem, co mam myśleć – zaczęła Ludka, pociągając nosem. – Artek się zmienił i odepchnął nas obie. I wszystko planuje w tajemnicy przed nami.

– Może tylko tak ci się wydaje?

– Nie. Wiem, że się nie mylę.

– A jednak – stwierdziła Jadwiga ze smutkiem. – Miałam rację. Tego się właśnie obawiałam. Basia też to wyczuwa?

– On ją potrafił omamić. Nadal jest pod jego urokiem, tak jak i ja do niedawna. Artek potrafi manipulować ludźmi i przekonać do swoich racji. Ale ja...

– Co ty? Ludko, no, wyduś z siebie tę bolączkę.

– Ja go dopiero teraz poznałam... Tak mi się wydaje. Jest wspaniałym mężem, troskliwym, uzdolnionym i pracowitym, ale...

– Ale... co? – Jadwiga zawiesiła wzrok na jej ustach.

– Ale jest szurniętym egoistą! – wyrzuciła wreszcie z siebie Ludka.

– Jak każdy mężczyzna – uśmiechnęła się Jadwiga, ale Ludka nie odwzajemniła uśmiechu, zapatrzona we własny problem. Dodała cicho:

– Niedługo wykreśli mnie ze swego życia. Właściwie już to zrobił, czuję to.

– Przeczucia nieważne, Ludko. Liczą się fakty.

– Wstydzę się rozmawiać o moim życiu. Jakoś nie mam odwagi...

– To jak mam ci pomóc?

– Mogłaby pani zatrudnić mnie tutaj, u siebie, chociaż na krótki czas. – Ludka popatrzyła prosząco na Jadwigę. – Póki się nie pozbieram. Przecież wiem, że on mnie w końcu zostawi...

– Ludko, nie prowokuj losu.

– Nie prowokuję, pani Jadwigo. Ja to przeczuwam.

– Już ci mówiłam, ważne są tylko fakty. Opowiedz mi wszystko, od początku.

– Od początku czego, pani Jadwigo?

– Najpierw powiedz o Basi. Dzieje jej się jakaś krzywda?

– Krzywda? Nie. Chyba nie... – przerwała, bo w drzwiach pojawił się Adam.

– O, Ludka, witam miłą panią – powitał ją radośnie. – Co nowego w świecie artystycznych uniesień?

– Bez uniesień, proszę pana – odpowiedziała smutnym głosem.

– To prawie tak samo jak u nas. – Z uśmiechem pocałował rękę żony. –

Będziemy jeść jakiś obiadek, Wisiu?

– Zjesz z nami, Ludko? Niestety, coś skromnego – zwróciła się do niej Jadwiga znad gorących garnków. – Zawsze to ty zachęcałaś nas do jedzenia, a dziś, jak widać, role się odmięły. To co, nałożyć ci?

– Po co pytasz, Wisiu? Nakładaj, Ludka pewnie głodna.

– No dobrze, poproszę – poddała się Ludka z rezygnacją, bo wcale nie była głodna.

– Ale nic za darmo, Ludko. Coś za coś – zaczął Adam z uśmiechem, a mimo to Ludka się spięła i zastygła w bezruchu. – Opowiesz nam o naszej dziewczynce.

– Pan nadal tak ją nazywa?

– Jak widzisz. I chcę wiedzieć, co się z nią dzieje. Chcę jej pomóc, jeśli zajdzie taka potrzeba, chociaż to już chyba dorosła pannica i być może nie zechce przyjąć żadnej pomocy.

– Basia rozpoczęła naukę w liceum artystycznym w Warszawie – zaczęła Ludka.

– O, tam jest też Witold – przerwał jej Adam z entuzjazmem, jakby to miało jakiś wpływ na losy dzieciaków.

– Masz jej aktualne zdjęcie, Ludko? – odezwała się Jadwiga. – Dawno jej nie widziałam.

– Nie martw się, wkrótce odwiedzimy ją w tej szkole. – Adam pocieszył żonę i zwrócił się do Ludki: – Powiedz, jak wygląda?

– Basia wyrosła na ładną dziewczynę i w niczym nie przypomina swojej mamy.

– Ma urodę ojca – zauważyła Jadwiga.

– Ale charakter inny! – wyrzuciła z siebie Ludka.

– O, czyżbym usłyszał peany na cześć męża? – uśmiechnął się Adam.

– Basia nadal marzy o scenie, chce zostać aktorką. Dlatego wybrała to liceum – ciągnęła Ludka, niewzruszona docinkami Adama. – Dziewczyna ma talent, ale... Chyba nie powinna teraz opuszczać domu, mam złe przeczucia. Powinna pilnować ojca, bo znowu się jakaś rewolucja w jego życiu szykuje. Mam wrażenie, że zamierza uwolnić się od rodziny... Tak czuję.

– A czy to coś zmieni? – Jadwiga zlekceważyła jej troskę. – Córka nie ma wpływu na takiego ojca. To, co on sobie postanowi, zawsze będzie ważniejsze od rodziny.

– Mówiłaś o tym z Basią? – zapytał Adam.

– Z nią nie można rozmawiać o życiu – westchnęła Ludka. – Basia jest swoim ojcem chorobliwie zauroczona... I nie zawsze się rozumiemy, Niestety.

– Kilka lat temu, przy tym samym stole, matka Basi mówiła podobnie. Czyżby historia miała się powtórzyć?

– Chyba tak. Mój mąż to niespokojny duch... Od dawna czuję, że go nosi. Niedawno przeczytałam list adresowany do niego – wyznała Ludka ze wstydem.

– Od kobiety? – Adam uniósł brwi.

– Gorzej!

– Nie może być! Gorzej? – zdziwił się szczerze. – Gorzej już nie może być!

– Ja też tak myślałam, dopóki nie zobaczyłam tam nagłówka pewnego stowarzyszenia. Nadawcą był ośrodek formacji dla diakonów – zaczęła kobieta spokojnie, ale po chwili już zmuszona była poszukać w torebce chusteczki do nosa.

– Wiedziałam, że tak będzie. – Jadwiga opadła na krzesło.

– Tego się właśnie bałam, bo historia lubi się powtarzać.

– To było powiadomienie. Arkadiusz Sada przyjęty został na okres próbny do nauki głoszenia kazań, śpiewania pieśni kościelnych, odprawiania nabożeństw, poznawania prawa kanonicznego... – Reszta cichych wyjaśnień utonęła w mokrej chusteczce.

– Ludko, czy mamy zrozumieć, że on ma już święcenia? Został diakonem?

– Tego nie jestem pewna. Nie odbył przecież praktyki w parafii. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo...

– A może jednak ma już te wszystkie dokumenty? – zastanawiał się Adam. – Był przecież kilka lat w jakimś ośrodku. Może wówczas odbywał praktykę?

– Tego nie wiem. Właściwie niczego nie wiem o jego przeszłości – chlipnęła Ludomira.

– Teraz rozumiem jego opór przed ślubem – Jadwiga pokiwała głową.

– Przypadkowo dowiedziałam się o jego zainteresowaniach. Adela wygadała się, jak spędzał czas, gdy porzucił Józefinę.

– No, ale potem jednak wrócił. – Jadwiga nieświadomie stanęła po stronie Artka. – Wrócił, by opiekować się Józefiną. I właściwie został dość długo.

– Zatroszczył się o córkę, co należy pochwalić – dodała Ludka. – Ale teraz robi wszystko, żeby uwolnić się od Basi.

– A może on cierpi na jakieś zaburzenia psychiczne?

– I ja tak podejrzewałam – cicho wyznała Ludka. – Ale zachowuje się, jakby był wszystkiego świadom.

– Nie byłabym tego taka pewna – rzekła Jadwiga uszczypliwie, patrząc w talerz.

– Może zwyczajnie szuka swego miejsca na ziemi? – Ludka próbowała bronić męża.

– I co? Całe życie ma zamiar na to poświęcić? – Adam również zaczął być złośliwy. – Niepotrzebnie namotał córce w głowie. Po co ją od nas zabierał?

– Namotał, zburzył spokój, a teraz znowu ucieka – zamruczała znad talerza niezadowolona Jadwiga.

– Basia poradzi sobie w życiu, jest twarda, uparta w dążeniu do celu, prawie dorosła i wyjątkowo rozsądna. Wierzę w nią. Da sobie radę w przyszłości. To dzielna dziewczyna – przekonywała Ludka.

– Ludko, tobie to między innymi zawdzięcza – rzekł Adam cicho. – Nadal nie jest sama. Ma rodzinę i życzliwych ludzi wokół siebie. Ale to właśnie ty byłaś jej największą podporą.

– Chciałabym, żeby tak było – szepnęła skromnie. – Basia ma wszystko w nowej szkole. Ma mieszkankę, jest tam sama i ma wygody, do jakich przywykła.



– Mów, co chcesz, ja jednak wolę sprawdzić te wygody. Zamierzam się do niej wybrać.

– Tak bez zapowiedzenia? – prawie zgorszyła się Jadwiga.

– Oczywiście.

– Nie uzgodnisz tego z jej ojcem?

– Nie! Basia jest przecież samodzielna osoba.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, proszę pana. Nie jestem przekonana, że to konieczne – rzekła nieśmiało Ludka. – Basia ma wszystko, co potrzebne młodej dziewczynie w liceum.

– Już ty lepiej nic nie mów, Ludko, bo pomyślę, że boisz się gniewu swojego męża.

– Artek jest nieprzewidywalny – westchnęła Ludka.

– I nieobliczalny – dopowiedział Adam. – I jestem pewien, że potrafi zmarnować życie dziecku.

– Troszczy się o nas, o swoją córkę i o mnie – broniła męża Ludomira.

– To też już kiedyś słyszałem – rozłożył się nagle. – Porozmawiamy o tym później. Mam nadzieję, że zamierzasz dłużej tu zostać.

– Tak. Zatrzymałam się w dawnym mieszkaniu. Załatwię swoje sprawy i tutaj też będę wpadać. Chętnie pani pomogę w niektórych pracach. Mam teraz sporo czasu.

– Bardzo mnie to cieszy. Chętnie skorzystam z twojej pomocy.

– Zadzwoń do ciebie. Telefon masz ten sam, Ludko, prawda? Pamiętasz numer naszego? – upewniła się Jadwiga. – Wstąp jutro i przynieś zdjęcie Basi, jeżeli je masz, oczywiście.

– Dobrze, proszę pani. Odezwę się niedługo. Będziemy w kontakcie, pani Jadwigo.

Ludomira wiedziała, że nie odważy się pokazać fotografii Basi, nie dlatego, że były mało udane, ale głównie, aby uniknąć łez, wspomnień, a może i niepotrzebnego wypominania. Niech już lepiej myślać, że Basia zapomniała o dawnych opiekunach, że zlekceważyła ich przywiązanie, że odepchnęła uczucia, byle tylko nie doszli do prawdy. Ludka rozumiała ich ból i tęsknotę, ale też rozumiała sytuację, w jakiej sama się znalazła. Wybór był trudny, tym bardziej, że i ona przywiązała się do pasierbicy i pokochała ją jak matka.

Z takimi niewesołymi myślami wracała do swojego skromnie urządzonego gniazdka, które choć nie było jeszcze puste, to zapewniało jej samotność, której właśnie teraz potrzebowała najbardziej. Musiała przemyśleć sens swojego istnienia, wyciszyć niespokojne uczucia i wybrać sposób na dalsze, prawdopodobnie samotne i nikomu już niepotrzebne życie. Spokój mogła znaleźć tylko w swoich dawnych kątach, wypełnionych skromnymi marzeniami i rozczarowaniem kobiety, samotnie mocującej się z losem. Kiedy już odrzuci w niepamięć wszystkie troski i zgryzoty, nabierze sił do życia, dopiero wtedy wróci do wielkiego miasta.

Ludomira wróciła do wielkiego miasta po czasie dłuższym, niż planowała.

Umęczona podróżą, z ulgą stanęła wreszcie na progu swojego domu. Przetarła suchym palcem nieco przykurzoną wizytówkę na drzwiach i pogrzebała w kieszonce torebki, by wyjąć klucze. Nagle drzwi jej mieszkania otworzyły się gwałtownie i mocny kobiecy głos zmusił ją do podniesienia głowy.

– Co pani tu robi? – spytała nieznajoma, stając w progu jej mieszkania.

– To raczej ja powinnam zapytać, co pani robi w moim domu? – jęknęła Ludka.

– Ja tu mieszkam! – Nieznajoma cofnęła się, chcąc zatrzaskać drzwi przed nosem Ludki.

– Chwileczkę. Kim pani jest? – Ludka powstrzymała skrzydło drzwi. – Pani tu mieszka... z Arkadiuszem?

– Z jakim Arkadiuszem? Ja tu mieszkam z moim mężem.

– A gdzie jest mój mąż? – spytała drżącym głosem.

– Pani mąż? A skąd mam wiedzieć! – Znów chciała trzasnąć drzwiami, ale jakaś myśl ją powstrzymała. Spytała: – Pani jest kobietą pana Sady?

– Jestem jego żoną i tu mieszkam. To jest mieszkanie mojego męża, a od kilku już lat i moje.

– Już nie!

– Proszę się odsunąć! – Do Ludki nie dotarły słowa obcej kobiety. – Chce wejść do mieszkania.

– Ono jest moje! – Kobieta zapała się w drzwiach.

– Myli się pani. Ja tu mieszkam!

– Mówię pani, że już nie.

– Nie? To gdzie ja mieszkam?

– Pani mnie o to pyta? – sapnęła kobieta i drzwi zostały zamknięte.

Ludka oparła plecy o zimną ścianę, dopiero co odnowioną, pokrytą jasnobeżową farbą z brązowym szlaczkiem w połowie wysokości. Patrząc na to szkaradztwo, dziwiła się, że istnieje gdzieś w świecie fachowiec, specjalista, uprawiający tak brzydki, aczkolwiek popularny styl odnawiania korytarzy. Potem skierowała wzrok na betonowe schody, pokryte jakimś śmieciem, i prawie usłyszała taneczne kroki Artka. Przechyliła się przez poręcz, jednak go nie zauważyła. Znów przytuliła plecy do chłodnej ściany i na chwilę przymknęła oczy. Wreszcie do niej dotarło, że czeka pod drzwiami własnego mieszkania, do którego jej klucz już nie pasuje.

Wpadła w panikę. Niczego już nie rozumiała. W głowie miała pustkę, a przed oczami dziwną mgłę, i kiedy już czuła, że jest u kresu wytrzymałości, że za moment zemdleje, drzwi mieszkania znów się otworzyły i stanęła w nich ta nieprzyjemna kobieta. Zamruczała coś, co wydawało się zaproszeniem. Ale Ludka nadal stała na klatce schodowej, z opuszczoną głową, z pękiem kluczy w lodowatej dłoni, niezdolna do uczynienia jakiegokolwiek ruchu i ciężko dysząc, wpatrywała się we własne stopy.

– Niech pani wejdzie – zachęciła nieznajoma, niezbyt gościnnie.

Ludka zadreptała w miejscu i wreszcie oderwała się od zimnej ściany. Powoli przesuwiała się znanym wąskim korytarzykiem w kierunku dużego pokoju,

który wskazała nowa lokatorka jej mieszkania.

– Pani usiądzie. – Zabrzmiało jak rozkaz.

Ludka tylko kiwnęła głową, gdyż żadne słowo nie chciało wyjść z jej zasznurowanego gardła. Zajęła rożek własnej kanapy. Zaraz stanęła przed nią gorąca filiżanka, do połowy napełniona czarnym płynem, i nikły uśmiech wypłynął na twarz nieznajomej.

– Pan Sada uprzedził, że pani przyjdzie po swoje rzeczy.

– Po jakie rzeczy? – Nareszcie odzyskała głos i myśli.

– Po swoje!

– Przecież tu wszystko jest moje. Kanapa, na której siedzę, sekretarzyk i fotele są moje. Wszystkie meble i to, co pewno jeszcze jest w szufladach, też jest moje. Jak mam to spakować i wywieźć?

– To wszystko tu zostaje – odrzekła stanowczo nieznajoma. – I niczego nie będzie się wywozić.

– Jak to? Niedawno mówiła pani, że mam zabrać swoje rzeczy.

– Tak, zabrać, ale tylko swoje.

– Jak mam to zrobić sama? – zmartwiła się Ludka. – Przecież nie potrafię tak od razu się spakować i wyprowadzić.

– A tego to ja już nie wiem. – Nowa lokatorka wzruszyła ramionami.

– I dokąd mam je wywieźć?

– Toć mówię pani wyraźnie! Nic tu nie będzie wywożone! – Nieznajoma stanęła w drzwiach pokoju, jak strażnik pilnujący swego dobytku.

– No, ale pani mówiła przed chwilą, że mam zabrać moje rzeczy i wyprowadzić się. A dokąd mam pójść?

– Za mężem! Miejsce żony jest przy mężu.

– Powie mi pani, gdzie jest mój mąż? – Ludka była bliska płaczu.

– Niech już pani sobie idzie, bo jeszcze będą kłopoty. Kto wie, czy pani nie jest chora. Dziwnie się pani zachowuje.

– Nie jestem chora, tylko oszołomiona tym wszystkim. Nawet nie znam miejsca, gdzie mogłabym przechować moje meble. Nie rozumiem, dlaczego muszę je stąd usunąć... Przecież ja tu mieszkam.

– Już nie! Musi pani stąd zabrać swoje rzeczy i tyle.

– Sama? Jak mam sama zabrać te wszystkie meble?

– One są teraz moje! Moje! – zaakcentowała, bijąc się w pierś. – Już to pani mówiłam.

– Nie rozumiem. Przecież to moje sprzęty i moje mieszkanie, a pani mówi, że ja tu nie mieszkam. I pani każe mi stąd usunąć moje rzeczy.

– Nic pani stąd nie usunie! – zagroziła nieznajoma. – Wszystko jest moje!

– Wszystko? – Ludka spojrzała na kobietę pustymi oczami.

– Wszystko! Kupiłam to mieszkanie i teraz jest moje.

– Kupiła pani? – zdziwiła się Ludka. – Moje mieszkanie podczas mojej nieobecności?

– Kupiłam. Niech pani wreszcie to zrozumie – głośno wyskandowała obca kobieta, po czym zapadła cisza.

W obolałej głowie Ludki wreszcie się rozjaśniło. Wstała z kanapy, stanęła w progu pokoju, dostojna i wyniosła, aż nowa lokatorka poczuła się nieswojo. Niepewnym, nerwowym ruchem poprawiła niezbyt staranną fryzurę i przykrótki sweterek. Naraz opuściła ją pewność siebie i nabrała szacunku do Ludki. Bo też Ludka, wsparta ręką o futrynę drzwi, wyglądała co najmniej jak posąg bogini sprawiedliwości. A kiedy jeszcze odezwała się cicho, lecz stanowczo, kobieta całkowicie straciła dawny animusz.

– Chciałabym zobaczyć akt kupna lub sprzedaży. – Ludka wreszcie oprzytomniała.

– Ale ja to wszystko załatwiałam z pani mężem... z panem Sadą – zająknęła się kobieta. – Tylko z nim mogę o tym rozmawiać.

– Zaraz to wyjaśnimy w obecności policji. – Ludka zaczęła grzebać w torebce, aby wyłowić telefon.

– Niech pani poczeka – wstrzymała ją lokatorka. – Porozmawiajmy spokojnie.

– Rozmawiamy tak cały czas...

– Wszystko nabyłam od pana Sady za grube pieniądze! – Kobieta przewracała w szufladzie, aby znaleźć jakiś ważny dokument.

– Moje osobiste przedmioty też?

– A, nie. Pani rzeczy leżą w przedpokoju i radzę zabrać je stąd jak najprędzej, bo to już nie pani dom – Nielitościwie przypomniała Ludce okrutną prawdę.

– Jak to? – upierała się Ludka. – Tu są moje meble i moje rzeczy z trudem zdobyte. Wszystko tu jest moje.

– Już nie! Kobieto, oprzytomnij! – krzyknęła jej prawie w twarz. – Wszystko, co tu jest, kupiłam razem z mieszkaniem. Dużo zapłaciłam za te graty. Niech już pani idzie – złagodniała nagle nieznajoma. – Lepiej, żeby mój mąż pani tu nie zastał.

Ludka wyprostowała się i ogarnęła wzrokiem ściany własnego pokoju, w którym przeżyła wiele radosnych chwil. To tutaj rozbrzmiewał perlisty śmiech wychowawcy, tutaj odbywały się narady rodzinne całej trójki i tutaj jej mąż artysta tworzył w natchnieniu to, co podsuwała wena. Na wspomnienie minionych dni poczuła nagły ból w okolicy żołądka i suchość w ustach, ale tego nie okazała. Nie chciała, aby ta obca kobieta się nad nią litowała. Nie mogłaby od niej przyjąć najmniejszego gestu współczucia i żalu. Wyprostowała się jeszcze bardziej, westchnęła i powoli skierowała się do wyjścia, które nieznajoma już tarasowała swoją pulchną postacią.

– Pójdę już – powiedziała wyraźnie.

– Tak będzie najlepiej dla pani. – Nowa lokatorka lekko klepnęła ją po plecach, kierując do wyjścia.

– Proszę mnie nie dotykać! – Ludka z obrzydzeniem strząsnęła z pleców obcą dłoń. – Trafię do wyjścia. Mieszkałam tu prawie siedem lat. Znam drogę do drzwi.

– Niech jeszcze pani ten tobół zabierze, bo mi tu przeszkadza. – Pulchna kobieta wskazała wypchaną torbę podróżną, leżącą pod stylową konsolką zdobiacą przedpokój.

Ludka zatrzymała się, zerknęła w taflę lustra i się przestraszyła. Z odbicia patrzyła na nią kobieta smętna, zmęczona i stara, wyglądająca na chorą. Pogłaskała ulubioną konsolę i energicznie złapała sztywny uchwyt torby, błogosławiąc w duchu jej kółeczka, które teraz okazały się zbawienne. Bez słowa stanęła w progu, spojrzała na obcą twarz i kiedy nowa lokatorka zamykała drzwi, opatrzone jej wizytówką, zadała ostatnie pytanie:

– Czy mój mąż wspominał, gdzie mam go szukać?

Tym razem nieznajoma milcząco pokręciła głową, odczekała, aż Ludka przestąpi próg i cicho zamknęła za nią drzwi.

Ludka nie miała swojego miejsca na ziemi. Nadal była w szoku i nie potrafiła się z niego otrząsnąć. Mimo wietrznej pogody usiadła na przydworcowej ławeczce, aby zebrać myśli. Ogromna torba przypominała o przeszłości, o życiu pełnym radosnych uniesień, ale także zwykłej, szarej codzienności, która wcale nie była jej niemiła. Przyciągnęła za sobą aż tutaj to brzemie przerwanego życia, nawet nie znając jego zawartości.

Myśli, jak błyskawice, przewijały się w mózgu, za każdym razem podsuwając inne rozwiązania. Ale wszystkie były nie do przyjęcia, żadne nie było tym, które mogłoby zainteresować Ludkę, przerażoną sytuacją, w jakiej tkwiła od kilkudziesięciu minut. Była coraz bardziej przestraszona tym, co ją spotkało, bo wreszcie dotarła do niej cała prawda.

Patrząc na pękatą torbę, uświadomiła sobie, że cios, jaki zadał jej mąż, okazał się powalającym nie tylko na kolana. Ale jeszcze nie umiała na niego złorzeczyć, choć wiedziała, że została bez mieszkania, bez środków do życia, także i bez rodziny. Łudziła się jeszcze, że Artek odnajdzie się po jakimś czasie i wróci do niej skruszony, a ona będzie mogła go przygarnąć. Już teraz wiedziała, że mimo wszystko przyjmie go i wybaczy, i będzie udawała, że nic się nie stało. Żeby tylko wrócił. Żeby choć wiedziała, gdzie on jest... Żeby tylko nic złego mu się nie stało... No, bo chyba nie ukrywa się przed nią!

– Idiotka jestem, jak nie wiem co! – głośno zganiła samą siebie i szybko rozejrzała się na boki, aby sprawdzić, czy nikt jej nie podsłuchiwał. – Głupia jestem, ale i tak muszę przemyśleć plan działania.

Myślała intensywnie i ułożyła sobie szybki plan na najbliższe godziny. Najpierw nadała swoją torbę do dworcowej przechowalni bagażowej. Potem sprawdziła rozkład jazdy pociągów, aż w końcu znalazła się w wagonie wiozącym ją do Adeli, babki Basi. Tam spodziewała się krótkich wyjaśnień i drogowskazu na przyszłość. Nie przewidziała tylko, że i Adela może być bezradna. Na delikatne pukanie do drzwi babka Basi odpowiedziała szybko, szerokim gestem otwierając drzwi swojego skromnego mieszkania.

– Ach, to ty. – Rozczarował ją widok macochy wnuczki. – Wejdz, skoro już jesteś.

– Jestem roztrzęsiona i zagubiona, bo Artek...

– Lepiej nie wymieniaj imienia tego człowieka! Zaoszczędzisz mi nerwów, jeżeli nie będziesz go wspominać.

- Muszę o nim porozmawiać. Po to tu przyszedłam...
- Nie będę o nim rozmawiać, bo od razu ciśnienie mi rośnie. Chcę mieć spokój, muszę jeszcze pożyć, mam dziecko na wychowaniu – oświadczyła Adela w złości.
- Mówisz o moim dziecku?
- Ludko, ty nie masz dziecka... A teraz nie masz także i męża! – rzekła wyraźnie.
- Wiesz, co się stało? – spytała Ludka zbolalym głosem.
- Domyślam się.
- Powiesz, dlaczego to zrobił?
- Tego to on sam nie wie. – Kobieta lekceważąco machnęła ręką. – To chory umysł.
- Nie mów tak o nim.
- A ty przywyknij do tego, że nie mam dobrego zdania o twoim mężu. I do tego, że właściwie nie masz już męża, też przywyknij. – Ludka nie była pewna, ale wydało jej się, że usłyszała złośliwe nuty.
- Ale on... Artek jest... – próbowała ratować jego opinię.
- Nie musisz już go bronić! To drań świrnięty! Skrzywdził was obie! Moją córkę również, i to najbardziej z wszystkich.
- Nie osądzaj go, proszę, póki nie poznasz powodów jego postępowania – łagodnie zaczęła Ludka. – Ja też nic złego na niego nie powiem, dopóki z nim nie porozmawiam.
- Porozmawiasz! – Adela ironicznie zaśmiała jej się w nos. – Chcę to usłyszeć. A wiesz przynajmniej, gdzie go szukać?
- Myślałam, że ty mi powiesz...
- Ludko! Moja córka była nim zauroczona i wiesz, jak to się skończyło. Sądziłam, że ty, trochę dojrzała kobieta, zrozumiesz coś z tej nauczki, jaką od życia dostała matka Basi.
- Co chcesz mi powiedzieć, Adelo?
- Prawdę.
- Prawdę? Jaką prawdę? Wiesz coś więcej o moim mężu?
- Jakaś ty głupia, Ludko, jakaś ty głupia – westchnęła Adela. – Zupełnie niepotrzebnie się łudzisz. Uwierz w to, że on znów porzucił kobietę!
- Jaką kobietę?
- Ciebie, idiotko! Ciebie zostawił na lodzie!
- Wiesz, gdzie on jest? – Ludka z trudem wydobyła głos z gardła.
- Wiem. Bez nalewki nie jestem zdolna o nim mówić. – Adela ruszyła do kredensu, skąd zaraz wyjęła kieliszki i butelkę *Nalewki babuni*. – Najpierw powinnam cię znieczulić, a dopiero później przedstawić ci fakty.
- Jestem gotowa na prawdę. Chcę wiedzieć wszystko. – Przestraszona Ludka przysiadła na poręczu fotela. – Mów, Adelo...
- To łyknij sobie kropelkę – zachęciła Adela, sięgając po kieliszek.
- Ja rzadko piję. Teraz też nie mam ochoty.
- Pij, prawda będzie mniej bolesna – rozkazała w dobrej wierze. – Sama jesteś

sobie winna, bo tak samo, jak moja romantyczna Józefina, dałaś się nabrać na jego czułe słówka, imponującą klatę, piękne oczy i ten zabójczy lok nad czołem. Ty też nie chciałaś mnie słuchać, choć cię ostrzegałam. Teraz masz to, co masz!

– A co ja takiego dobrego mam? Same zgryzoty i niepewność na przyszłość. Zmartwienia, co z Basią...

– A tym akurat nie powinnaś się przejmować. Ojciec odpowiednio zabezpieczył ją na przyszłość.

– Zabezpieczył na przyszłość? Adelo! Zaczynj wreszcie mówić po ludzku.

– Sada sprzedał wasze mieszkanie, kupił kawalerkę w stolicy, resztę gotówki umieścił na koncie córki, wziął trochę kasy i ulotnił się – wyrzuciła jednym tchem, nie patrząc na Ludkę.

– Ulotnił się? Co to znaczy? – Ludomira miała ściśnięte gardło.

– Mówiłam, że jesteś za głupia, żeby to pojąć! Nie chciałaś słuchać moich rad przed ślubem – wypomniała jej Adela ze złością. – Ostrzegałam cię przecież, że nie będziesz odpowiednią żoną dla tego lekkoducha.

– Nieodpowiednią, bo zbyt duża różnica wieku była między nami, tak? O to ci chodzi? – spytała zaczepnie Ludka.

– Mówiłam, że jesteś głupia – prychnęła niezadowolona Adela.

– Przestań wreszcie mnie obrażać – wysapała Ludka ze złością i sięgnęła po kieliszek nalewki.

– Swojego Artka nie zobaczysz już nigdy – powiedziała z satysfakcją Adela. – Wstąpił do jakiegoś stowarzyszenia. Przejdzie badania, pośpieszne szkolenia i wyleci na Małe Antyle albo na Madagaskar. Będzie głosił słowo boże. Już go szkolą na kaznodzieję.

– Chce być misjonarzem? Przecież on nie ma powołania. Artek misjonarzem?

– Ludka zastygła z kieliszkiem w dłoni, wlepiając oczy w usta Adeli. – Powiedział ci o tym?

Adela kiwnęła głową.

– Spakował walizę, przesłał gdzieś pod Toruń i sam tam się udał, wzięwszy trochę gotówki.

– Artek jest pod Toruniem? – Ludka chciała wyciągnąć od Adeli adres.

– Mówię ci, że poszedł pod Toruń, do takich zapaleńców jak on.

– Pojadę tam – postanowiła Ludka, dopijając nalewkę. – Rozmówię się z nim.

– A wiesz chociaż, dokąd? Gdybyś jednak jakimś cudem się tam dostała, to i tak te przechrzty nie wpuszczą cię nawet za bramę opactwa. Nie pozwolą na żadne spotkanie. On już jest ich, a tak szybko nie wypuszczą go ze szponów nauki, którą głoszą – stwierdziła rzeczowo. – Twój Artek jest w ośrodku o zastrzonej regule. To jest specyficzny ośrodek przygotowujący mężczyzn do...

– To się jeszcze okaże! – zagroziła wojowniczo Ludka, już po kilku kieliszkach nalewki. – Dopadnę go, przekonasz się, i zmuszę go do spojrzenia mi w oczy! To mi się należy!

– I co ci to da? – Adela nagle złagodniała. – Głową muru nie przebijesz, gdy miłość wygasła.

– A tego nie możesz wiedzieć! Jest przecież takim dobrym mężem – rozplakała

się wzruszona Ludka. – Kochamy się, mamy rodzinę, dobrze nam ze sobą...

– Daruj sobie te żałobne wypominki! Spójrz lepiej prawdzie w oczy i zacznij myśleć o nim w czasie przeszłym. Był mężem! I już go nie ma i nie będzie!

– Zamiast mnie wesprzeć, przygnębiasz mnie jeszcze bardziej. Dlaczego mi to robisz? I tak wystarczająco się o niego martwię. Jest sam, daleko, nikogo tam nie zna, kto mu ugotuje, kto się o niego zatroszczy...

– Nie masz innych zmartwień, Ludomiro? – syknęła uszczypliwie Adela. – Twój Artek ma głowę na karku i zawsze spada na cztery łapy!

– Mówisz tak, żeby mi dokuczyć. – Ludka wydmuchała nos w ligninową chusteczkę. – A przecież Artek zawsze dobrze planował przyszłość i aż zapalał się do nowych pomysłów...

– Takich zapaleńców, jak twój Artek, potrzebują teraz tam, na tych mało zasiedlonych terenach. Ktoś musi nieść kaganek oświaty wśród dzikich plemion, spragnionych żarliwych przywódców politycznych, słowa bożego i powiewu cywilizacji.

– I tym kimś musi być mój mąż?

– Widocznie to lubi. Czuje się w tym spełniony. A sama przyznasz, że ma talent mówcy. Takich ludzi potrzebują wszystkie mafie... nawet te religijne.

– Jego miejsce jest przy mnie! Bo to mój mąż.

– Już niedługo – zapewniła Adela. – Arkadiusz zaocznie zażąda od ciebie rozwodu, wkrótce otrzymasz pozew... I nic z tym nie będziesz mogła zrobić.

– Ale ja się nie zgadzam! – krzyknęła histerycznie Ludka. – Nie dam mu rozwodu!

– To tylko tobie tak się wydaje. Nic nie zrobisz w tej sprawie. Nie masz wyboru. Rozwód otrzyma na pewno, nie powstrzymasz go.

– To się jeszcze okaże! – rzekła złowieszczo.

– A jednak głupia jesteś, że masz złudzenia.

– Adelo – jęknęła, zapominając, że powinna bronić własnej godności. – Pomóż mi, proszę.

– Jak mam ci pomóc? Co ja mogę dla ciebie zrobić? Jestem bezsilna, tak samo jak ty.

– Zostałam bez środków do życia – wyznała Ludka nieśmiało, ale w odpowiedzi usłyszała mocny głos Adeli:

– Ale z mieszkaniem! Masz swoje cztery kąty! Jesteś w lepszej sytuacji niż kiedyś moja Józefina. Ona miała jeszcze dziecko na głowie! I też mnie słuchać nie chciała. Lekceważyła rady matki. Ją też ostrzegałam, tak jak ciebie kiedyś. Ale ty oczywiście byłaś zakochana – zakpiła Adela.

– Byłam i nadal jestem. – Ludka spuściła głowę.

– Oprzytomnij, kobieto. Trafiaś na wyjątkowego drania. Mimo aktorskiej urody i daru elokwencji, on ma czarną duszę. I tylko Basi w tym całym zamieszaniu najbardziej żal.

– Basia wie o decyzji ojca?

– Nie – odrzekła Adela po krótkim namyśle. – Jeszcze jej nie mówiłam.

– A gdzie Basia zamieszka, gdy zaczną się wakacje?



- Jak to gdzie? - oburzyła się babcia Basi. - Tutaj.
- A co będzie ze mną? Gdzie ja się podzieję?
- Ludko, ty masz swój dom w tej małej miejscinie, w której dawniej żyłaś sobie szczęśliwie i czułaś się tam dobrze. Możesz teraz tam wrócić i zacząć życie od nowa.
- Mam wrócić do dawnego życia bez tych, których kocham?
- Tak musi być. Musisz zacząć wszystko od początku. Tam jest twoje miejsce, tam jest twoje życie - rzekła bezlitosna Adela.
- Nie mam swojego miejsca na ziemi. Moje życie rozpadło się w gruzy, mieszkanie ma współlokatorów, mąż mnie porzucił, a dziecko odepchnęło.
- To nie jest tak, jak mówisz. Basia nadal będzie twoją pasierbicą - zaczęła Adela ostrożnie. - I wiele możliwości jeszcze przed wami.
- Ale bez możliwości spotkań - szybko przerwała jej Ludka. - A poza tym, nie wiem, dokąd mam ją zaprosić na wakacje. Sama muszę urządzić sobie ciasny kąt do życia, w którym być może zabraknie dla niej miejsca.
- Przecież masz własne mieszkanie - przypomniała Adela. - Nie zrozum mnie źle, nie chcę ci niczego narzucić... Ja tylko przypominam ci, Ludko, że masz własny kąt.
- Mam. Prawdziwy kącik w malutkim pokoju, bo mieszkanie zajmują lokatorzy.
- W każdej chwili możesz z nimi zerwać umowę.
- Chyba nie. Muszę dać im trzy miesiące na wypowiedzenie.
- Pomęczysz się w tym czasie w jednej izdebce. Czas szybko zleci, zobaczysz.
- A jak nie zechcą się wyprowadzić?
- To już będzie twoje zmartwienie. Trudno, wtedy Basi do ciebie nie poślę - oświadczyła Adela. - Byłaś dobrą opiekunką dla mojej wnuczki. Za to jestem ci wdzięczna. I zawsze będziesz ją mogła tu odwiedzać.
- Biedne dziecko - westchnęła Ludka. - Od najmłodszych lat skazana na poniewierkę i nie ma szczęścia ani do rodziców, ani do opiekunów.
- Nie przejmuj się za bardzo. - Adela próbowała ją pocieszyć. - Dam sobie z nią radę. I nie martw się o nas, mam dochody i dużo sił, przecież jestem niewiele starsza od ciebie.
- Ale Basia jest częściowo moja i ja też jestem za nią odpowiedzialna.
- Już nie, Ludko. Ten obowiązek Arkadiusz mnie powierzył. Zwolnił cię ze wszelkich zobowiązań.
- Tak nie może być - rozplakała się Ludomira. - Nie potrafię żyć bez Artka. Był moją ostoją i całą miłością mojego życia.
- Twoja głupota przekracza wszystko - westchnęła Adela. - Dorośnij, Ludko, i spójrz na życie bez różowych okularów - zganiła ją twardo. - Wracaj do siebie i zapomnij o tym, że jesteś zamężną kobietą. I odezwij się od czasu do czasu. Mimo wszystko polubiłam cię, Ludko, i żał mi ciebie, naprawdę.

Ludce też było żal siebie. I w takim nastroju wróciła do swojego małego miasteczka, zadowolona, że pod osłoną nocy. Nie był to triumfalny powrót z honorami. Najbardziej zdziwili się lokatorzy, zszokowani jej późnym najściem. Przeciągnęła walizę przez próg i już zmierzała małym korytarzykiem do swojego kącika, ale zatrzymał ją w miejscu ostry głos.

– Tam pani nie może wejść!

– Słucham? – szepnęła, zatrzymując się jak wryta. – Bo co?

– Bo to jest pokój naszego dziecka.

– To nie ja jestem intruzem w tym mieszkaniu – powiedziała ostro i zamasyście otworzyła drzwi pokoju, który dotąd był jej kątem noclegowym. Głośno postawiła na środku pokoju ogromną torbę podróżną i rzuciła się z wyraźnym odprężeniem na jedyny fotel, wyciągając nogi przed siebie. Od razu poczuła ulgę w tej wędrownicy bez określonego celu. Była u siebie, we własnym domu. Ogarnęła wzrokiem całe pomieszczenie. Spojrzała na dwoje jeszcze młodych ludzi obok przebudzonego malucha, ściśniętych na wersalce z rozkopaną pościelą w żółte papużki, poprawiła się we własnym fotelu i oznajmiła stanowczo:

– Daję wam dwa tygodnie na wyprowadzkę.

– Ale... jak to tak? Mamy umowę...

– Umowę i oświadczenie, z którym należało się wcześniej dokładnie zapoznać. Jest tam wzmianka, że w razie konieczności natychmiast opuścicie moje mieszkanie – rzuciła bezlitośnie. – I teraz przyszła taka konieczność, a ja korzystam z tego prawa.

– Nie może nas pani tak po prostu wyrzucić.

– Toteż was nie wyrzucam. Możecie tu mieszkać do końca miesiąca. Potem rozwiązujemy umowę.

– Nie może pani tego zrobić!

– Bo co? – powtórzyła.

– Bo... bo nie mamy dokąd iść.

– To już nie moje zmartwienie – odparła spokojnie.

Wstała rażno i przesunęła walizkę pod drzwi. Zdjęła trenz i odwiesiła go na ramiączku w szafie. Uchyliła okno, aby wpuścić trochę świeżości nocy i przeszła do łazienki, omijając ludzi stojących w progu pokoju. Zachowywała się tak, jakby ich tutaj nie było.

Ale oni byli. W którąkolwiek stronę się zwróciła, natykała się na młodych, wodzących za nią oczami pełnymi przerażenia. Niby była sama w łazience, a czuła ich oddechy za drzwiami, słyszała szepty. Usiadła na brzegu wanny, westchnęła zniechęta i zastanowiła się nad swoim położeniem.

– Mam dach nad głową, lokum i własne łóżko – kołatało jej w głowie. – Później pomyślę o przyszłości. Teraz muszę się szybko pozbierać, otrząsnąć ze smutków, a świat wróci na dawne tory i może wyda mi się normalny.

Jednak niełatwo było wrócić do normalności, gdy za plecami cały czas czuła czyjaś, pełną wyrzutu, obecność. Ale życie dla niej też nie miało litości i się

z nią nie cackało. Sama niedawno zaznała upokorzenia i beznadziei. Jednak nie był to odwet za jej upokorzenia. Nie miała wyjścia. Musiała tak zrobić, żeby przeżyć, bo sama była w beznadziejnej sytuacji, do czego nikomu by się nie przyznała. No, może jedna Jadwiga zasługiwała na zaufanie. Ale do niej wybierze się później, kiedy ogarnie ten cały bałagan.

Odkręciła kran z wodą i nie ruszając się z miejsca, pogрузzyła się w myślach. Chciała zmylić młodych, pozorując mycie. Ale tak właściwie to nic jej się nie chciało, ani myć, ani jeść, ani spać, ani nawet płakać. Chciała tylko posiedzieć w samotności i uspokoić rozbiegane myśli.

– Pozwolę im pomieszkać u mnie jeszcze trochę, póki nie znajdą jakiegoś mieszkania – zadecydowała. – Chyba nie będziemy sobie tak bardzo przeszkadzać. Żal mi ich, niech więc jeszcze tu pomieszkają. Zaraz im to powiem.

Opuściła łazienkę, omijając wzrokiem dwójkę ludzi wpatrzonych w nią jak w obrazek. Ale zamiast tego, co postanowiła, rzekła stanowczo, wskazując własne legowisko:

– Proszę uporządkować moje łóżko. Chcę się położyć, jestem zmęczona.

– Zaraz, już, już... – zapewniła młoda kobieta, miotając się nerwowo po pokoju. – Może pani skorzystać z mojej pościeli.

– Zbytek łaski, mam swoją. Dziękuję.

– Chciałam dobrze... – mruknęła młoda przez łzy, zabierając pościel w żółte papużki.

– I jeszcze jedno. – Ludka zatrzymała ją w progu. – Weszliście bezprawnie do pokoju zamkniętego na klucz. Chyba nie chcecie, abym powiadomiła policję?

– Był pusty, a pani daleko...

– Nie mieliście do tego prawa i dlatego daję wam pół miesiąca na opuszczenie mojego domu.

– W tak krótkim czasie mamy się spakować i wyprowadzić? Naprawdę?

– Nie będzie chyba z tym wielkiego kłopotu. Przecież tu wszystko jest moją własnością.

– Dokąd... dokąd mamy iść? My...

– Proszę zamknąć za sobą drzwi. – Ominęła ich oniemiałych i dodała, kiedy już byli za progiem: – I nie hałasujcie, bo jestem potwornie zmęczona i walczę z bólem głowy. Mam chyba prawo do spokoju we własnym domu.

Spokoju jednak Ludka nie zaznała. Zza ściany dobiegało ciche pociąganie nosem, co mogło wskazywać na płacz. Słysząc też było męski głos uspokajający żonę i dziecko. Dopiero kiedy niewyraźne dźwięki wreszcie ucichły, Ludka wyciągnęła się swobodnie w ubraniu na niezaścielonej wersalce i zapadła w lekką drzemkę. Krótką, bo akurat zaczęło się coś dziać na ulicy. Hałas i wulgarne okrzyki postawiły ją na nogi. Nie pomogło zamknięcie okna, wciąż było słyszeć brzęk tłuczonego szkła i pijackie okrzyki. Równocześnie za ścianą rozplakało się dziecko. Choć rodzice starali się jak mogli, nie udało im się go uciszyć.

Tymczasem ból głowy się nasilił i Ludka zażyła następny proszek. Ale ból nie

mijał, podobnie jak płacz za ścianą i awanturnicze krzyki za oknem. Do tych hałasów dołączył dźwięk syreny policyjnej i nie można już było liczyć na spokój. Do tego doszedł jeszcze niepokój, który targał Ludką od dłuższego czasu, i w tej sytuacji mogła zapomnieć nawet o marnych kilku godzinach snu na własnych śmieciach.

Bo tak tu się czuła, w porównaniu z mieszkaniem poznańskim, które Artek przehandlował w tajemnicy przed nią. Jej panięńskie mieszkanie wyglądało nie tyle skromniutko, co ubogo. I teraz dopiero to zauważyła. Mebelki, przypadkowo ściągane do domu, były sprzętem użytkowym, wygodnym i przydatnym – tylko tyle i nic więcej. Nie dbała o ich jakość. Zaś to wszystko, co musiała zostawić w mieszkaniu Arkadiusza, miało wyraźny styl, urodę i to coś, czego brakowało praktycznym mebelkom w tym pomieszczeniu. Takie myśli krążyły jej po obolałej głowie w nerwowym oczekiwaniu na sen, którego nie spodziewała się tak szybko. A mimo to przyszedł niespodziewanie, kiedy już skołowane myśli nie nadążały analizować osobistych niepowodzeń. Przyszedł wtedy, kiedy postanowiła udać się do tego jakiegoś ośrodka werbującego mężczyzn do posługi w parafiach, przeprowadzić rozmowę z mężem, przedstawić mu swoje warunki i racje oraz stanowisko pasierbicy, a także zażądać wyjaśnień. I wówczas zasnęła.

Przebudził ją delikatny dotyk i cichy głos mężczyzny pochylającego się nad nią. W pierwszej chwili nie potrafiła się odnaleźć, wyrwana z mocnego snu, ale już w następnym momencie rozpoznała stare kąty i twarz człowieka.

– Ludko, chodź do nas – prosił Witold. – Mama mnie przysłała.

– Teraz, po nocy? – zdziwiła się, nie do końca przebudzona. – Skąd wiedziała, że tu jestem?

– Chodźmy, wszystko ci po drodze wyjaśnię.

– Witus – szepnęła, gładząc czule jego policzek. – To ty, na pewno to ty, Witusiu?

– Przyjechałem na kilka dni, a tu takie nieszczęście... Jesteś nam potrzebna, Ludko.

– Witusiu. – Pogłaskała jego ramię i w tym samym momencie znalazła się w jego silnych ramionach.

– Dobrze, że tu jesteś, nianiu. Dobrze, że akurat wróciłaś.

– Wróciłam? – spytała cicho, patrząc na swojego wychowanka. – Skąd wiesz, że wróciłam?

– A nie?

– Jeszcze nie wiem – westchnęła ciężko. – Za to widzę, że wydorostałaś, spoważniałaś i stałaś się taki męski jak twój ojciec.

– Tylko przypadkiem nie próbuj, nianiu, nazywać mnie panem – przerwał jej szybko. – I narzuć coś ciepłego na siebie, bo jest chłodny ranek.

– Która to jest godzina?

– Nianiu, ten płaszczyk może być? – Witold niecierpliwie okrywał ramiona Ludki prochowcem wyjętym z szafy. – Chodźmy już. Mama jest sama, martwię się o nią.

– Stało się coś złego? – spytała już w drodze do Białego Dworku. – Mówiłeś, Witusiu, o nieszczęściu, a do mnie dopiero teraz to dotarło.

– Tato się rozchorował...

– Nie wiem, czy będę umiała wam pomóc... – zmartwiła się, wchodząc do cichego pokoju z dużymi oknami, gdzie zwykle toczyło się życie tej rodziny.

Zanim skończyła zdanie, z ciemnych zakamarków domu wynurzyła się zapłakana Jadwiga. Podeszła do Ludki i wtuliła się w jej pierś. I trwały tak w przyjaznym uścisku, dwie zmartwione kobiety, ze łzami w oczach, chociaż powód do trosk każda z nich miała inny. Ludka od razu wróciła wspomnieniem do swego losu i sytuacji, w jakiej pozostawił ją Arkadiusz, zaś Jadwiga płakała nad utraconym szczęśliwym życiem.

Witold delikatnie przerwał te czułości, rozdzielił kobiety i posadził przy stole, gdzie nadal, co jakiś czas, przykładały chusteczki do mokrych oczu.

– Przestańcie się nad sobą użalać. Choroba to nie wyrok, a szpital też jest dla ludzi – próbował bagatelizować sytuację. – Każdemu się czasem zdarza tam trafić.

– Chcesz powiedzieć, synku, że właśnie taki czas przyszedł na ojca? – Jadwiga uśmiechnęła się blado. – Przecież on nigdy nie chorował, a ja...

– A ty, mamó, przestań rozpaczać. Ojciec jest pod dobrą opieką. I nie powinien widzieć, że się martwimy.

– Przecież tego nie widzi, a ja... nigdy mu nie powiem, jak bardzo mi go brakuje.

– Ojciec ma się coraz lepiej, mamó. Niedługo wróci do domu – obiecywał Witek przekonująco. – I wszystko będzie po staremu. Musisz tylko przypilnować, żeby się nie przepracowywał.

– Już ja się o to postaram – zapewniła Ludka.

– Mówicie, jakbyście go nie znali – prychnęła Jadwiga.

– Musisz na niego wpłynąć, mamó. Życie powinno toczyć się dalej. Ja wrócę do siebie, a wy, miłe panie, musicie już radzić sobie beze mnie. Będę was odtąd wspierał jedynie myślami. Ale codziennie będę dzwonił.

– Chcesz mnie tu samą zostawić, Witusiu? – spytała przez łzy.

– Masz tu Ludkę, mamó. Możesz też zaprosić siostrę... – zaproponował na odczepnego, ale już po chwili spodobała mu się ta myśl. – Właśnie, to dobry pomysł. Dawno się już nie widziałyście. Pogracie sobie w karty przy nalewce i życie od razu wyda się prostsze.

– Witku, sama mam tu zostać?

– Jak to sama? – zdziwił się. – Ojciec wróci za kilka dni, to będziesz miała sporo zajęcia. Ludka też od czasu do czasu na pewno cię odwiedzi.

– Codziennie będę tu przychodzić, proszę pani – zapewniła była niania.

– Mamó, ja muszę wracać do siebie. Zrozum, proszę. Mam napięte terminy i spotkanie z promotorem. Nie mogę go zawieść. Musisz się z tym pogodzić.

– Sama mam spędzać noce w tak wielkim domu? – Jadwiga nadal była przerażona.

– Zawsze byłaś sama – tłumaczył Witek. – Ja przebywałem w szkołach,

a ojciec siedział w fabryce. Przywykłaś do pustego domu, mamó. I teraz nic się nie zmieni. Nadal będzie tak samo.

– Będę częściej przychodzić i pomogę w niektórych robotach. I panem też się zajmę – pocieszyła ją Ludka. – Chociaż będę mogła czymś zająć moje niewesołe myśli.

– To miło z twojej strony, nianiu – ucieszyła się Jadwiga i zwróciła się do Witolda: – Co z ojcem, synku...

– Odwiedzę go przed wyjazdem i porozmawiam z lekarzem prowadzącym. Na pewno nie będą go tam zbyt długo trzymać.

– Ale to poważna choroba, synku. Zawał jest zawsze niebezpieczny.

– Dziś już nie, mamó. Medycyna dziś może cuda. Niedługo przedłuży nam życie aż do nieśmiertelności.

– Tak dobrze to chyba nie będzie nigdy – westchnęła Ludka – choć każdy na to liczy.

– Nie mogłeś studiować medycyny?

– Nie chciałem, mamusiu. – Uśmiechnął się rozbijając. – Nie mam zamiaru do dziurkowania, krojenia, sklejanego, szycia i obłudy.

– A do czego masz? – zainteresowała się niania.

– Stosunki międzyludzkie mnie interesują, i to właśnie zgłębiam.

– Wituś kończy studia w przyspieszonym terminie.

– Nie ma czym się chwalić. – Wzruszył ramionami. – Tak studiuje większość ludzi.

– No, ale ty jesteś wyjątkowy. Obrona pracy to już tylko zwykła formalność. Sam tak mówiłeś.

– Bo to prawda, mamó.

– A co potem będziesz porabiać, młody człowieku? – spytała Ludka.

– Potem na pewno poślę mnie na placówkę, dziką a odległą – powiedział z humorem, mrużąc oko.

– Oby tylko nie na Madagaskar albo Małe Antyle – mruknęła pod nosem ale i tak usłyszał.

– Dlaczego nie? Może być i Madagaskar. Wszędzie są teraz nasze placówki dyplomatyczne. Nawet odległe Małe Antyle zachęcają do zwiedzania i przyciągają swoją tajemniczością. Wcale bym się nie obraził na wypad na te wyspy.

– Lepiej nie, Witusiu, lepiej tam nie. Znamy już takich wędrowniczków, co trafią na Barbados – rzekła Ludka smutno.

Witek i Jadwiga spojrzeli po sobie.

– Znamy? – spytali oboje z ciekawością w głosie.

– Znamy! – potwierdziła z mocą. – Mówię, że znamy, to znamy! Mój mąż się tam niedługo zakotwaczy.

– Co to znaczy, Ludko? – Jadwiga spojrzała na nią z zainteresowaniem, zapominając na krótko o swoim zmartwieniu.

– Później powiem, pani Jadwigo, bo teraz na wspomnienie Arkadiusza zdolna jestem głową mur przebić! I jeszcze wtedy złość na niego by nie minęła.

– Ludko, ty potrafisz się złościć? – roześmiał się Witek.  
– Och, daj mi spokój, Witku!  
– A nie mówiłem? Już potrafisz się złościć na męża, i to bez wyraźnego powodu.  
– Witold – upomniała go matka.  
– Jest kilka powodów, proszę mi wierzyć. Zostawiam je na później. Zajmę się nimi w wolnej chwili i może wtedy wybuchnę – rzekła Ludka.  
– Czekasz, aż cię mąż sponiewiera, upokorzy, skopie lub zatłucze? Ludko! Wtedy już nie będziesz zdolna do złości. – Witold dręczył nianię nieświadom tego, co kobieta przeżywa. – Na męża nie można się złościć. Mąż to wielki skarb – droczył się z nią, robiąc zabawne miny.  
– Swoje rady zostaw dla kogoś innego! – prychnęła rozzłoszczona.  
– To sama przykra prawda, nianiu, i powinnaś...  
– Żebym ja ci nie powiedziała czegoś przykrego! Żebym ja ci nie przypomniała o twoich powinnościach! – zagroziła Ludka, przerywając mu wypowiedź.  
– Męża się szanuje, bez względu na wszystko. – Nie dawał za wygraną. – Szacunek broni cię przed klęską, bo inaczej mężczyzna cię w trąbę puści.  
– No, ciekawe, co ty byś zrobił, gdyby tak nagle Basia cię w trąbę puściła! – wyrzuciła z siebie Ludka złośliwie.  
– Basia? – Witold zamrugał powiekami. – Dlaczego Basia? Co ona ma do tego?  
– Już ty dobrze wiesz, co!  
– Nianiu, nie poznaję cię – wycedził Witold.  
– Powiedźcie mi, o co tu chodzi, bo nie nadążam. – Jadwiga domagała się wyjaśnień.  
– Och, mamu, sam nie wiem. – Witold lekceważąco wzruszył ramionami, nie patrząc na kobiety. – A Ludka wyraźnie się czepia.  
– To jest unik, Witku... – zaczęła Ludka, ale nie dokończyła, gdyż odpalił jej bez zastanowienia:  
– Taki sam unik wykonał Artek w stosunku do ciebie.  
Zaległa cisza. Słysząc było oddechy trzech osób, trwających w domysłach i rozterce. Najprędzej ochłonęła Ludka. Ominęła wzrokiem Jadwigę, smutne oczy skierowała na swojego wychowanka i rzekła spokojnie:  
– To są trudne sprawy między ludźmi. A ty, jako spec od ludzkich spraw międzynarodowych, lepiej powinieneś rozumieć te bliższe ciębie, te domowe.  
– Nianiu, nie chciałem, tak wyszło – zreflektował się nagle.  
– Wyszło. Jako przyszły dyplomata powinieneś wykazać więcej taktu i rozeznania, jak nie wiesz, to nie mów. No i trochę dyplomacji też by nie zawadziło.  
– Przepraszam, nianiu. Przepraszam. – Skruszony Witold pogładził jej łopatki.  
– Nie chciałem cię urazić, choć może tak to wyglądało. Chciałem się tylko podroczyć. Ale coś mi nie wyszło. Nie gniewaj się.  
– Ależ ja się nie mogę na ciebie gniewać – powiedziała cicho Ludka. – Mogę jedynie mieć do siebie żal, że zawsze ci pobłażałam i trochę cię rozpuściłam. To tylko moja wina, bo po prostu, nie do końca dobrze cię wychowałam... albo za

mocno polubiłam.

– Czy ja już nic tu nie mam do powiedzenia? Czy ja absolutnie nie mam żadnych zasług w wychowaniu mojego syna? – Obruszyła się Jadwiga. – Nie pomijajcie mnie w tej rozmowie.

– No, to porozmawiajcie sobie, ale już beze mnie. Daję wam okazję i na krótko się ulatniam. Posiedzę trochę nad moją pracą. Wybywam tylko na kilka chwil. Bawcie się dobrze, dziewczynki.

– Witusiu, powtarzasz słowa swojego ojca, miło je usłyszeć – ucieszyła się Jadwiga. – Ale nadal nic sensownego nie uzgodniliśmy. Co teraz z nim będzie?

– Co ma być, mamo? Wyzdrowieje i wkrótce wróci do domu. Ludkę masz do towarzystwa, a mnie do kochania. Na razie to ci musi wystarczyć. – Ukłonił się i wyszedł.

Udał się do ogrodu, gdzie stał rozległy świerk, przystrojony resztkami wyblakłych świecidełek. Tyle pozostało z pomysłowych dekoracji tej smarkatej, która głęboko wbiła mu kolec w serce. Na myśl o tym ogarnęła go jeszcze większa złość... i tęsknota. Bo znów chciałby napawać się jej widokiem, śmiechem, przekomarzaniem i tańcem oraz tym wszystkim, co wносиła do tego domu. Równocześnie poczuł złość na Ludkę za to, że odkryła to, co tak skrupulatnie skrywał przed światem. I przed sobą też! A najbardziej złościło go, że nie mógł się uwolnić od myśli o Basi.

Był już dorosłym mężczyzną, a ze wzruszeniem wracał do chwil spędzonych razem z nią, do jej tanecznych improwizacji i do szopy kędziorów na głowie. Na to wspomnienie od razu poczuł owocowy zapach jej włosów, jakże inny od jego zapachu, chociaż mył głowę tym samym szamponem, co wówczas ona. Zobaczył w wyobraźni ciężar szorstkich pukli, podskakujących przy najmniejszym ruchu, i odczuł to prawie boleśnie.

Znów spojrzał na iglaste drzewko i znów zatęsknił za tym trzpiotem, ale trochę inaczej niż w czasach swej wczesnej młodości. Zaczepił oko na fragmencie potarganej dekoracji i przypomniał sobie, jak to Basia, wspinając się na drabinę, przystrajała drzewko w samym środku lata. Podglądał ją wtedy. Ukradkiem obserwował z narożnego okna i żarliwie modlił się w duchu, aby spadła z drabiny albo potłukła się do nieprzytomności lub chociaż, co najmniej, kość jakąś złamała, byleby tylko została tu parę tygodni... Choć parę dni dłużej.

Niestety, omotał ją ten obcy człowiek, który po latach przypomniał sobie obowiązki ojcowskie i poszła za nim bez słowa. Podobnie jak Ludka, która nie zasłużyła na to, jak ją w końcu potraktował. Widać w tym tkwił cały diabelski urok tego niezwykłego człowieka. Ale to on, Witold Sonnefield, nie powinien pozwolić na to, co nastąpiło wówczas tak błyskawicznie, przewracając do góry nogami trzy światy. To on, Witold, powinien ująć los w swoje ręce i pokierować życiem własnej rodziny. Teraz był tego pewny. Wtedy był bezsilny, bo był dzieckiem. Dziś jest mężczyzną, nie mięczakiem.

Szybko oderwał się od swoich myśli i ostro wkroczył do pokoju. Kobiety nadal cicho rozmawiały, siedząc w tych samych pozycjach, w jakich je pozostawił. Stanął przed Ludką i ostro zapytał, przerywając jej w pół zdania:



- Dowiem się wreszcie, gdzie ukryłaś Basiulkę?
- Spojrzały na niego nieobecny wzrokiem. Ich rozmowa dotyczyła choroby pana tego domu i jego przyszłości. Nie były przygotowane na takie pytanie. W milczeniu nadal patrzyły na Witolda.
- Nianiu, gdzie jest Basia? Chciałbym ją zobaczyć.
- Zobaczysz. Dam ci adres i ją uprzedzę.
- Nie!
- Co nie? – zdziwiła się Jadwiga.
- Daj mi jej adres, nianiu – rzekł spokojnie, lekceważąc pytanie matki. – Resztę załatwię sam. I to wkrótce. Teraz ojciec jest ważniejszy. Bo mamą, mam nadzieję, zajmiesz się już ty, Ludko. Bardzo cię o to proszę.
- Obiecuję, Nitusiu. Bądź spokojny. Poradzimy sobie chwilowo bez mężczyzn. Nie martw się na zapas.
- Nitusiu... Dawno tego nie słyszałem. – Rozmarzył się na krótko. – Basia tak mnie nazywała.
- Pamiętam, Witusiu, pamiętam też, co jej obiecywałeś.
- Och, nianiu. – Uśmiechnął się do własnych myśli. – To było tak dawno i byłem wtedy strasznie głupi.
- A, byłeś, byłeś – przytaknęła Ludka z uśmiechem.
- Ale zmadrzałem trochę, toteż proszę o kontakt z naszą Basią.
- Kto wie, czyja ona jest – mruknęła Ludka.
- Jak mamy to rozumieć, nianiu? – zaniepokoiła się Jadwiga. – Co to znaczy, że nie wiadomo, czyja ona jest?
- A bo to, proszę pani, wszyscy chcą ją mieć na własność. Bo i babka chce ją mieć, i ja za nią tęsknię. A ojciec to już życia sobie bez niej nie wyobraża.
- I dlatego ją porzucił? – zdziwiła się Jadwiga.
- Dlaczego ja nic o tym nie wiem? – Witold usiadł przy stole naprzeciw niani, wbił wzrok w jej źrenice i rzekł stanowczo: – Żądam wyjaśnień, Ludko.

Otrzymał wyjaśnienia, które nie dość, że niczego nie rozświetliły, to jeszcze zagmatwały całą sytuację. Od razu chciał szukać Arkadiusza w tym ośrodku misyjnym i rozmówić się z nim po męsku, nie tylko języka używając, ale obie kobiety wybiły mu to od razu z głowy. Był zły, że kierują jego losem, że podejmują za niego decyzję, ale później, kiedy już ochłonął, w duchu przyznał im rację.

Usiadł przy oknie w oparach ciepłej nocy i spoglądając w rozgwieżdżone niebo, rozmyślał, co właściwie powinien zrobić, aby... Właśnie. *Aby* co? Czego chciał dokonać i czego oczekiwał od licealistki, która za niecały rok powinna wkroczyć w dojrzałe życie? Przy tym nie była sama, miała ojca, babcię i macochę. Czego więc on, dorosły mężczyzna, stojący na mocnym gruncie, zarabiający już na swoje utrzymanie, wspierający finansowo rodziców, spodziewał się po spotkaniu z dawną koleżanką wspólnych zabaw, która tylko przez przypadek zamieszkała tam gdzie on? Witold miał już swoje miejsce na ziemi i chociaż często przebywał poza domem, wracał tu jak okręt do portu. Ale

Basia cały czas była tylko łódeczką na wodzie, bez światełka przyciągającego ją do brzegu. I to on powinien służyć jej za latarnię, on powinien kierować ją do właściwego portu i sterować jej łodzią bezpiecznie i z sensem zarazem.

Myśląc tak, prawie natychmiast poczuł potrzebę szybkiego działania, rozmowy z nią, i jak zawsze w takich momentach, dotyku jej kędziorów. Ale teraz mógł jedynie zobaczyć jej pokój, tak dla własnego spokoju. I kiedy cały dom ogarnął sen, pozwalając jego mieszkańcom nabierać sił do przeżycia nowego dnia, Witold zakradł się do pokoju Basi.

Stanął w progu i od razu zobaczył jej śmiejące się oczy nad kartkami papieru zamasyżście kolorowanymi pastelowymi odcieniami kredek. I prawie usłyszał jej dźwięczny głosik dobiegający z okolic okna, gdzie lubiła siadać w świetle dnia, a później w kręgu jasnej lampki.

– Namalowałam cię, Nitusiu – powiedziała radosna, gdy pochylił się kiedyś nad jej kartką. – Jeszcze łódkę na brzegu muszę dorysować. Wybierz kredkę dla twojej łódki.

– Basiulku, ja pływam kajakiem – sprostował, podsuwając jej pod łokieć jasnoniebieski ołówek – i takim kolorem namaluj mój kajak.

– Kajak to też łódka – oświadczyła z przekonaniem, przyciskając kredkę do papieru. A kiedy próbował jej wytłumaczyć różnicę, wydeła usta: – Ale to pływa i to pływa – szybko mu przerwała i jeszcze mocniej przycisnęła kredkę, aż złamał się czubek.

– Zgadza się – przytaknął ze śmiechem, gładząc jej ciemne loki.

– No widzisz. I po co się ze mną kłócisz? Ja zawsze mam rację, choćbym jej nie miała. Jutro musisz mnie zabrać do przystani. Bez Ludki. Pójdę tylko z tobą. Razem popływamy. Popływamy, Nitusiu?

– Popływamy – obiecał, choć dobrze wiedział, że rodzice na to nie pozwolą, bo mimo że mieli do niego zaufanie, bali się o Basię. W ich oczach ciągle była mała i bezradna. I wciąż między sobą, po cichu, porównywali ją do swojej córeczki, której nie było dane nacieszyć się życiem.

Zaczął się zastanawiać, jak też Basia może wyglądać dziś. Z pewnością nie była już tą smarkulą, na którą tak lubił patrzeć, gdy wymyślała te swoje taneczne improwizacje. Poczuł, że coraz bardziej za nią tęskni. Przesunął się po ciemku w głąb pokoju i przysiadł na brzegu tapczanika, który niespodziewanie zatrzeszczał. Poprawił się, siadając głębiej, i dotknął poduszki. Basia lubiła ją przyciskać do ucha nawet wtedy, gdy grał z nią w gry planszowe, rozmawiał albo czytał bajeczki.

Jak on tego nienawidził! Nienawidził matkowania jej i sam nie wiedział, dlaczego pozwalał na te wszystkie pogawędki, wspólną zabawę i odrabianie lekcji przy jednym biurku. Już wtedy była zdolna. I to jemu zawdzięczała, że szybko nauczyła się czytać. Pomyślał z dumą, jak to Basia w wieku siedmiu lat sama przeczytała już poważną, grubą książkę. Wprawiła tym w osłupienie nie tylko rówieśników, którzy codziennie mozolili się, aby opanować kolejną literę z alfabetu. Ona była ponad to! I nigdy nie nudziła się na lekcjach. Już wtedy umiała zagrać swoją rolę.

Gdzie jest teraz i jak potoczyło się jej życie bez matki, bez ojca, z babką i macochą? Westchnienie musiało wystarczyć za odpowiedź. Pogłodził małą poduszkę w miejscu, gdzie wydawało mu się, że powinna spoczywać głowa dziewczynki. Ten gest rozśmieszył go trochę, a równocześnie rozżłościł.

– Zachowuję się jak pensjonarka! – rzekł do siebie i energicznie ruszył do drzwi.

W progu niemal zderzył się z kimś, kto tak samo jak on nie mógł zasnąć przez wieczorną rozmowę pełną wspomnień, i lekarstwa szukał w tym pokoju. Jadwiga często tu zaglądała i leczyła rany na duszy. Dziś miało być tak samo. Zaskoczyła ją obecność syna. Dzięki ciemności nie zauważył jej zdziwienia. Razem zeszli do kuchni, aby napić się melisy przed snem, i tak ich zastała Ludka, bo i jej sumienie nie pozwoliło spokojnie zasnąć.

Ranek dochodził, gdy udali się do swoich sypialni, a prawie wysoko na niebie zaświeciło słońce, kiedy Witold żegnał matkę i nianię przed następną podróżą do stolicy.

– Wstąpię jeszcze do szpitala i porozmawiam z ojcem. A wy, miłe panie, pomieszkajcie sobie tutaj tymczasem i nie denerwujcie się niczym. Ja czuwam. Wszystko więc będzie w porządku – zapewnił spokojnie.

Ale spokoju wcale nie było. Ludomira wróciła do siebie, by wysłuchać następnych złorzeczeń lokatorów, jaką to krzywdę im wyrządziła. Usłyszała jeszcze, że jest kobietą nielitościwą i surową, która bez odrobiny ludzkich uczuć naraża całą rodzinę na poniewierkę i przymusową przeprowadzkę. A kiedy jeszcze młody mężczyzna dodał, że życie ją ukarze za brak zrozumienia oraz serca, walnęła pięścią w stół, mocno zaciskając usta, aby nie powiedzieć za dużo.

– Dość! – rzekła po krótkiej chwili. – Postępuję zgodnie z prawem, przeczytajcie umowę. Wszelkie komentarze i uwagi zbyteczne. Pakujcie się jak najprędzej. Naprawdę, mam już was dość.

– Ale my...

– Przypominam, że to moje mieszkanie i zamierzam tu mieszkać. Sama. Bez was.

– Musi pani wytrzymać z nami jeszcze kilka dni – zaczął mężczyzna złośliwym tonem, ale mu przerwała.

– Dosyć. Już lepiej niech pan nic nie mówi. I proszę zejść mi z oczu. Ale już!

A gdy intruzi ukryli się w swoim pokoju, usiadła bezradnie w ulubionym fotelu, ugniecionym od częstego moszczenia się, i próbowała zebrać rozbiegane myśli. Nie były jednak związane z lokatorami ani z mieszkańcami Białego Dworku. Te pozostawiła sobie na później. Teraz ważniejsza była ona sama i jej niestały mąż. Już nocą postanowiła, że odnajdzie go za murami opactwa, że odwiedzi go za bramą jego raju i spróbuje z nim porozmawiać. Być może uda się jej nakłonić go do powrotu do domu, do statecznego i pogodnego życia, jakie dotąd wiedli. Gdyby tylko zechciał do niej wrócić, przerwać ten sen wariata, zapomnieliby o krzywdzie, jaką jej wyrządził. Zapomnieliby jego ostre słowa, których nie szczędził jej na pożegnanie, i wybaczyłaby mu wszystko złe, co

ostatnio stanęło między nimi. Żeby tylko zechciał...

A kiedy już siedziała przy rozmównicy, choć kosztowało ją niemało trudu, niepewności i nerwów zanim tu dotarła, zrozumiała, że nie będzie łatwo. Z pustką w głowie tkwiła przed ciemną ścianą z kauczukowego drzewa i liczyła sęki. Oko zaczęła na jedynym okienku, które swoim kształtem przypominało nieprzeniknione kratki konfesjonału. Gapiła się w tę kratę, gubiąc wszystkie myśli, z którymi tu dotarła.

Okienko było puste, zamknięte i ciemne. To nasunęło jej skojarzenie z oknem kasowym na dworcu kolejowym. Dawniej na metalową tacę z brzękiem wrzucało się monety, by już po chwili, po wprawieniu tacy w ruch obrotowy, wyłowić szary kartonik, jako przepustkę na podróż. Z lękiem zapatrzyła się teraz w to klasztorne okienko. Domyślała się, że nie dostanie ważnego biletu na dalszą podróż życia. Panujący półmrok nie nastrojał jej pozytywnie. Poczwała nagle zimno na plecach i strach. Sama nie wiedziała przed czym. Szybko poderwała się z jedynego krzesła, które stało naprzeciw rozmównicy, z zamiarem ucieczki, ale w tym samym momencie coś zgrzytnęło w ciemnej ścianie. Kratka z piskiem przesunęła się na niewidocznych zawiasach (zupełnie jak na dworcu kolejowym) i ukazał się jaśniejszy otwór, a w nim fragment twarzy. Obcy głos zachęcił:

– Proszę mówić.

Nogi ugięły się pod Ludką, pot wystąpił na czoło i mechanicznie zajęła miejsce z powrotem. Wzruszenie odebrało jej mowę. Nisko pochyliła głowę, prawie wsuwając ją do dziury w ciemnej ścianie. Starła się zajrzeć w czeluść otworu, gdzie też było ciemno.

– Proszę mówić – powtórzył głos.

Dotarło do niej, że nie jest to głos jej męża, co od razu ją rozzłościło. Miała pozwolenie na widzenie z Arkadiuszem. Czwała się jak przed konfesjonałem, słysząc ten pokorny szept z drugiej strony ściany. Złość gdzieś odpłynęła, nogi jej zmiękły i głos odmówił posłuszeństwa.

– Gdzie jest Artek? – wyszeptała ze ściśniętym gardłem.

– Tu nie ma Artka. Tutaj jest brat Anton. Tak go nazywamy.

– Mało mnie obchodzi, jak się do niego zwracacie! – Ludka nagle odzyskała siły. – To już nie ma żadnego znaczenia. Chcę rozmawiać z moim mężem.

– Powtórz, z kim chcesz rozmawiać? – Usłużny szept ledwie do niej docierał.

– Mam pozwolenie na rozmowę z Arkadiuszem Sadą.

– Poproszę. – Drobne palce poruszały się nerwowo w otworze.

– Ale co? – Ludka zapomniała o ściszanym w dłoni kartoniku z logo klasztoru, który dostała w sekretariacie zakonu.

– Pozwolenie! – Głos niewidzianego człowieka stał się bardziej ostry. Karteczka zniknęła w czeluści otworu. – Anton jest teraz na modlitwach – rozległo się po chwili.

– A co mnie to obchodzi? Chcę go zobaczyć!

– To niemożliwe. Jest na modlitwach.

– Przywołaj go, i to już! Na dalszą modlitwę będzie miał całe życie. Teraz ja jestem ważna. Wezwij go tu natychmiast. Nie mogę długo czekać!

– Jednak będziesz musiała.

– Ile?

– Trochę.

– Jak długo?

– Długo.

– Mam zezwolenie na widzenie od zaraz...

– Tu nie ma widzeń, jak w więzieniu – sprostował szybko głos. – Tutaj tylko się rozmawia.

– To przywołaj mojego męża na rozmowę, i to szybko. Chcę go natychmiast zobaczyć! Szybko, ale już! – zagroziła zbuntowana.

– Mówiłem...

Dobrotliwy głos wyzwał w niej agresję, dlatego przerwała mu ze złością:

– A ja ci mówię... – zaczęła i wsunęła rękę do ciemnego otworu, chcąc dosięgnąć widocznej tam postaci, ale kratka opadła na jej dłoń. Syknęła z bólu. Chwilę się szarpała, a kiedy to nie pomogło, krzyknęła tak, jak Basia na Witolda, w chwili wielkiego wzburzenia. Krzyk dziecka działał na nią wtedy jak wybuch bomby.

– Co robisz, głupku jeden! – wydarła się.

– Nie wrzeszcz, Ludomiro – usłyszała ostry głos Arkadiusza. – I zachowuj się, jak damie przystało!

– Artek – szepnęła. – Jesteś tu. Dlaczego na mnie krzyczysz? Lepiej porozmawiaj ze mną.

– To ty chciałaś rozmawiać i po to tu przyszedłaś. – Słowom towarzyszył zgrzyt podnoszonej kratki.

– Pokaż mi swoją twarz albo chociaż pozwól się dotknąć – błagała, wciskając dłoń w otwór, za którym słychać było głos męża.

– Nie warto, Ludko. Żyjemy już w innych światach.

– Dlaczego to zrobię? – Cofnęła ręce, rozmasowując powoli obolałe miejsce.

– Odkryłem własne powołanie. Zrozum to.

– A co będzie ze mną, Artek?!

– Zapomnisz. Dasz sobie radę.

– A Basia? Artek, co mam powiedzieć twojej córce?

– Nic. Lepiej się do tego nie mieszaj. To moje dziecko.

– Trzeba kończyć. Czas mija – usłyszała znienawidzony głos dyżurnego zakonnika.

– Co to znaczy kończyć? Jeszcze nie zaczęliśmy rozmawiać. Co on wymyśla? Artek! Co z nami będzie? – Ludka wsunęła rękę do ciemnego otworu, chcąc chociaż dotknąć męża, skoro nie mogła go zobaczyć. – Artek, powiedz coś!

– Z nami koniec, Ludomiro – powiedział cicho i w ciemnym otworze zamigotała bielą znajoma dłoń.

Ludka już miała dotknąć suchych i ciepłych palców męża, które tak dobrze знаła, ale zamiast nich dotknęła kawałek drewna, który podsunął z cichym:

– Przebacz.

W okienku, prócz ręki męża, zobaczyła kawałek jasnego drewnianka. Odruchowo odsunęła krzyżyk, przy pomocy którego chciał skruszyć jej sumienie. Odeszła jej też ochota na dotyk ręki Arkadiusza.

– Dokonałem już wyboru w życiu – szepnął. – Wybacz.

– To znaczy, wybrałaś wolność – rzekła, unosząc się z krzesła. Pochyliła się lekko w stronę ciemnego otworu i dokończyła: – Pamiętaj, wolność kończy się tam, gdzie zaczyna się krzywda drugiego człowieka.

– Wybacz, Ludko. – Znów w okienku pojawiły się nielakierowane drewnianka złożone na krzyż. – Na ten krzyż, wybacz...

Swą prośbą wywołał jednak odwrotną reakcję. Złość Ludki spotęgowała się do tego stopnia, że nie kontrolowała epitetów piętrzących się w myślach. Już kiedyś nagromadziła ich wiele, gdy nasłuchiwała się przeróżnych inwektyw, jakie ciskały w siebie dzieciaki w Białym Dworku. Wtedy ją raziły, ale mimowolnie kodowała je w myślach. Nie sądziła, że kiedyś je zastosuje; że z taką łatwością pamięć z nich skorzysta. W przyptywie impulsu, z prawdziwą przyjemnością wykrzyczała je teraz, nachylając się do ciemnego „okienka widzeń”, gdzie już pojawiły się dłonie męża.

– Pieprz się, ty łysy czubku jeden! – I z wściekłością zasunęła ciężką kratę, zamykając w ten sposób ostatni rozdział życia z Arkadiuszem Sadą. – Spadaj na drzewo banany prostować! Pieprz się, głupi głupku! I nie pokazuj mi się na oczy ty... ty niewydarzona pokrako! Nie chcę cię oglądać. Nigdy!

Opuściła to przynębiające pomieszczenie, zdziwiona, że nadal słońce świeci i śpiewają ptaki. Przystanąła za bramą, nabrała do płuc większą dawkę tlenu i ruszyła, nie oglądając się za siebie. Już po pierwszych krokach poczuła wolność i ulgę. Ale to już jej nie zdziwiło.

Zdziwiło ją natomiast to, co postanowiła Jadwiga. Właścicielkę Białego Dworku zastała w otoczeniu obcych ludzi i wielu tobołków, porozstawianych w różnych częściach domu. Już w czasie otwierania bramy wyczuła niejasną sytuację, ale weszła jak do siebie, chcąc szybko porozmawiać z Jadwigą. Oczekiwała, że pani domu wyłoni się z zakamarków parteru, jak zawsze to czyniła, ale zamiast niej, w progu stała młoda osoba, przybierając dość swobodną pozę, wyraźnie dając do zrozumienia, że Ludka nie jest tu mile widziana. Jedną rękę wsparła na szczupłym biodrze, gdy tymczasem drugie ramię zawisło teatralnym gestem nad głową, opierając się na futrynie drzwi.

*Brakuje tylko metalowej rury – pomyślała Ludka złośliwie – i mogłaby ćwiczyć taniec w klubie nocnym.*

Nieznana, młoda kobieta wciąż stała w drzwiach, bez słowa miętoląc w jaskrawych ustach grudkę ciągnącej się gumy do żucia, mlaskając przy tym z upodobaniem. Ludka próbowała pod jej ramieniem wślizgnąć się do środka, lekceważąc ją jak intruza, ale trafiła na opór. Widać w tym delikatnym ciele drzemał silny charakter.

– Czego? – warknęła. – Dokąd?

– Jak to, dokąd? – zacukała się Ludka, nie przygotowana na takie traktowanie.

– No, dokąd! – Dziewczyna tarasowała wejście. – Czego chce?

– Do mnie ta mowa? – Ludka udała lekceważące zdziwienie, choć dobrze wiedziała, że nie ma tu nikogo oprócz nich.

– No, pytam, czego? – Wyblakłe oczy wciąż ją świdrowały.

– Chcę się zobaczyć z panią Jadwigą – powiedziała wyraźnie.

– Ale ona nie chce!

– Panienko, nie będziesz o tym decydować! Muszę porozmawiać z panią Jadwigą!

– Zapytam, czy zechce kogoś przyjąć.

– Zaczekam.

– No, myślę – mruknęła.

– Myślenie zawsze jest budujące – rzuciła Ludka złośliwie, nie patrząc na dziewczynę, do której nie umiała już nabrać sympatii.

– Ciotka, jest tu ktoś do ciebie! – zakrzyknęło chude indywiduum w głąb domu. – Zejdź porozmawiać!

– Kto przyszedł? – dobiegł lękliwy głos.

– Kto jest? – Pannica wyniosłe spojrzała na Ludkę, która udawała, że nie zrozumiała tego wzroku, ale młoda kobieta popędziła ją do odpowiedzi. – No, kto tu przyszedł, pytam?

– Do mnie ta mowa? – Ludka powtórzyła pytanie. – Mnie panienka zapytuje?

– No. – Ruchem brody wskazała na Ludkę. – Kim jest i czego chce?

– Ludomira – powiedziała niania wyraźnie, patrząc w świdrujące ją oczy.

– Jadzka, jakaś Mira przyszła – rzuciła chuda przez ramię.

– Wpuść ją, Lukrecjo. Czekam na nią.

– Co za zwyczaj! – Nieznajoma wzruszyła ramionami. Odsunęła się jednak i powiedziała od niechcenia: – Już niedługo to się skończy. Niech wejdzie. Ale na krótko! Nie znoszę obcych we własnym domu.

Ludomira spojrzała na nią uważniej, nie mówiąc głośno, co myśli. Zanim jednak energicznie przekroczyła próg Białego Dworku, rzekła zgryźliwie:

– To jest własność Sonnefieldów. Pani Jadwiga jest we własnym domu, nie pani.

Skierowała się do salonu, ale powstrzymała ją nieprzyjemna odzywka za plecami:

– Gdzie idzie, no! Jadzia jest na górze, w swoim pokoju.

– Słucham, gdzie? W swoim pokoju? – Wściekła Ludka przystanęła, okręcając się w miejscu. – Tu wszystko jest własnością pani Sonnefield.

– Phi! – Młoda wzruszyła ramionami. Zaciąkała krwistymi ustami, wypuszczając z nich balona, który natychmiast pękł z hukiem, i przez zęby wycedziła: – To się jeszcze okaże!

– Co panienka tu robi? – powtórzyła Ludka, nie speszona jej wrogością.

– To już moja sprawa. Nie mam zwyczaju tłumaczyć się byle komu – rzekła dziewczyna i odwróciła się plecami.

– Grzecznością panienka nie grzeszy – mruknęła Ludka i wspięła się na schody, „na górkę”, jak mawiał Adam. Zobaczyła Jadwigę, która krzątała się z głośnym sapaniem. Do worów upychała rzeczy Basi, by przygotować jej pokój dla innej lokatorki. Część niepotrzebnych już mebli i tak czekała na korytarzyku, by przenieść je gdzie indziej.

– Co tu się dzieje, pani Jadwigo, mogę zapytać?

– Pomożesz, Ludko? – usłyszała zamiast odpowiedzi. – Musimy wynieść to do piwnicy.

– Nie lepiej zaczekać z tym na Witolda albo pana?

– Same też damy radę. To tylko taka mała przeprowadzka...

– Moja już trzecia w ostatnim półroczu – mruknęła Ludka. – Nawet tych małych nie znoszę.

– Mam rozumieć, że nie pomożesz? – Jadwiga wyprostowała plecy i zakurzoną ręką otarła krople potu z czoła, zostawiając brudną smugę.

– Przecież pomogę – bąknęła Ludka. – Zastanawiam się tylko, czy pan wie, co tu się dzieje.

– Nie chciałam go martwić i obarczać jakimiś dodatkowymi obowiązkami. I tak ma dużo trosk.

– Aha – domyśliła się Ludka. – Witold też pewno nie zgodziłby się, żeby obcy zamieszkali pod tym dachem.

– Ludko. To nie są obcy. To moja siostrzenica... tak jakby. Jest pasierbicą mojej siostry. Chwilowo nie ma gdzie mieszkać, a ja... ja czuję się bardzo samotna w tym wielkim domu i...

– Przecież obiecałam, że pani pomogę, i w czasie choroby pana, i później też... Mogę nawet tu zamieszkać, żeby być na każde wezwanie. Niepotrzebna tu ta lukrowana panienka, ten wymoczek...

– Ludko! – Jadwiga spojrzała na nią złym okiem. – Ale ja... ja już pozwoliłam jej zamieszkać. I jak mam teraz powiedzieć, że cofam słowo?

– Zapomniała pani w tym wszystkim, że zawsze może na mnie liczyć – rzekła Ludka z pretensją – i to bezinteresownie. Przecież nie zostawiłabym pani samej.

– Lukrecja zostanie tu tylko do powrotu Adama. Potem sobie już coś znajdzie.

– Nie jestem tego taka pewna – mruknęła Ludka, patrząc na Jadwigę takim wzrokiem, że ta spuściła oczy. – Ciekawa jestem reakcji Witusia.

– Nie myślisz chyba uprzedzać go o wszystkim. – Jadwiga wpadła w lekki popłoch. – Lukrecja trochę pomieszka, szybko się wyprowadzi, a Witold nie musi o niczym wiedzieć... Ani Adam.

– Wiedziałam, że oni są innego zdania. Pan dowie się najprędzej, co tu się wyprawia, bo już niedługo wróci ze szpitala. Witold prawie już tu nie mieszka, więc chyba będzie mu wszystko jedno.

– A właśnie! Trzeba przygotować pokoje na powrót pana. – Jadwiga zmieniła temat.

– Od razu się tym zajmę.

– Ale jeszcze nie skończyłam opróżniać pokoju Basi – dodała Jadwiga zrezygnowana. – Ludko, pomożesz?



- Po co pani pyta? Skoczę tylko zmienić sukienkę. Mogę iść do siebie?
- Ludko, nikt ci tego nie zabrania. Masz tu nadal swój pokój. I dalej czuj się swobodnie...
- Już niedługo – doleciało do nich spod balustrady. – Już niedługo zaprowadzę tu porządek, bo widzę, że ciotka całkowicie nie radzi sobie ze służbą.
- Pannica nie powinna stać pod drzwiami i podsłuchiwać – zaczęła ją pouczać Ludka. – Pannica powinna zająć się sprzątaniami przydzielonego jej pokoju.
- Od tego mam służbę. A służba nie będzie mi rozkazywać. Nie życzę sobie. – Wzruszyła ramionami, zadarła nos jeszcze wyżej i zeszła na parter.
- Tego jeszcze w tym domu nie było. Złość na smarkulę Ludka wyładowywała w czasie porządkowania pokoju Basi, ale nawet wtedy czuła wściekłość na to czupiradło, przybłąkane nie wiadomo skąd. Nigdy nie widziała tu Lukrecji, w ogóle nie wiedziała o jej istnieniu. Nigdy się o niej nie mówiło. Pomstowała na nią, kiedy sprzątała gabinet, pomstowała w salonie. Uspokoiła się nieco, kiedy przeniosła na górę i ustawiła w równym rzędzie jej paki i walizy, pod drzwiami dawnego pokoju Basi. Z przykrością patrzyła na młodą osobę panoszącą się w domu, jakże inną niż Basia, której śmiech jeszcze brzmiał jej w uszach. Pocięszała się, że to ponure, kościste i pyskate dziewczętko będzie tu tylko chwilowo. Adam miał powrócić za kilka dni, a to do niego należała każda decyzja.
- Stało się jednak inaczej. Witold akurat był na głównej ulicy, kiedy zadzwoniła do niego Lukrecja. Nie od razu zorientował się, z kim rozmawia, bo właściwie prawie wcale jej nie pamiętał. Znał ją tylko z krótkiego pobytu na wakacjach, gdy byli dziećmi, z późniejszych rozmów rodziców i z przelotnych, okazjonalnych spotkań. Kiedy rozpoznał głos kuzynki, nie ułatwiło to rozmowy.
- Witek, musisz przyjechać i się nią zająć. Musisz to zrobić jak najprędzej! Musisz! – alarmowała Lukrecja. – Ona utrudnia mi życie!
- Słucham, o czym ty mówisz? Kto utrudnia ci życie? Mów wyraźniej, Lukrecjo. – poprosił, niezbyt zainteresowany losami kuzynki. – Nie zapominaj, że nie mam żadnych zobowiązań wobec ciebie.
- To prawda, nie masz mnie wpisanej do swojego dowodu osobistego, ale rodziną chyba powinieneś się zająć.
- Nie musisz mi dawać takich wskazówek, Lukrecjo, bo względem twojej rodziny nie mam żadnych obowiązków, o czym wiesz doskonale.
- Ja mówię o twojej matce! To ona przeszkadza mi żyć.
- Moja mama? Co u was robi moja mama? – zdziwił się, nie nadążając za słowami pełnymi wykrzykników, bo myśli miał zajęte ważną sprawą, na omówienie której już nie starczyło czasu w domu, ani w pachnącej pościeli, ani przy stole ze skromnym śniadaniem, które był zmuszony sam przygotować tego ranka.
- Nie radzę sobie z Jadwigą. Jest kłębkim nerwów i nie wiem, co robić. A na niańkę zupełnie się nie nadaje! Tymczasem jestem tu z nią sama.
- Tu, to znaczy gdzie?

- No, w domu... W waszym domu.
- Co ty robisz w moim domu? - Wreszcie rozmowa stawała się jaśniejsza.
- Mieszkam chwilowo, bo ciotka Jadwiga mnie zaprosiła... A teraz nie jest miła i ciągle płacze i płacze, i nie wiem, co mam robić.
- Stało się coś nieprzewidzianego, że mama...
- Tak... - doleciało w chwili, gdy pilnie wypatrywał narożnej, nowo otwartej cukierenki, w której umówił się z Adą. Telefon trochę go rozpraszał.
- Później mi o tym opowiesz - powiedział, odczytując już z daleka widoczną nazwę lokalu, do którego właśnie zmierzał. - Nie mogę dłużej rozmawiać, stoję w korku.
- Ale to ważne, bo...
- Za chwilę się odezwę - skłamał szybko, bo już był przy wejściu do cukierni, gdzie czekała go trudna rozmowa. - Utknąłem w korku, sama rozumiesz....
- Ale Jadzia... - Kuzynka nie ustępowała. Nie chciał dłużej słuchać jej wynurzeń, zajęty swoimi sprawami, ważniejszymi od tych, które miała do przekazania. Tak mu się przynajmniej wydawało. Bąknął więc coś na odczepnego, a kiedy i to nie pomogło, dodał wyraźnie i głośno:
  - Niedługo zadzwonię. Cześć.

I spokojnie zrobił to, co zaplanował. Wiedział, że rozmowa z dziewczyną, która czekała na niego w cukierni, będzie trudna, gdyż Ada nie należała akurat do tych łatwowiernych. To była harpia, która ogarniała go swoimi mackami. Chwilami miał już tego dość. Ale że była urodziwa, zabawna i miła, zwlekał z tą rozmową aż do teraz. Poza tym chwile z nią spędzone nie należały jednak do straconych.

Ada lubiła robić wszystko, prócz porządków, prania, gotowania oraz zakupów spożywczych. Ale i tak czuł się dobrze w rozgardiaszu, który stwarzała. I choćby dopiero co poukładał wszystko na swoje miejsce, przy niej od razu przedmioty te tworzyły artystyczny bałagan. Wiadomo, była artystką w każdym calu. I to mu się podobało w tej szalonej dziewczynie. Miała wyjątkowy dar bałaganienia, wicherzenia rzeczy martwych i przewracania wszystkiego, co stawało na jej drodze, a przy niej nigdy nic nie znajdowało się na wyznaczonym miejscu. Zdarzało się, że po jej odejściu cukiernicę znajdował w największym garnku (po co go kupił, skoro jadał na mieście!), a ulubiony nóż z piłką do krajania pieczywa leżał spokojnie na półce z książkami, kiedy to porządkował mieszkanie po tajfunie, jakim okazywała się Ada. Zresztą ostatnio tkwił ciągle w takim artystycznym nieładzie, gdyż Ada więcej czasu spędzała w jego mieszkaniu niż w swojej zabałaganionej kawalerce. On zaś zmuszony był spełniać jej kaprysy, również ku własnej przyjemności. Brakowało mu czasu, a także chęci, na porządki w mieszkaniu. Umoralniać zaś nie lubił, bo wiedział, że Ada jest indywidualnością, nie przyjmującą uwag od nikogo. Toteż godził się dotąd na wszystkie jej fanaberie, łącznie z tajfunem w jego domu.

A jeszcze nie tak dawno mieszkanie, pachnące czystością, zwykle czekało na niego, kiedy wracał z dalekich służbowych podróży. Teraz jednak, kiedy jego praca ograniczała się do krajowych urzędów, a Ada omotała go swoim kobiecym

czarem, zmuszony był przebywać w czymś, co go trochę raziło. I zaczynała już męczyć. Pochodził z domu, gdzie przykładano wagę do porządków. Jego przyzwyczajenie do ładu burzyła kobieta, która już zaczynała go powoli drażnić. Nigdy jej tego nie powiedział, a teraz zamierzał to ubrać w obłudne słowa. Nie na próżno przeszedł szkolenie w dyplomacji.

Wszystkie dorosłe lata nauki spędzał bez obecności kobiet. Przywykł do swojej samotności i do tego, że był samowystarczalny, zarówno w kuchni, jak i przy odkurzaczu. Wiedział, że gdyby matka to widziała, byłaby z niego dumna. Ale tak rzadko wyrwała się z domu do wielkiego świata, choć lubiła jego nocny zgiełk, światła lokali i teatrów. Pochodziła przecież z wielkiego miasta, gdzie kwitło życie nocne. Ale poszła za mężem tam, gdzie zaproponowano mu pracę, i już nie tęskniła do wielkomiejskiego życia. Nauczyła się kochać to, co miała w pobliżu. Witold zaś nie zawsze miał czas na atrakcje oferowane nocą przez miasto. Jego kalendarz wypełniała praca i nagroda w postaci Ady, pulchnej, ciepłej, gibkiej, zasłuchanej w dźwięk własnego głosu, który prawie nigdy nie milkł.

I owa nagroda czekała teraz na niego w miękkim foteliku niewielkiego lokalu, pachnącego dobrą kawą. Już wyobrażał sobie jej zimne oczy patrzące na niego z naganą i usta bez uśmiechu, wymalowane według najnowszych kanonów mody, zarzucające mu spóźnienie. Bo, oprócz tego wszystkiego, co lubiła Ada, nie znosiła oczekiwania na coś, co w jej mniemaniu należało jej się od życia, które dotąd ją rozpieszczało, płynęło beztróska i zawsze według jej planu. Sądziła, że tak będzie i teraz, przez cały czas znajomości z Witoldem, której nie zamierzała szybko kończyć. A może nawet nigdy.

Nieśpiesznie wkroczył do cukierenki i sprawnie wyłowił wzrokiem zniecierpliwioną młodą kobietę, siedzącą przy stoliku w mrocznym narożniku sali, z dala od okien. Zwróciła w jego stronę ponurą twarz i nawet kolorowa odzież, idealnie zgrana z kolorytem jej włosów i cery, nie rozjaśniła ani na moment tej zaciętej miny. Postanowiła udawać urażoną, zlekceważoną i zaniebawaną. Wiedziała, że jej fochy działały na niego twórczo. Spodziewała się i teraz osiągnąć zyski za swój cenny czas poświęcony na czekanie na niego.

I tu się zawiodła. Tym razem było inaczej. Nieczuły na jej miny, powitał ją dość ozięble, jak jej się zdawało, i bez wylewności. Minęło przecież zaledwie kilka godzin od rozstania w domu, od miłego sam na sam i zapewnień o trwałym uczuciu. Przyzwyczajona do składania jej hołdów przy różnych okazjach, poczuła się rozczarowana takim traktowaniem i już miała zaprezentować focha z odpowiednim słownictwem, kiedy zadzwonił jego telefon. Akurat w momencie, kiedy siadał naprzeciw niej, przy małym okrągłym stoliku. Kelnerka w lot wyłowiła nowego klienta i już po chwili Ada składała zamówienie, co nie uszło uwadze Witolda, mimo że rozmawiał przez telefon. Nie okazał zdziwienia, widząc, jak Ada pcha się w następną gafę. Już nie gorszyły go te nowoczesne maniery, jakże różne od tego, czego nauczono go w rodzinnym domu. Stał teraz z aparatem przy uchu, wyprostowany jak struna, i ze ściśniętych szczęk wysunęło się zapewnienie:

- Zaraz tam będę. Już jadę. Jestem z tobą. Kocham cię...
- O, nowa miłość staje między nami – rzuciła niewinnie piękność przy stoliku.
- Zbieraj się – rozkazał, nie siadając. – Muszę natychmiast opuścić miasto.
- Wyjeżdżasz? Teraz? Już?
- Natychmiast!
- Na długo? – Powoli dopijała kawę, nie ruszając się z miejsca.
- Być może na zawsze. – Rzucił na stolik niebieskawy banknot i ujął Adę za ramię.
- A co będzie ze mną?
- Musisz opuścić moje mieszkanie w tempie błyskawicznym.
- Chyba żartujesz. – Obraziła się. – Dokąd mam pójść?
- Ulokuj się u jakiejś koleżanki, tymczasowo, dopóki nie wrócę...
- Wspominałeś przed chwilą, że może nigdy tu nie wrócisz.
- Może i tak się zdarzyć. Pospiesz się z tym pakowaniem – ponaglił, kiedy już byli w mieszkaniu.
- Wszystkie swoje rzeczy mam zabrać?
- Za wiele ich nie masz, jak widzę. Spakuj wszystko. Odwiozę cię, gdzie będziesz chciała – powiedział, pośpiesznie upychając swoje koszule, garnitur i bieliznę oraz buty do niewielkiej torby podróżnej.
- Czy to koniec naszej znajomości? – Ada nagle przygasała.
- Co ci przychodzi do głowy? Po prostu zamykam dom i wyjeżdżam. Nie mam teraz głowy do zamartwiania się o współlokatora.
- Ale dokąd mam pójść? Witek, nie wyrzucaj mnie.
- Masz przecież swoje mieszkanie – rzekł, pochylony nad torbą, do której niedbale wrzucał przybory toaletowe wyniesione z łazienki.
- Sprzedałam...
- Dziewczyno, moje życie legło w gruzach, nie dowałaj mi jeszcze i ty.
- Nie mam dokąd pójść – wyznała ze łzami w oczach.
- Zawiozę cię do teatru. Dogadasz się z jakąś koleżanką i może przygarnie cię na krótki czas... Dopóki nie wrócę.
- A jak nie wrócisz?
- To będziesz musiała chwilowo radzić sobie sama. Nie mogę bez końca układać twojego życia.
- Mnie by to nie przeszkadzało – mruknęła. – Mogłoby tak być.
- Nie teraz, Ado, teraz nie chcę o tym rozmawiać. To dokąd cię podwieźć?
- Może Arka da się namówić na wspólne mieszkanie – westchnęła głośno Ada, schodząc po schodach. – Ostatnio coraz lepiej jej się powodzi i na forsie nie zależy jej tak bardzo jak innym. Może mnie przygarnie.
- Oby. To byłoby najlepsze rozwiązanie – odparł Witold, myśląc o czymś innym. Wsunął torby do bagażnika samochodu. Zaraz potem szybko wręczył jej kilka banknotów:
- To na początek, abyś z głodu nie umarła.
- Nie zależy mi na twojej kasie. – Odepchnęła jego dłoń.
- Bierz! Każdemu zależy na forsie. Tej twojej kasiastej Arce też. Weź to na

dobry początek z koleżanką. A tak w ogóle, co to za imię: Arka! Pseudonim sceniczny, czy co?

– To skrót. Wszyscy ją tak nazywają. Bo trochę dziwnie brzmi niedzisiejsze imię: Barbarka.

– Rzeczywiście, uduziwnione jakieś. Nienowoczesne – przytaknął, myśląc o tym, co działo się w domu rodzinnym.

– Poznam cię z nią, kiedy wrócisz.

– Sądzisz, że mi zależy? – spytał, gdy już stanęli na tyłach teatru.

– Myślałam, że zechcesz poznać osobę, która poratuje twoją dziewczynę w potrzebie...

– A tego to jeszcze nie wiem – przerwał jej, wyjmując torby z bagażnika.

– Czego nie wiesz? – Na moment przytuliła się do niego, ale szybko ją odsunął.

– Czy chcę poznać Arkę i czy ty na pewno jesteś moja.

– Wiedziałam, wiedziałam, że mnie porzucasz! – Próbowała histeryzować, ale szybko zgasił jej wybuch.

– Posłuchaj, Ado! Po powrocie znajdę cię i dokończymy tę rozmowę. Ulokuj się tymczasem możliwie wygodnie. Znajdę cię. Teraz naprawdę muszę już lecieć. Bywaj zdrowa, pa! – Cmoknął powietrze nad jej czołem i z piskiem opon ruszył przed siebie.

Nawet nie zdążyła zapytać, dokąd tak pędzi, łamiąc przepisy drogowe. Obwiesiła się torbami i zrezygnowana wcisnęła bocznymi drzwiami na tyły teatru, gdzie miała wspólną garderobę z kilkoma koleżankami. Były na próbie. Nawet tu słyhać było ich donośne głosy, modulowane siłą ekspresji tekstu wyuczonego na pamięć. Wyłowiła dźwięczny i zadziorny głos Arki, której jako jedynej osobie bez wykształcenia artystycznego powierzono nietuzinkową rolę w tym zgranym zespole. Jeszcze nie była aktorką, jeszcze nie podjęła studiów w szkole teatralnej, a już reżyser wyłapał gdzieś tam jej talent aktorski i powierzył ważną rolę. Cały zespół aktorów był zszokowany, ale już po kilku próbach na prawdziwych deskach poważnego teatru obsada zaakceptowała angaż tej niedoszłej aktorki. Bo była doskonała, wprost rewelacyjnie urocza, i dlatego dostała od razu główną rolę.

Miała też w sobie coś, co zjednywało jej przyjaciół. Po prostu dawała się lubić. Śmiech nie zniknął z jej pogodnego oblicza, chętnie podejmowała tematy różnych rozmów i była prawdziwą dziewczyną z krwi i kości, z którą można było pośmiać się, a w milczeniu obejrzeć film. Jej cięty język zdążyli poznać wszyscy i to on był jej obrońcą, a nie jakiś napchany mięśniak, wytatuowany na całym ciele. Znana była z szybkiej riposty i niewybrednych epitetów, kiedy przychodziła odpowiednia chwila, by je zastosować. Postrzegana jednak była jako dziewczyna ułożona, dobrze wychowana, pogodna, z radością w oczach. Była jedyńczością, to też było wiadome, i nie chwaliła się żadną rodziną. Nie była jednak chętna do mówienia o sobie ani też nikogo nie zapraszała do swojego domu. Wokół niej zawsze kręciły się koleżanki, choć nie była rozrzutna. Wiadome też było i to, że mieszkała w stolicy sama, blisko liceum, w którym tej

wiosny miała zdawać maturę.

Słyszając ją teraz na scenie, Ada nieco się uspokoiła. Wiedziała, że młodszą od siebie o kilka lat i naiwną koleżankę, za jaką ją uważała, namówi na wspólne mieszkanie i będzie miała zapewniony kąć chwilowo albo i na dłużej. Nawet była pewna, że tak będzie. Rozczarowanie przyszło prędzej, niż się spodziewała. Ada nawet nie podejrzewała, że w tak wiotkiej osobie drzemie tyle asertywności, konsekwencji i siły. Bo chociaż Arka mówiła cicho i spokojnie, jej słowa docierały do Ady tak wyraźnie, że już za to mogłaby ją uszkodzić. Miała jeszcze nadzieję, że dziewczyna zmięknie, toteż łagodnie z nią postępowała, chociaż już po pierwszych słowach miała ochotę wytarosić ją za te gęste kudły, poskręcane w ciemne pierścionki, których jej zazdrościła, ilekroć na nie patrzyła.

Arka siedziała teraz na dosuniętym taborecie przy stoliku przed lustrem, kończyła makijaż i szczotkowała swoje gęste pukle, szykując się do opuszczenia teatru. Obok stało puste krzesło, które należało do Ady. Kiedy więc zjawiała się Ada i stanęła za plecami Arki, dziewczyna nie zmieniła pozy i nawet na moment nie przerwała szczotkowania. W wielkim lustrze odbijały się torby, niedbale rzucone pod ścianę, bijące po oczach tak wyraźnie, jak wykrzyknik w odezwie do narodu. Arka już wiedziała, o czym będzie rozmowa. Domyśliła się, zanim Ada otworzyła usta. Dalej jednak w skupieniu przyglądała się swojej twarzy, wyraziście odbijającej się w tafli lustra, i starannie układała fantazyjną fryzurę. Gdy skończyła, podniosła się z krzesła. W tej samej chwili przycisnęła ją do taboretu ręką koleżanki. Arka popatrzyła na rękę, potem na Adę widoczną w tafli lustra i rzekła spokojnie:

- Co to ma znaczyć? Zabierz tę rękę.
- To tylko koleżeński gest.
- Jesteśmy koleżankami? - Arka wstała z taboretu, strzepując niewyraźny pyłek z ramienia, gdzie jeszcze niedawno spoczywała ręką Ady.
- Tak. Gramy w jednej sztuce.
- Ale to nie znaczy, że jesteśmy koleżankami - powiedziała z opuszczoną głową, sprawdzając coś w torebce. - Żegnam, do jutra.
- Arka, zaczekaj. Mogłabyś mnie przenocować, bo...
- Nie - rzekła krótko.
- Tylko kilka nocy, potem już...
- Nie!
- Przecież masz wolną chatę. Nie bądź taka nieużyta! Przygarnij koleżankę.
- Już ci mówiłam, nie jesteśmy koleżankami.
- Mam forszę.
- Tym bardziej nie mogę się z tobą kolegować. Cześć!
- Poratuj koleżankę. Zostałam bez dachu nad głową. Chłopak uciekł ode mnie, a ja sprzedawałam swoje mieszkanie - jęknęła Ada płacząco, widząc, że Arka zamierza wyjść.
- Mądry chłopak - uśmiechnęła się Arka. Już zamykała za sobą drzwi, kiedy przeszkodziła jej silna ręką Ady.

– Życie zemści się na tobie, zobaczysz! – wrzasnęła tak głośno, że słychać ją było w całym teatrze.

– Jedna zemsta więcej czy mniej, to dla mnie nic nowego – odparła spokojnie Arka. – Przywykłam do tego od najmłodszych lat.

– Rozpuszczę niewinną plotkę, że współpracujesz z wywiadem zagranicznym, bo skąd ta forsa przychodzi do ciebie, no, skąd?

– Też o tym wiesz? – spytała Arka z kpiną. – Kto cię poinformował?

– Ta osoba, która widziała cię w banku.

– Teraz ty mnie posłuchaj, Ada. Żadna plotka nie jest niewinna, ale nie dbam o to, bo nigdy nie będziemy koleżankami. Zakoduj to sobie w pamięci na wieczność i nie domagaj się powodu mojej decyzji. Nigdy też nie próbuj mnie szantażować ani śledzić, bo może się to dla ciebie skończyć boleśnie. Skorzystaj z mojej rady, nie szukaj kontaktów ze mną. Nigdy, żadnych. A najlepiej odsuń się ode mnie trzy kroki w bok. Na zawsze! Pamiętaj, trzy kroki w bok!

– Nie bądź taka pewna siebie. Mam sposoby, byś nie zadzieriała nosa.

– Nie chce mi się z tobą rozmawiać.

– Domyślam się, że masz stałą ochronę! Inaczej nie byłabyś taka ważna i zarozumiała. Ale ja i tak cię zniszczę.

– To się śpiesz, ale zanim to zrobisz, pozdrów serdecznie tego swojego chłopaka, bo to mądry człowiek. On jeden dobrze poznał twoją pazerność, fałsz i obłudę. Chęć zysku masz wypisaną na tej swojej uroczej i dobrotliwej twarzy. I nie licz na to, że ja się nabiorę na twoją nieszczerą dobroć. Radzę ci po babsku, spadaj z afisza mojego życiorysu. Od zaraz.

– Nikt cię nie upoważnił, zarozumiała smarkulo, do wydawania opinii na mój temat. Jesteś zepsutym i wrednym bachorem!

– I ten wredny bachor miał cię przygarnąć pod swój dach, u takiego bachora chciałaś zamieszkać?

– Zniszczę cię na scenie! Zobaczysz, że zniszczę ci życie!

– Nie będzie to twój debiut, karierowiczko. Znana jesteś z kopania głębokich dołków. – Arka nadal uśmiechała się do Ady. – Pozwól jednak podarować sobie cenną radę: hotel daje dach nad głową. I tam się kieruj.

Tymczasem Witold kierował się w rodzinne strony. Minął już granice miasta i zjechał z autostrady w boczną drogę, skąd było bliżej do domu. Nigdy nie było mu tak śpieszno jak dziś. Po nerwowej rozmowie z matką załatwił swoje sprawy w ministerstwie, a nawet otrzymał kilka dni urlopu okolicznościowego.

Bał się spotkania z surową matką. Postanowił wcześniej porozmawiać z nianią. Już przemyślał strategię działania. Musiał tylko zatrzymać się we właściwym miejscu i połączyć siły z Ludomirą. Staął na krótki popas, bo od skromnego śniadania minęło sporo czasu, i już po pierwszym łyku kawy usłyszał głos Ludki.

– Wituś, przyjeżdżaj jak najprędzej – płakała do słuchawki. – Potrzebny nam tu jesteś.

– Zaraz tam będę. Jesteś z mamą, Ludko?

- Teraz nie. Jest z nią Lukrecja. Ja przyjechałam po Basię, bo wiesz...
- Gdzie jesteś, nianiu?
- Jestem u Basi. Czekam na korytarzu. Dom jest zamknięty, a kluczy do jej mieszkania nie mam. Basia nie przychodzi. Czekać długo nie mogę, bo mi pociąg ucieknie. Ostatni mam wieczorem. Nie wiem, co robić...
- Nianiu, ja jestem już w drodze do domu. Mogę zawrócić i zgramę was po drodze. Chcesz, przyjadę po was. Długo to nie potrwa. Decyduj się szybko.
- Nie, Witusiu, wróć koleją. Jeszcze nie wiem, czy Basia będzie chciała ze mną jechać. Ona ciągle jest poza domem, a ja tu sterczę na schodach jak bezpański pies.
- Nianiu, dzwoń do niej i każ jej szybko wracać, albo najlepiej zostaw jej kartkę w drzwiach i zabierz się ze mną. Zawrócę i po ciebie przyjadę.
- Nie, nie trzeba, Witusiu. Muszę jeszcze tu zostać. Mam okazję sprawdzić, jak dziewczyna radzi sobie bez opieki dorosłych. Przecież to moje dziecko. Teraz tylko ja jej zostałam.
- Ja też!
- To dobrze, ale teraz jedź do domu, Witek, tam na ciebie czekają. A ja przyjdę jutro. Och, Wituś, aż boję się popatrzeć na biedną Jadwigę. Jedź do niej. Może tobie uda się choć na chwilę ją uspokoić. Może choć przy tobie zaśnie troszeczkę. Boję się o nią, gdy widzę, jak strasznie to przeżywa.
- Nianiu, jak to się stało?
- Porozmawiamy jutro. Teraz jedź do domu, tylko uważaj na siebie. Trzymaj się kółka kierownicy. Całus na drogę, dzieciaku.
- Nianiu, nie zapominaj, przecież stary koń już jestem. Do zobaczenia jutro. Trzymaj się dzielnie chociaż ty, Ludko. - Wyłączył telefon i dopił resztkę kawy.
- Była już chłodna, a takiej nie znosił. Tym razem nawet nie poczuł smaku zimnego napoju. Uścił rachunek, zaopatrzył się jeszcze w jakiś batonik, tak na wszelki wypadek, gdyby naszła go ochota na coś słodkiego w podróży, i ruszył do celu. Nic przyjemnego tam na niego nie czekało. Wiedział o tym. I domyślał się, czego od niego oczekiwano w sytuacji, w jakiej się znaleźli. Jadwiga nie nadawała się do żadnych interesów i rozmów, a on miał swoje życie z dala od domu, wypełnione terminami po brzegi.
- Mamo - tłumaczył jej, kiedy tylko przekroczył próg - przeniesiesz się do Warszawy. Zamieszkamy razem.
- Ale tutaj, synku, jest to wszystko, co mam - broniła się słabo.
- Sprzedasz dom i kupimy dla ciebie jakieś wygodne mieszkanko. A póki co, pomieszkasz ze mną. Dam ci większy pokój, ale i tak chwilowo będzie nam ciasno. Przemęczymy się. Wkrótce wyjadę, całe więc mieszkanie będzie do twojej dyspozycji.
- To niemożliwe, Witusiu... - szepnęła, spuszczaając oczy.
- Wszystko możliwe. Ostatecznie zaniży się cenę i dom pójdzie bez problemu. Już ja się o to postaram.
- Niemożliwe, Witoldzie. - Spojrzała na syna. - Dokonałam darowizny. Zapisałam dom...



– Co zrobiłaś? – przerwał jej podniesionym głosem, zapominając, że w domu jest żałoba. – Mamo! Nie czekałaś na moje rady?

– Tak jakoś wyszło, synku – usprawiedliwiła się niewinnie.

– To co? Jestem tu bezprawnie? – zachnął się. – To już nie jest mój dom?

– Witold!

– Powiesz mi, komu go podarowałaś?

– Lukrecji... – wyjaśniła nieśmiało. Dodała coś jeszcze po cichu i zamilkła.

I znów nie czekał, aż skończy. W milczeniu patrzył na matkę i wyobrażał sobie jej desperację, jaką musiała przeżywać, by dokonać, jego zdaniem, tak nieprzemyślanego czynu. Ale taka była jej wola i nie on powinien ją osądzać. Kiedy milczenie matki się przedłużało, rzekł krótko:

– Wobec tego zaraz wyniosę się do hotelu.

– Witoldzie – powstrzymała go płacząco.

– A ty, mamo, masz prawo do zajęcia choć jednego pomieszczenia? – zapytał uszczypliwie. – Nie mówię o piwnicy ani stryżku.

– Przestań! – zachnęła się. – Nie pominęłam cię w tym zapisie. Dom został podzielony na dwie części, a moja połowa przypadła tobie – wyjaśniła rzeczowo.

– Takie było życzenie ojca.

– Uzgodniłaś to z nim? Był na to czas, mamo? – Zdziwił się, że tak mało znał rodziców. – Potrzebna wam była taka rozmowa? Rozmawialiście o podziale majątku?

– Kiedyś, dawno temu. I to ojciec zdecydował, żeby zostawić tobie tę większą i starszą część domu.

– Uzgodniłaś z ojcem darowiznę dla Lukrecji?

– Nie – przyznała otwarcie. – Na drugą połowę domu zapisu dokonałam samodzielnie, bez uzgodnienia z kimkolwiek.

– Pośpieszyłaś się.

– Masz rację, pośpieszyłam się – przytaknęła pokornie.

– Twoja decyzja, mamo, i zgadzam się z nią. Masz prawo zrobić z domem co zechcesz. I z ogrodem również. Mnie nic do tego.

– Adam też tak mówił – ożywiła się trochę. – Przewidział i to. Wiedział, że taka będzie twoja wola.

– Swojej połowy też się zrzekam na twoją korzyść. Pojedziesz ze mną do Warszawy i tam dokonamy odpowiednich zapisów. Zaraz zabieram cię do siebie i zamieszkamy razem.

– Nigdzie nie pojedę – rzekła stanowczo. – Tutaj zostanę, synu. Tutaj mam znajomych, Ludkę i Adama. W Warszawie nawet i ciebie nie miałabym, bo ciągle gdzieś latasz.

– Taką mam pracę, mamo.

– Wiem. Ale znajdziesz czas, by tu nieraz wpadać?

– Będę musiał, skoro ty nie chcesz przenieść się do mnie. Znajdę wtedy dla siebie kawałek łóżka w tym domu?

– Po co ta złośliwość, synu? Zachowałam dla ciebie tę starszą część domu. Tutaj są nasze pokoje, gabinet ojca i salon, jak dawniej, i bez zmian.

- Dobrego wyboru dokonałaś. Przepraszam, mammo.
  - Wiedziałam, że się ucieszysz. W twoim pokoju wszystko jest na swoim miejscu. Tak jak zostawiłaś.
  - Kochana jesteś, dziękuję.
  - U Basi tak samo. Wszystko wróciło na swoje miejsce. Ludka już się o to postarała.
  - Czy mam zrozumieć, że tam było małe przemeblowanie?
  - Było. Duże. Ale już jest tak jak dawniej.
  - Mam nadzieję, mammo, że Lukrecja nie pęta się po twojej części domu, nie wchodzi ci w drogę i nie miesza się do twoich spraw.
  - Lukrecja zupełnie nie przeszkadza. Siedzi cicho w tych dwóch pokojach z łazienką, przydzielonych jej przez Adama.
  - Omówiłaś z nią tę darowiznę?
  - Nie. Jeszcze nic jej nie mówiłam. Lukrecja wie, że może tu mieszkać tymczasowo, w tej nowszej części... Wiem, że pośpieszyłam się z decyzją... bo to ona... to pod jej wpływem.
  - Mammo, uważałam cię za silną osobę, a ty pozwoliłaś sobą manipulować. I to komuś takiemu! Dobrze choć, że dałaś jej tę mniejszą część. – Machnął ręką na zgodę. – I tak będziesz tu miała dużo sprzątanania. Mnie nadal wystarczy ta moja dawna dziupla.
  - A Basia, syneczku, też się na to zgodzi? Jej też wystarczy tylko jeden pokój?
  - Mammo, przecież ona tu nie przyjeżdża.
  - Ale gdyby się pojawiła... Nie będzie miała żalu, że okroiłam ten dom?
  - Mammo, to twój dom i twoja decyzja. Ja popieram wszystko, co robisz. Basia chyba nie pojawi się nawet w tak ważnym dniu, jaki nas wkrótce czeka.
  - A ja ciągle na nią czekam. Zawsze – szepnęła przez łzy.
- Widząc to, podszedł do matki i cmoknął ją w czoło. Po czasie dotarło do niego, że tym gestem naśladował ojca i mógł wywołać smutne skojarzenia. Ojciec odszedł z tego domu, z tego miasta i z tego życia, i teraz on jest głową rodziny. I to on musi zapewnić matce właściwe warunki, musi się nią opiekować, aby nie odczuła samotności i pustki.
- Żeby już Ludka przyszła. I niechby już pojawiła się Basia* – pomyślał z drżeniem serca i aż spociał się z wrażenia na samą myśl o tym. Wtedy łatwiejsza byłaby każda rozmowa i myśli mamy krążyłyby po innej orbicie. Dlaczego Baśka lekceważy ten dom i rodzinę, choć nie ma powodów? Niechby choć raz się pokazała i uszczęśliwiła mamę. Ciekawi mnie, jak bardzo się zmieniła, odkąd stąd odeszła. Pewno jej nie rozpoznam przy najbliższym spotkaniu. Przecież nie widziałem jej kilka lat.
- Chciałabym, żeby Basia tu się zjawiała – wyznała Jadwiga płacząc, jakby przejrzała myśli syna.
  - Miejmy nadzieję, mammo, że może przyjedzie na pogrzeb ojca – zapewnił matkę obłudnie, bo wcale nie miał tej pewności.
- Ale Basia nie pojawiła się w Białym Dworku. Nie spotkała się też z Ludką,

wyczekującą pod progiem jej mieszkania. I chociaż macocha wydzwaniła do niej uporczywie, dziewczyna odpowiadała ciągle, że nie ma czasu na rozmowy i tak szybko wyłączała telefon, że Ludka nie zdążyła powiadomić jej o tragedii w rodzinie Sonnefeldów. Esemesów jeszcze nie nauczyła się wysyłać. Karteczka wyrwana z notesu, w pośpiechu zapisana przez Ludkę krzywymi literami, została zatknięta za blaszką dzwonka, tuż przy drzwiach, już w ostatniej chwili, prawie przed odjazdem. Złośliwość rzeczy martwych spowodowała, że i ta wiadomość nie dotarła do dziewczyny, o czym niania dowiedziała się dużo później. Tak widocznie zdecydował los, który wyboru dokonał za Basię. Bo teraz ważyły się jej losy.

Pracowała zawzięcie, nie oszczędzała się w niczym, dużo czytała i cały wolny czas przeznaczala na teatr. Siedziała na widowni i w garderobie, a nawet na deskach sceny, nie tylko podczas prób sztuki, w której dostała tak ważną rolę. Szkołę warsztat aktorski, bo nadal pragnęła zostać teatralną artystką. Wiedziała, czego chce, i doskonale czuła się na scenie. Między innymi i w ten sposób przygotowywała się do egzaminów na studia, bo o maturze już zdążyła zapomnieć. O tym, kim może zostać i kim jest teraz, przypominały plakaty z jej udaną podobizną, rozklejone na słupach ogłoszeniowych w różnych punktach miasta. Jej ambicja zawodowa była mile polectana przez próżność kobiecej natury i nie ukrywała, że z przyjemnością czyta własne nazwisko, dotąd nikomu nieznanie. Chciała dużo osiągnąć, dlatego pracowała z prawdziwym fachowcem w tej dziedzinie nad mimiką, głosem, postawą i charakterem, w nadziei, że jej nazwisko niejedyn jeszcze raz ukaże się na afiszach.

– Nie wierzyłeś we mnie, czubku jeden. Szkoda, że tego nie zobaczysz – mówiła w myślach do Witolda, patrząc na swoją podobiznę na plakacie. – Obiecałam, że będę aktorką i dopnę swego. A ty, głupku, tego nie zobaczysz!

Myliła się. Na premierze jej sztuki Witold był przez zwykły przypadek. Z ramienia swego ministerstwa towarzyszył pewnym osobistościom w rozrywkach kulturalnych. I tam, na prawdziwej scenie, na suchych i trochę trzeszczących deskach, zobaczył to swoje cudo, już bez przydługich rękawów swetra, rozciągniętego do granic możliwości, bez jego przetartego dresu o za długich nogawkach, zakrywających wówczas jej szczuplutkie łydki. Teraz była widoczna w całej okazałości kobiecego uroku. Nie był na to przygotowany. Nawet nie zdążył zapoznać się z programem i afiszami sztuki. Bilety wręczono mu w ostatniej chwili, tak bardzo pośpiesznie, że na nic już nie miał czasu. W końcu to nie on miał przeżywać uniesienia artystyczne, tylko ci, którym towarzyszył. O tym właśnie był przekonany, dopóki nie zobaczył jej na scenie.

I znów, jak dawniej, walczył z pokusą. Natychmiast, już, od razu chciał dotknąć tych gęstych kędziorów, które teraz jakby jeszcze bardziej poskręcały się w trakcie ruchu na scenie. I tak jak dawniej, zapragnął zanurzyć palce w ich szorstkości, pochylić się nad jej głową i poczuć zapach jej ciemnych pierścionków i gładzić je, i głaskać... Im bardziej o tym myślał, tym większa przychodziła ochota, by wskoczyć na scenę, porwać ją w ramiona i unieść daleko od tego miejsca. Niecierpliwa pokusa podsuwała mu różne rozwiązania.

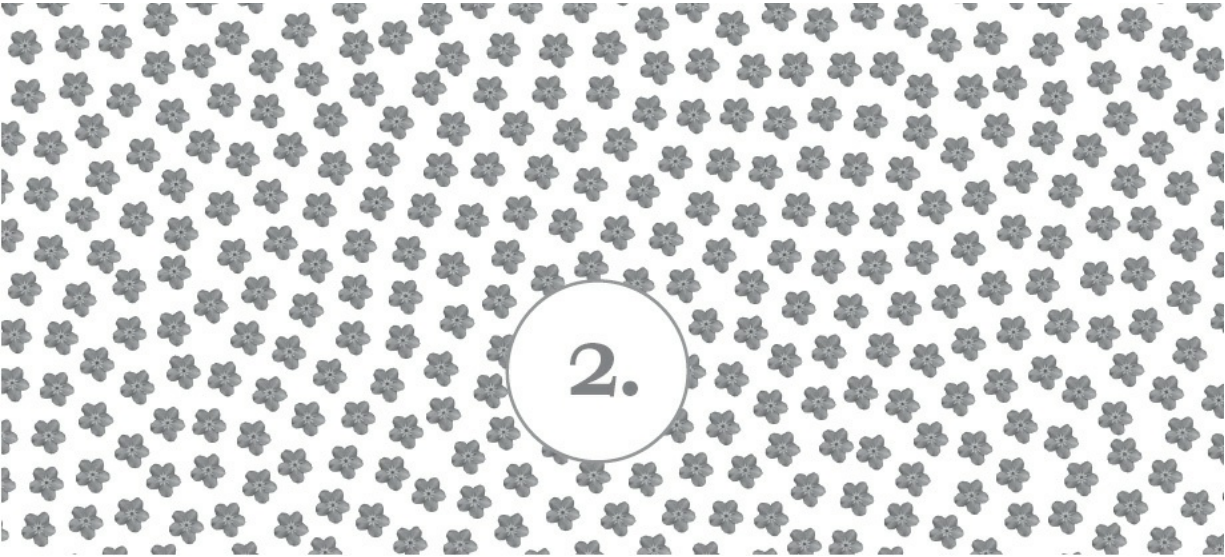
Wybrał to najmniej kompromitujące. Nie czekając do antraktu, wybiegł z ciemnej widowni. Koło teatru znalazł kwiaciarnię. Zamówił największy bukiet, jaki tylko kwiaciarka zdołała ułożyć z różnokolorowych, wiosennych kwiatów.

Nie wrócił na swoje miejsce wśród widowni. Podparty o wyściełaną ścianę, w ciemnościach czekał na zakończenie sztuki. I nie docierało do niego nic, prócz głosu jego Basiulki. I niczego innego nie zauważał, prócz tej pyskatej smarkuli wdzięczącej się na scenie do podstarzałego człowieczka. Żadnego innego aktora nie obdarzył nawet chwilą uwagi. Pochłaniała go jedna postać, której głos znał doskonale, a ruchy potrafił nawet przewidzieć. Widział tylko ją, jej artyzm i uniesienie. Publiczność szalała. Basia skromnie rozdawała ukłony i uśmiechy. Witold miał ochotę gwizdać i krzyczeć jak na meczu sportowym. I chyba to zrobił, wtapiając się w szal owacji. Opamiętał się dopiero, kiedy podniósł bukiet nad głowę, by nim machać i machać z radości i szczęścia.

A kiedy na scenę wnoszono kosze kwiatów, bez zastanowienia wskoczył tam z roześmianą gębą i wzrokiem utkwionym w jedną jedyną postać, godną jego uwagi. Zanim precyzyjnie się do Basi, już wyciągnęły się do niego dłonie, drobne i wypiełgnowane, i wdzięcznym gestem ujęły naręcze kwiatów. Nie spodziewał się tego. Stał jak wryty wśród aktorów. Zaniemówił z wrażenia. Zwyczajnie szlag go trafił. Z mgłą na oczach i spuszczoną głową czmychnął ze sceny, mieląc w ustach ordynarne przekleństwa, jakich nie używał już od wieków. Zwyczajnie szlag go trafił na miejscu!

– Cholera jasna! Mam jej dość! Skąd tu się wzięła, ta pazerna cholera, psiakrew! Co ona, u diabła, tu robi?

Jak zbity pies stanął znów pod ścianą, z szumem w uszach i stękiem wyzwick miotanych w duchu. Publiczność na stojąco biła brawa. Aktorzy oddawali już ostatnie ukłony. Światła pod sufitem zaczynały po kolei dawkować megawaty, a on był bliski dokonania morderstwa. Zanim kurtyna na dobre opadła, uwiecznił w pamięci rozanieloną twarz uroczej Ady, w artystycznym ukłonie ściskającej ogromny wiosenny bukiet, nie dla niej przeznaczony.



Wspomnienia wróciły w chwili, gdy znalazł się poza cmentarną bramą, za którą została jego Basiulka. Od razu skierował się do postoju taksówek. Stały tu. Czekwały. Jakby specjalnie na niego. Wybrał pierwszą z brzegu, z rozmachem otworzył drzwi czarnej limuzyny i zajął miejsce na wygodnych poduchach. Rzucił kierowcy swój adres, wsparł kark na zagłówek i z ulgą przymknął oczy.

I znów stanął mu w pamięci kolorowy bukiet, którym chciał ją obdarzyć na premierze, ale zaborcze ręce tamtej były szybsze. Tak bardzo chciał wtenczas obrzucić Basiulkę kwiatami, ale i tym razem się nie udało. To pragnienie chodziło za nim już od podstawówki. Szczególnie wtedy, kiedy wreszcie rodzice zezwolili, aby zabrał ją na przystań, w pełni wybujałej wiosny. W parku nad jeziorem kwitły już kolorowe bzy. Stanęła pod wiszącymi kiściami, zagłębiła w nich swój zgrabny nosek i jak zwykle zaczepnie mu dokuczała. Chciał ją zlać, ale w porę przypomniał sobie, że jest za nią odpowiedzialny tego wieczora. Obiecał rodzicom. Dlatego zemścił się w inny sposób. Podbiegł do niej, gdy kołysała się na konarach bzu, i z całej siły potrząsnął gałęziami. Nie spodziewała się tego. Posypały się na nią różne paprochy, nadgniłe resztki kwiatów, chmary komarów i chrabąszczy. Zaczęła z piskiem się od nich odpędzać, w popłochu strzepywać z ramion i włosów.

– Głupi jesteś czy co? – Rzuciła się na niego z piskiem. – Kobietę obsypuje się kwiatami, ty nieuku! A ty co robisz, głupku jeden? Do kobiet trzeba mieć psychologiczne podejście, gamoniu!

– Skąd to wiesz, smarkulo? – zapytał, pomagając jej oczyszczać głowę, pełną suchych drobinek kwiatowych.

Robił to głównie po to, by zaspokoić własną zachciankę, bo znów zapragnął dotykać jej kędziorów i gładzić, i głaskać, a nawet ukradkiem całować... Dotąd nie było to możliwe, ale kiedy później nadarzyła się okazja, śmiało ją wykorzystał. I zrobił to. Zrobił! Na białych deskach teatru. Kurtyna jeszcze nie opadła całkowicie, a on ponownie wskoczył na scenę i z gromadki aktorów wyłowił tę, którą chciał obsypać kwiatami. Nie dając jej czasu na przebranie, w kostiumie scenicznym wyniósł ją do samochodu i zawiózł do domu. Po raz pierwszy nie buntowała się, nie wyzywała i nie pukała go palcem w czoło. Była potulna i łagodna; takiej jej jeszcze nie znał. Cierpliwie godziła się na to wszystko, co jej proponował. A kiedy już nacieszył się jej widokiem, zapachem, dotykiem jej włosów oraz głaskaniem policzków, krótko oznajmił:

– Zamieszkaś tutaj. Od zaraz. – Czekał na epitety, którymi miała go obdarzyć.

– Dobrze, Nitusiu. – Zamiast tego, usłyszał potulne słowa.

Wtedy uszło z niego całe powietrze, jak z pękniętego balonika, i poczuł ulgę, jak po długim biegu. I chyba szczęście. Przybierało różne formy w nieprzewidzianych sytuacjach życiowych, ale zawsze było śmiechem, nieraz uniesieniem, a najczęściej radością, która trwała i ułatwiała życie. I chciało mu się płakać i fruwać aż pod niebiosa. I zawsze znajdował okazję, by dotknąć

kędziorów, pogłodzić policzek i wysłuchać, co Basia ma do powiedzenia na jego temat, a że miała wielki temperament i przekorny charakter, nie zawsze były to rzeczy pochlebne. A kiedy udawał się w podróż, daleko od kraju, by regulować sprawy międzyludzkie, obowiązki swe wykonywał pośpiesznie, choć nie mniej dokładnie. I podsyczał to ciepło koło serca częstą rozmową z nią lub esemesem. Nie zdążył jeszcze wyłączyć telefonu, a już tęsknił do jej głosu, oddechu, który słyszał tak wyraźnie, i śmiechu bez powodu. I biegał jak pies za własnym ogonem po luksusowych centrach handlowych, by wybrać dla niej choć malutki upominek, drobiażdżek, przypominający jej, że był tam daleko, w nieznanym jej kraju, z myślą o niej. A kiedy już chciał ten czas poza domem spędzić razem z nią i tylko z nią, poznając nowe barwy świata, trzymając ją za rękę, wtedy zaproponował jej małżeństwo.

Na samo wspomnienie odczuł teraz dziwny, nieznanym dotąd ucisk w piersiach, tak silny, że prawie pozbawił go oddechu. Uchylił szybkę w samochodzie, co nie umknęło uwadze kierowcy.

– Źle się pan poczuł? Może pojedziemy do szpitala? Kurs będzie gratis.

– Nie, dziękuję, to zbyteczne. Nie potrzebuję pomocy. Dziękuję panu za troskę – nieszczerze uciszył niepokój taksówkarza. – Wszystko jest w całkowitym porządku. Wszystko.

Ale nie było. Nic nie było w porządku, bo kiedy przypomniał sobie, z jaką widoczną radością, po latach, Basia wchodziła w progi domu swojego dzieciństwa, i z jakim wzruszeniem witała znajome mury, od razu odżyło w nim całe piękno, jakie spotkało go w tym mieście. Jednak czujny wzrok matki i jej posępna mina zmroziły w nim na krótko wszystkie uczucia. Jeszcze teraz widział kamienną twarz Jadwigi, gdy usłyszała głos Basi, odbijający się echem po wszystkich pomieszczeniach, kiedy na powitanie zawołała:

– Wróciłam! Jestem!

A kiedy odpowiedziała jej cisza, powtórzyła swój okrzyk radości dźwięcznym głosem, by podkreślić wagę tej chwili.

– Jestem tutaj! Wróciłam.

I zatańczyła w salonie swój improwizowany taniec szczęścia, na co matka zareagowała wyraźnym wzruszeniem ramion i lekceważąco odwróciła się w stronę okna. Nie było zachwytów, oklaskiwania ani pochwał, jak kiedyś. Był tylko grymas zaciętej twarzy, czego Witold nie mógł długo zrozumieć. Jeszcze teraz serce ścisnęło mu się na myśl, jak matka potraktowała Basię, kiedy odkrył jej swoje zamiary podczas tej specjalnej wizyty w domu; jeszcze teraz na to wspomnienie ból w klatce dał znać większą zgagą i goryczą. A przecież Basia zawsze była jej oczkiem w głowie. Nie mógł zrozumieć, co matkę tak odmieniło i nastawiło nieprzychylnie do swojej wychowanki.

– Nigdy nie zgodzę się na to małżeństwo – zagroziła Jadwiga po usłyszeniu nowiny. – Nigdy.

– Mamo, nie chcę cię przekonywać o twoim uczuciu do Basi, bo znasz je lepiej niż ja. Wiem, że już dawno ją pokochałaś i nadal jest ci bliska...

– Tak było – przerwała mu szybko. – Kiedyś. Teraz jest inaczej. I ty też

powinieneś się zastanowić, co do niej czujesz. Jesteś pewien, że zasługuje na twoją miłość?

– To mnie obraża. Nie będę tego słuchać – wtrąciła Basia i zwróciła się do Witolda: – Znajdziesz mnie w moim pokoju.

– Tam już nie ma twojego pokoju – wyjaśniła Jadwiga, nie patrząc na syna.

Witold dziwnym wzrokiem spojrzął na matkę, potem na Basię, która w lot zrozumiała intencje Jadwigi i udając zobojętnienie, oznajmiła:

– Zaczekam więc na ryneczku. Posiedzę na ławce przed kościołem. – I wstając z ulubionego krzesła, dodała: – Teraz już wiem, dlaczego dotąd nie miałam odwagi tu przyjechać.

– Zostań, Basiu, proszę... – łagodził jej emocje podenerwowany Witold. – Mama nie mówi tego poważnie. Lubi się ze mną droczyć, znam ją trochę.

– Mówię z całą powagą. – Jadwiga podniosła się od stołu. – Nie dam wam mojego błogosławieństwa.

– Nie mogę znieść tych przetargów – rzekła Basia już w drzwiach. – Targujecie się o mnie jak o jałówkę. Wychodzę. Znajdziesz mnie w Warszawie.

– Mamo, musisz mi wytłumaczyć swoją decyzję. Jestem zdziwiony twoją niezdrową reakcją.

– Reakcja jest odpowiednia do sytuacji – rzekła Jadwiga jadowicie. – Nie mogę dopuścić, aby majątek przeszedł w obce ręce.

– Mamusiu – jęknął zdziwiony – naprawdę nie musisz się tym zajmować. Wiesz doskonale, że potrafię zapewnić dostatnie życie wam obu, Basi i tobie. Nie jest mi do tego potrzebny majątek rodziców.

– Nie porównuj mnie z tą dziewczyną. Ona nie ma żadnego majątku i praw do naszego.

– Zmieniłaś się – zauważył kąśliwie. – Nigdy taka nie byłaś. Przypominam ci, że i ja niczego nie mam.

– Ale dom jest twój, podobnie jak i ogród. I nie mogę pozwolić, żeby przeszedł w obce ręce – powtórzyła z groźbą w głosie.

– Mamo, Basia niczego od nas nie potrzebuje prócz przychylności. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że połowa domu jest twoja.

– Można by go scalić, gdybyś tylko zechciał się ożenić... z Lukrecją...

– Co? – jęknął powtórnie. – To o to chodzi. Nigdy nie podejrzewałem, że majątek ma dla ciebie większą wartość niż syn. Mam gdzieś Lukrecję, chociaż wmawiasz mi, że jest moją krewną. Jeszcze nie poznałem jej dobrze, a już wiem, że jej nigdy nie polubię. A ty mi mówisz o małżeństwie? Powiedz, że żartujesz?

– Gdybyś się tylko postarał... Znamy niejednego przykład małżeństw spowinowanych...

– Dobrze wiesz, mamo, że Lukrecja nie jest moją krewną – przerwał szybko. – Jest dla mnie nikim i wcale nie zależy mi, by ją lepiej poznać. Basiulka jest całym moim życiem, wiesz od dawna...

– Omotała cię, synku. Omotała kłamstwem i nieszczerością. Pewno nawet nie wiesz, jak się prowadziła w szkole, bez nadzoru rodziców.



– Prowadziła się? – rzekł uszczypliwie. – Dziś nikt już tak nie mówi. I nikomu to nie przeszkadza, i nikogo już nie razi luz w zachowaniu młodych. Bądź i ty nowocześniejszą kobietą. Zresztą zawsze cię za taką uważałem.

– To ty chcesz kupić kota w worku, bo nie słuchasz rad matki.

– Co chcesz mi powiedzieć?

– No... Różne znajomości ma ta dziewczyna na swoim koncie! – wykrzyczała wreszcie zdobytą wiadomość.

– Krzywdzisz ją. Dobrze wiesz, że to nieprawda. Przecież znasz Basię.

– Już nie!

– Porozmawiajmy spokojnie.

– Spokoju w tym domu już nigdy nie będzie, odkąd ta dziewczyna pojawiła się na nowo! – krzyknęła rozpaczliwie Jadwiga. – Nie zgadzam się na ten ślub. Nigdy też nie dam mojego błogosławieństwa na wasz związek. Nigdy!

– Już to słyszałem. Jeżeli taka twoja wola, że uparcie dążysz do nienawiści i odmawiasz błogosławieństwa jednemu synowi, to ja cię, mammo kochana, informuję, że i tak ożenię się z Basią. Będziemy razem. Zapewniam cię jednak, że bez twojego przyzwolenia też będę szczęśliwy. Uprzedzam, mammo, ożenię się z Basiulką.

– Będziesz żałował – przerwała mu mściwie.

– Ale będę cię kochał tak samo mocno, jak dotąd – dokończył myśl. – Nie zapominaj o tym, mammo.

– Zobaczysz, że będziesz żałował swojej wolności. Małżeństwo z tą dziewczyną to zła decyzja. Już to Ada mówiła. A mnie doprowadzisz do grobu! – zawołała za nim, gdy wychodził bez pożegnania.

Ale to nie ostatecznie zdanie zmusiło go do powrotu przed groźne oblicze Jadwigi. Usłyszał imię tej, która obiecywała mu, że zemści się za krzywdę. Czyżby Ada dotarła aż tu, by namieszać w jego rodzinie?

– Czy Ada przysłała ci jakiś list, mammo? – zapytał.

Matka ścisnęła usta w wąską linijkę, odwróciła wzrok i konsekwentnie milczała. Złość na Adę już mu mijała i ustępowała miejsca litości.

– Żal mi ciebie, mamusiu, bo nadal cię kocham. Jednak nie będę mógł ci wybaczyć tego, że knujesz za moimi plecami. Tego akurat nie potrafię.

– Nie dbam o to. Chcę tylko twojego szczęścia u boku właściwej kobiety.

– I tą właściwą kobietą, w twoim mniemaniu, ma być Lukrecja, którą mi wybrałaś?

– Tak! To jest najtrafniejszy wybór.

– Dokonałem właściwego wyboru już dawno, kiedy jeszcze byłem smarkaczem.

– Ale dorosłeś – szybko przerwała mu. – Dawno trzeba było porzucić te mrzonki. Z tego też powodu nie godzę się na to małżeństwo!

– Obawiam się, że ojcu nie spodobałaby się twoja zaciętość i dziwne pomysły. Żal mi ciebie – powtórzył. – Żegnaj, mammo.

– Witold – rzekła przez łyż. – Wituś, opamiętaj się, synku.

Trudna to była rozmowa i nie przeczuwał, że tak się potoczy. Basię znalazł na

dworcu kolejowym i wcale nie było łatwo namówić ją na wspólny powrót do domu. Nigdy jeszcze nie widział jej tak zdecydowanej. Dobrze poznał już jej kaprysy i chwile złości, ale konsekwencji nie widział u niej nigdy. Całą drogę do domu wymawiała mu różne rzeczy, utyskiwała na niego, używając nielitościwych słów, aż szum opon trochę ją wyciszył, a cichy płacz nieco uspokoił. Wiózł ją wtedy do domu i czuł ciepło wokół serca, litość i jeszcze coś, co go zmusiło do walki o swoje szczęście. Czuł też wyciszenie, jak po długim biegu do celu. Tylko tego dziwnego pieczenia z przyspieszonym oddechem nie czuł wtedy tak wyraźnie, jak teraz. Był wtedy przecież młodszy o kilkanaście lat. I było inaczej niż teraz. Teraz nie miał dokąd wracać. Sens jego życia został przysypany ziemią, w śmierdzącym dołku, wśród istot nieznanych Basi. Wiedział, że nigdy już nie usłyszy jej wesołego głosu nabrzmiałego śmiechem i nigdy nie pogłuszcze ciepłego policzka i nie wytarł ciężkich pukli. I nigdy już nie zazna radości, bo jego szczęście spoczywa w skrzyni nieheblowanej i śmierdzącej świeżym lakierem. A była taka promienna i śliczna w dniu ślubu, i taka pogodna, chociaż Jadwiga konsekwentnie odmówiła udziału w uroczystej, świeckiej ceremonii. Bo na to się zdecydowali oboje. Ku niezadowoleniu babki Basi i jej macochy. Za to Artek, z kraju odległego i prawie dziewiczego, przesłał im swoje ojcowskie błogosławieństwo, zadowolony z takiego finału.

Uroczyste przyjęcie w renomowanym lokalu na uboczu stolicy spełniło ich oczekiwania. Krótco potem Basia otrzymała angaż i czołową rolę w tym samym teatrze, przy współpracy z tym samym reżyserem.

Kariera obojga rozwijała się pomyślnie. Witold kwitł przy Basi, puchł z wielkiej dumy i rozpierało go uczucie, że oto spełniło się młodzieńcze marzenie. Basia zaś nabierała wielkomiejskiego szlifów kobiety dostojnej, a kapryśnej. Coraz częściej na afiszach rozlepianych na słupach spotkać można było jej okazałą podobiznę. Coraz częściej wyjeżdżała na gościnne występy do innych teatrów; jej popularność rosła z miesiąca na miesiąc, więc i pieniądze proponowano jej coraz większe. Witold również nieźle zarabiał, a diety zagraniczne przewyższały nieraz stan jego miesięcznej pensji. Powodziło więc im się dobrze. I byli razem. Razem przy stole, razem na zakupach, razem w kinie i na spacerze, a także w różnych kątach mieszkania, do którego sprowadził Basię już na stałe, prosto z sali restauracyjnej. I mieli odtąd wiele powodów do niegasnącej radości, prócz tej małej chmurki w postaci nieprzejednania, milczenia i zaciętości Jadwigi.

Jeszcze teraz czuł ból w piersiach na to wspomnienie. Znów uchylił szybę w samochodzie, by zaczerpnąć więcej powietrza. Dojrzał zaniepokojony wzrok taksówkarza i szybko wyjaśnił:

– Zmiana klimatu. Niedawno wróciłem z tropików. Organizm się buntuje. – Obdarzył go lekkim uśmiechem dla uspienia czujności.

To była prawda. Krótco po ślubie musiał wyjechać na kilka tygodni. Tak się trafiło zaraz na początku nowego życia.

– Basiulku, zrozum, muszę jechać – wyjaśnił spokojnie, całując jej czubek

głowy, gdy widział niemy bunt. – Muszę. Na tym między innymi polega moja praca.

– Jak musisz, to jedź, Nitusiu – zezwoliła łaskawie, gdyż opadła jej złość po tym całym geście. – Wiem, że to twoja praca, którą bardzo lubisz.

– Od razu mi lżej, gdy wiem, że to rozumiesz. – Przycisnął ją do piersi.

– Ja tutaj na ciebie zaczekam – przyrzekła, wieszając się na jego szyi.

– Nie winisz mnie za to, że zostawiam cię samą?

– Co ty, czubku jeden! Dzień pracy mam tak wypełniony po brzegi, że nie starczy czasu na nudę.

– Pewno też nie znajdziesz chwili na tęsknotę. – Udał zmartwionego.

– A nie. Tęsknić będę codziennie, obowiązkowo, między piątą a dziewiątą rano.

A tymczasem to on, twardy chłop, odporny na rozłąkę, tęsknił jak głupek każdego ranka i nocy. I żeby nie narazić się na śmieszność w jej oczach, nie dzwonił co kilka godzin, choć miał na to nieodpartą ochotę. I chociaż jej fotografia zawsze stała na jego biurku i stoliku nocnym, to i tak nie umiał powstrzymać pokusy, by nie szukać jej w wielkim łóżku, w chłodnej pościeli stłamszonej tylko przez niego. Nasuwały się wtedy różne wspomnienia, ale to jedno przebiło wszystkie. I chociaż nie należało do tych najmiłszych, wykopywał je z pamięci z prawdziwą przyjemnością.

Teraz też przypominał sobie tamte chwile, przy nikłym świetle lampki, w środku nocy, kiedy z czułością na nią spoglądał. Wtuliła się w niego i kiedy wydawało się, że już zasypia, oznajmiła nagle:

– Coś we mnie wstąpiło i podle się czuję.

– Coś cię zabolało, Basiulku?

– Nic mnie nie boli, tylko podle się czuję. Podle, zrozum to, podle – rzekła, szcękając zębami.

– Staram się zrozumieć, a ty się nie nakręcaj, bo to pogarsza sytuację. – Skoczył do kontaktu, by zaświecić górne światło, ale zamachała ręką i szybko je wygasił.

– Basiulku, co się dzieje? – Widziała lęk w jego oczach.

– Nie wiem. Nigdy takich dygotów nie miałam – powiedziała ze złością. – Przecież ja nigdy dotąd nie chorowałam. Jestem zdrowa jak jałówka. A czuję, że zaraz zwymiotuję.

– To się czasem zdarza każdemu, to nie choroba. Tylko się nie złość z tego powodu. – Przytulił się do jej pleców i łagodnie zaczął masować żołądek i brzuch.

– To skąd ta trzęsawka?

– Może czymś się zdenerwowałam. Albo przypomniawszy sobie coś złego i to cię rozkleiło. Nie zawsze panuje się nad własnym ciałem.

– Ale ja powinnam. Powinnam panować nad niepotrzebnymi odruchami. To jest wpisane w moją profesję. Dlaczego więc trzęsie mną, jak nie wiem co, i nie potrafię tego opanować?

– Jestem przy tobie, kochanie. Uspokój się, a wszystko na pewno przejdzie.

– Przejdzie... na męża. Ale i tak czuję się do dupy – wycedziła, ściągając z niego lekką kołdrę, aby zawinąć się w całą. I nadal szczękała zębami. – Zimno mi, czubku jeden, i nadal mam dreszcze.

– Chyba wezwiemy lekarza. Masz zimne ręce i lodowate nogi. Wygląda to na kłopoty układu krążenia.

– Ty, doktor wymaginowany, skąd możesz wiedzieć, co mi dolega? Ja sama nie wiem, co mi jest – zezłościła się, dziwnie podrygując na łóżku, jak w ataku epilepsji.

Wtedy ciasno przyłgnał do jej pleców, pogładził ramiona i coś tam szeptał, z czego wyłowiła ciągle te same słowa, powtarzane bez końca.

– Cicho, cicho, uspokój się... Już jest lepiej... Wycisz się troszeczkę i spróbuj zasnąć.

Czuła jego usta na ramionach, a ciepłe ręce na żołądku. Zasnęła na krótko. A kiedy zbudziła się około czwartej nad ranem, zapomniała o nocnych dolegliwościach. Wciśnięty w jej plecy Witold cicho posapywał przez sen. Wymacała jego rękę pod głową i delikatnie pocałowała dłoń. Zbudził się od razu, uniósł głowę i przez zmrużone powieki ze wzruszeniem spoglądał na nią, mając w oczach nikły błysk radości. A ona całowała jego dłonie, uszy, kark i ramiona, szepcząc radośnie:

– Dziękuję, że mi pomogłeś, Nitusiu. Uratowałeś mi życie. Jesteś dobrym lekarstwem na wszystko.

– Do tego wniosku doszłaś akurat teraz, w środku nocy? – zaśmiał się wreszcie.

– Nad ranem. Bo świta już za oknem. Piąta dochodzi.

Zasnęli około siódmej, zdziwieni tym, że mimo kołdry, która wylądowała na podłodze, w nich było jeszcze tyle ciepła, które dawało im radość i następną dozę zdziwienia, że może być taką przyjemną niespodzianką. Witolda najbardziej zdziwiło to, że marzenie ze szczeniackich lat potrafiło spełnić się w życiu dojrzałego mężczyzny, czego pragnął prawie całe swoje istnienie. Uśmiechając się tajemniczo, zasnął wcześniej, niż się spodziewał.

Teraz też spodziewał się po sobie czegoś innego. Był zły, że postąpił inaczej, niż powinien. Szybko więc zwrócił się do kierowcy taksówki:

– Proszę się zatrzymać. Wsiadam.

I wysiadł w połowie drogi do domu. Jednak nie od razu się tam skierował. Zawrócił w tę stronę, skąd przyjechał, i powoli udał się tam, gdzie teraz być powinien. Wyprostowany jak struna, z głową dumnie uniesioną, patrzył przed siebie ponad głowami przechodniów. Ale i tak widział w ten wiosenny dzień kobiety ubrane kolorowo, z włosami rozjaśnionymi słońcem, dzieciaki biegające beztrudnie z piłką i na rowerkach, i opiekunki, wypoczywające leniwie w bocznych alejkach parku, w cieniu pod drzewami. I on mógł mieć to samo przy odrobinie szczęścia. I jego maluch mógłby teraz beztrudnie bawić się pod czułym okiem niani, bo i to już uzgodnił z Basią. Kiedy już miało się spełnić to jego zaplanowane szczęście, pojawiło się coś, co przekreśliło ich plany, zagroziło życiu, a nawet zabrało wszystko, co miał. Nie oszczędziło też i jego. Bo jakże on

mógł wegetować, pozbawiony tlenu, weny, słońca, radości i tego wszystkiego, czym była jego Basiulka.

Wspomnienie odezwało się jeszcze większym bólem w mostku niż dotąd. Przystanął na chwilę, pochylił się do butów, pozorując wiązanie sznurówek, po to tylko, by wyrównać oddech, i ruszył dalej. Nie widział już roześmianych kobiet, krzykliwych dzieci i tego upojenia słońcem, zabawą i radością. Utknął w przeszłości, gdy kolejny raz pozostawił Basię bez opieki, choć wcale tego nie chciał, i wyruszył na placówkę dyplomatyczną. Tym razem jeszcze dalej niż dotąd.

– To już ostatni raz – zapewnił szeptem, wtulony w jej loki. – Następna podróż już będzie wspólna. Uwierz, już nigdy bez ciebie nie ruszę się z domu. To ostatni raz – powtarzał przekonany, że tak będzie.

Tak miało być. Był już na etapie wyszukiwania nowego mieszkania dla nich, z większymi wygodami, a niekoniecznie w stolicy lub w kraju. Jego praca miała te dobre strony, że wszędzie świeciło słońce, wszędzie słyszało się język ojczysty i wszędzie pachniało swojskim klimatem. To była tylko kwestia wyboru i decyzji Basi. Reszta ułożyłaby się już sama, bo wszędzie umieliby być szczęśliwi. Została tylko ta ostatnia samotna podróż i odtąd już byliby zawsze razem. Wiązało się z tym tylko jedno: zerwanie umowy z teatrem, co na pewno nie byłoby ani miłe dla Basi, ani przyjemne dla nich obojga. Ale niestety, takiego poświęcenia wymagało wspólne życie w luksusie, które chciał zapewnić swojej Basiulce.

Piastował już stanowisko podsekretarza w ministerstwie. Gromadził materiały do sprawozdania okresowego o misjach w krajach Ameryki Łacińskiej. Obowiązki rzuciły go nawet na Małe Antyle, o czym nie wspomniał Basi przed wyjazdem, aby nie wywołać, być może, przykrych wspomnień. Zataił przed nią i to, że szukał jej ojca i udało mu się nawiązać z nim kontakt telefoniczny. I wreszcie się z nim spotkał. Zobaczył go, jak stał, omotany albą powiewającą na wietrze, wysmagany huraganem i upalnym słońcem, na wzniesieniu, pod gołym niebem, przybierając postawę mesjasza, za którym szły tłumy, patrząc w niego jak w bóstwo. Witold wmieszał się w zgraję świeżo ochrzczonych tubylców i uporczywie świdrował twarz tego, który przemawiał z podniesionymi ramionami ukrytymi w obszernych rękawach alby, ze stułą przewieszoną przez lewe ramię, spiętą u dołu. Patrzył na tego, który stworzył to cudo, które jemu zostało przeznaczone jako słodki dodatek do życia. I szukał w tym obliczu, przed którym rzesze wiernych czołem biły pokłony, śladów dawnego Artka, którego już w dzieciństwie znieubił za to, że zabrał mu Basię. I odnalazł w nim jej ojca, ale dostrzegł również to coś, co mężczyzna miał wypisane na twarzy za każdym razem, kiedy pojawiał się w Białym Dworcu; coś, co napawało Witolda nienawiścią i chęcią morderstwa.

Tym razem, patrząc na niego, miał ochotę tylko na męską rozmowę. Kiedy tłumy opuściły wreszcie miejsce wspólnych modlitw, a Artek swój służbowy strój powiesił na kolorowym krzaku, stał się na powrót prawdziwym, swojskim chłopakiem z polskich nizin nadmorskich, ogorzałym od słońca z łacińskiego

kontynentu. Wówczas to wszelkie mordercze zapędy Witolda gdzieś odpłynęły. Powrócił wewnętrzny spokój i pogodzenie z losem. Stał więc w milczeniu przed ojcem swojej żony, obrzucając go przenikliwym spojrzeniem. Chciał mu wykrzyczeć wszystkie żale i pretensje, ale nie wiedział, od czego zacząć. Patrzył więc tylko, milczał, aż wreszcie powiedział:

– Przychodzę z twojego kraju. Z domu twojej córki. – Zabrzmiało to jak werset z biblii. – Pamiętasz ją jeszcze?

– Ciebie też pamiętam – stwierdził Artek krótko. – To ty ją poślubiłeś.

– Zostawiłeś ją na łasce starszych kobiet i tego ci wybaczyć nie mogę. Dlaczego porzuciłeś tak wspaniały skarb? Dlaczego?

– Dlatego. – Artek ogarnął wzrokiem przestrzeń, zatoczył koło wyciągniętymi ramionami i powtórzył: – Dlatego, bo tu jestem potrzebny.

– Artku, to nie jest tak, jak myślisz – przerwał mu szybko Witold. – Ty po prostu lubisz, jak ciągną za tobą tłumy, jak cię słuchają i podziwiają, jak ci klaszczą.

– Jestem im potrzebny, sam widziałeś. Głoszę Słowo Boże. Mnie słuchają i za mną idą.

– To samo mogłeś mieć na scenie każdego teatru. Aktorem trzeba było zostać, a nie duszpasterzem – rzekł Witold uszczypliwie.

– Pragnąłem być tutaj, tak samo gorąco, jak uparcie moja córka dążyła do występów w teatrze – powiedział zwyczajnie i po chwili zapytał: – Spełniło się jej marzenie? Została aktorką?

– Jest już dość znaną postacią... i jest moja – wyznał z dumą, chociaż pilnował się, aby za dużo nie powiedzieć. I jeszcze dodał niepotrzebnie: – A ja kocham ją jak głupek.

– To dobrze, że ją kochasz, bo ja tego nie umiałem – wyznał Artek ze skrucą.

– Żadnej mojej kobiecie nie umiałem okazać serca. Przynajmniej ty naprawiłeś to, co ja spałałem.

Witold słuchał głosu diakona, stojącego obok w cywilnym stroju, i widział dawnego Artka, z tym samym zniewalającym uśmiechem na twarzy i zabójczym lokiem nad czołem. Natychmiast pamięć podsunęła mu twarz Basi, z takim samym uśmiechem, który był jeszcze jednym wielkim atutem jej urody. Zażęłkował za nią tak bardzo, że gotów byłby rzucić pracę i od razu wracać do domu. Aby uwolnić się od tej niezdrowej pokusy, przypomniał sobie krzywdy, które ten człowiek wyrządził swojej jedynaczce, a tym samym i jemu. Ale złość na Artka nie nadchodziła. Rozmyśla się gdzieś w tym prostolinijnym świecie pozbawionym fałszu, obłudy i pieniactwa. A kiedy ojciec Basi tak zwyczajnie powiedział coś, co przypominało prośbę czy testament, sam nie wiedział, jak to się stało, że uściśnął rękę teścia i szybko znalazł się w jego ramionach.

– Bądź dobry dla mojej Basi, bo ja tego nie potrafiłem.

Wzruszenie nie pozwoliło Witoldowi mówić i obiecywać. Pokiwał tylko głową i mocniej uściśnął z pozoru kruche, a jednak silne ramiona. A kiedy zobaczył łzy w jego oczach, szybko odszedł do swoich obowiązków.

Zaraz po tym spotkaniu przesłał Basi maila z najnowszymi wiadomościami,

a kiedy nie dostał odpowiedzi – także kilka kolejnych, jednego po drugim. Nie miał z żoną żadnego kontaktu; nie odbierała telefonów, nie przysyłała esemesów, choć czekał na nie z niecierpliwością. Słał więc alarmujące pytania do Ludki, ale odbierał od niej jedynie lakoniczne wieści, które jeszcze bardziej pogłębiały jego niepokój. Dlatego przyspieszył swój powrót do kraju, zapowiadając się mailem i esemesem, bo telefonów Basia w dalszym ciągu nie odbierała.

Mimo to wypatrywał żony na lotnisku, potem w domu. A kiedy jej nieobecność przedłużała się zbyt długo i nie mógł już spokojnie pracować ani usiedzieć w mieszkaniu, popędził do teatru, zarzucając jej kolegów setkami pytań. Trafił na złą porę, przedstawienie już szło całą parą i nikt nie miał dla niego odrobiny czasu.

– Nie teraz, Witek – usłyszał głos znajomego.

– Później porozmawiamy. – Jeden z kolegów Basi wyminął go, spuszczać oczy.

– Śpieszę się na scenę. Przeszkadzasz, Witek – usłyszał niechętny głos.

– Ludzie, ja nie zwariowałem! – oburzył się na znajomych. – Wy wiecie, gdzie ona jest. Dlaczego nie chcecie mi pomóc?!

– Czasem lepsza niewiedza – burknął któryś z zapytanych. – Czasem nie warto drażnić tematu.

– Człowieku – szarpnął aktorem – ja muszę wiedzieć!

– Po co? – Aktor zatrzymał się chwilę w drzwiach, zanim wyszedł na scenę. – Ty już wiesz. Reszta ci niepotrzebna.

– Czy ona tu jeszcze pracuje? – zapytał zbieleńcymi ustami.

– Nie nas o to pytaj. Dyrekcja udzieli ci wszystkich informacji – rzucił kolega przez ramię i wyszedł.

Przedstawienie trwało. Aktorzy opuścili garderobę i stłoczyli się na tyłach sceny. Został sam. Docierały do niego fragmenty tekstu wypowiedane różnymi głosami, ale brzmienia tego jedyne go głosu, na który czekał, nie usłyszał. Zrezygnowany wyszedł na ulicę. I tak jak teraz, piekła go wtedy złość zacięta na to wszystko, co zburzyło jego długo i starannie układane życie.

Na wspomnienie tamtej chwili poczuł jeszcze teraz swoją klęskę, która zmusiła go wtedy do poszukiwania Basi. To, co wówczas znalazł obok niej, podcięło mu nogi.

Teraz też poczuł taką słabość w łydkach, że aż obejrzał się dyskretnie za jakąś ławeczką, by przysiąść i uspokoić dygotanie nóg. Ale nic nie znalazł w pobliżu. Na dodatek zaczął siąpić deszcz. Najpierw drobne kropelki zrosiły nagrzaną ziemię, pozostawiając dziobate ślady, niczym kraterzy wulkaniczne. Z ziemi unosiła się lekka mgiełka, wibrująca w powietrzu. Potem gwałtownie spadły ciężkie, pojedyncze krople, schładzając do reszty suche powietrze. Nie ominęły też Witolda.

Postanowił schronić się gdzieś przed tą gwałtowną ulewą. Znalazł na swej drodze niewielki lokal, który zapraszał do środka kolorową reklamą z propozycją szefa kuchni: *Przyjęcia, wesela i stypy*. Bez wahania wszedł do

holu, chcąc przeczekać tę pogodową niespodziankę, ale po namyśle zmienił zdanie i zajął miejsce przy stoliku w pobliżu okna. Zadumał się trochę, bo nagle przestało mu zależeć na pośpiechu, karierze, obłudnych słowach przyjaciół i całym tym zamieszaniu, jakie zawsze trwało wokół niego. Tam, dokąd zmierzał, była cisza i odpoczynek, których i on nagle zapragnął. Czuł się zmęczony podrózkami służbowymi i tą codzienną gonitwą za lepszym życiem. Dlatego swoje wyjazdy chciał planować już bliżej domu, bliżej tej, bez której już istnieć nie potrafił. A jej już nie było.

A przecież załatwił wszystko, by zamieszkać w Maroku. Basia też zgodziła się już na opuszczenie ukochanego teatru, na wyjazd w nieznane razem z nim. Chciał jej nieba uchylić, toteż z wielkim zaangażowaniem przygotowywał nowy dom... I wtedy okazało się, że los znów z niego zadrwił, a nawet go przechytrzył. Poczul się oszukany, gdy otrzymał list z jej zamaszystym charakterem pisma, z oryginalnymi pętelkami przy literkach, nawet tych, które nie wymagały aż tak artystycznej oprawy. Nie miał potrzeby odpowiadać. Nie chciał słać maili, esemesów... Nawet na krótką rozmowę telefoniczną nie miał ochoty, bo nadal tkwiła w nim złość i czuł się poniżony. A przecież miał jej wtedy dużo do powiedzenia. Czas, jak na złość, teraz płynął powoli, leniwie i monotonnie, zajmując jego myśli. Odpędzał rzeczywistość, w której tkwił samotnie, bo nie miał nawet do kogo listów pisać. Jego Basia przestała na niego czekać, przestała razem z nim planować życie i nie chciała go widywać. Chyba też przestała go kochać.

Tak sądził, dopóki którejś nocy nie załomotała nogą i pięścią do jego drzwi, mimo że miała klucze. Dom wciąż jeszcze należał również do niej, choć wybrała inaczej. A kiedy wpuścił ją do mieszkania, zobaczył z przerażeniem, że cała jest posiniaczona, z krwistymi ranami na tym wrażliwym i delikatnym ciele. Od razu dopadła sofy przy wejściu. Siedziała skulona, milcząca, ze strachem w tych niebieskich, zażawionych ślepkach i bez blasku radości. Wstrząsały nią dreszcze.

Witold chciał ją wziąć w ramiona i zrobił to, choć się broniła. A kiedy nacieszył się dotykiem jej włosów, poplątanych, pozlepianych lakierem, kurzem i krwią, napił ją gorącą herbatą z cytryną i przygotował kąpiel w pachnącej pianie, wśród kolorowych świec, które ustawił wokół ogromnej wanny. Już odświeżona, choć nadal obolała, owinięta jego puszystym szlafrokiem, wyglądała jak wykrzyknik przy zachwycie, choć nadal była drobna, a nawet szczuplejsza niż dawniej. Wzruszyło go to i przytulił ją nagle do swej gorącej piersi. Wyczuł bicie jej serca i jeszcze jeden łomot, który odzywał się gdzieś w głębi. Miał wrażenie, że to łomot bębna, dochodzący z radia. Ale to jego serce buntowało się mocno na to wszystko, co widział i w niej wyczuwał. Wtedy postanowił rozliczyć się z tym, który ją tak bardzo skrzywdził.

- Zabiję go, gdy go dorwę – szepnął przez zaciśnięte szczęki.
- Nie rób tego, bo będziesz żałować – rzekła wrogo, choć wiedziała, że jest jego całym światem, radością i tęsknotą. - Ja do ciebie i tak nie wrócę.
- A ja i tak cię kocham.



- Bo jesteś głupi. Wybrałam przecież inne życie.
- Źle ci było ze mną?
- Źle. Lubię mieć chłopa blisko ciała, a nie daleko od siebie. Ot0 co się stało!
- Basiulku! Nie wierzę ci.
- To już twoje zmartwienie. Chcę rozwodu!
- Nie dam ci go. Nigdy.
- Dasz. Będziesz musiał. I szybko zechcesz się mnie pozbyć – stwierdziła spokojnie, patrząc na niego tymi niebieskimi ślepkami, z których jeszcze nie wszystko błękitne zostało wypłakane. Wzruszyło go to, a mimo to powtórzył:
  - Nigdy ci nie dam rozwodu! Nigdy.
  - Ale dlaczego?
  - Ty jeszcze pytasz? Tutaj masz dom i męża.
  - Już nie. Zdradzałam cię i dalej będę to robić... Nie obchodzi mnie, że to grzech, nadal chcę żyć w grzechu.
  - Każdy grzech można wybaczyć i naprawić... Ja ci przebaczam.
  - Bo głupi jesteś, czubku jeden – rozzłościła się nagle, dopadając do niego z pięściami. – Nie tego od ciebie oczekuję!
  - Wybaczam, że zapomniałaś się z innym mężczyzną. Boli jak diabli, ale wybaczam. Wróć, Basiulku, tu jest twoje miejsce.
  - Ale moje życie jest tam, zrozum to. – Zamilkła, choć był pewien, że zaraz posypią się szydercze inwektywy. Uśmiech znikł z jej twarzy, oczy straciły blask i była tylko obolałą kobietą, z widocznymi ranami i złamanym siekaczem.
  - Zabiję go! – powtórzył. – A rozwodu i tak ci nie dam. Nigdy!
  - Pożałujesz tego! – zagroziła bez przekonania.
  - Nie wrócisz do niego. – Nie przejął się jej groźbą. – Nie pozwolę ci na to.
  - Pozwolisz, gdy ci powiem, że tam jest człowiek, którego kocham, i tam jest ojciec mojego dziecka.
- Zapowietrzył się na krótko i pogubił wszystkie słowa. Myśli splątały się w jedno kłębowisko i w postaci drutu kolczastego utkwili gdzieś w klatce piersiowej, powodując ból i gorycz. Szybko jednak wyrównał oddech i wysyczał:
  - Coś ty zrobiła, Basiu! – Porwał ją w ramiona i potrząsał jak kukłą. – Coś ty zrobiła!
  - Nie kocham cię, Witoldzie – wyznała odważnie, patrząc mu w oczy. – I teraz już musisz dać mi rozwód.
  - Sama nie wiesz, co mówisz – rozzłościł się nagle. – On cię katuje, ja beczynnienie na to patrzę i godzę się na wszystko, co ten drań z tobą wyprawia. Opamiętaj się, Basiu! Jestem twoim mężem i to na mnie spoczywa odpowiedzialność za ciebie, za nas. Dotąd biernie patrzyłem na wszystko, co wyprawiasz. Czekałem cierpliwie, aż się opamiętasz. Ale teraz mam dość tego twojego szaleństwa. Wracasz do domu!
  - Nigdy! Wiem, że tego nie chcę! – Buntowała się tak po dziecinnemu.
  - A skąd ty możesz wiedzieć, czego chcesz! Za to ja wiem! Już tam nie wrócisz, do tego kata. Wreszcie zrobię coś, by ulżyć ci w życiu.
  - Nie chcę! Jestem dorosła i sama podejmuję decyzje. Wybrałam człowieka,

z którym zostanę.

– Ale to do mnie przysłaś po pomoc. – Przygarnął ją do siebie, zapominając krzywdy, które mu wyrządziła. Szybko wysunęła się z jego uścisku.

– I to był mój wielki błąd – wyznała otwarcie. – Nie powinnam cię narażać. Nie powinnam tu przychodzić.

– Powinnaś, i już tu zostaniesz.

– Muszę tam wrócić – szepnęła ze łzami w oczach. – To jest tak ważne, jak śmierć i życie. Zrozum to... i uwierz, że tam jestem kochana.

– Basiulku – jęknął – spójrz w lustro. Czy tak wygląda kochana kobieta?

– Spadłam ze schodów – wyznała ze spuszczoną głową – i trochę się potłukłam. A ty się czepiasz bez powodu.

– Co ty ukrywasz, dziewczyno? – Znów potrząsnął nią jak kukłą, nie reagując na to, co chciała powiedzieć. – Dlaczego mi to robisz?

– Bo cię nie kocham, Witoldzie.

– Nie wierzę. To musi być coś poważniejszego, czego ty jeszcze nie rozumiesz, a już się boisz. I dojdę, co to jest.

– Lepiej nie – mruknęła i zaraz dodała rzeźkim głosem: – Witek, potrzebuję tego rozwodu, musisz mi go dać.

I dał jej w końcu ten upragniony rozwód, choć cierpiał z tego powodu, choć nie pogodził się z jej zdradą i swoją samotnością. I chociaż Ada była w pobliżu i otwierała ramiona, by przygarnąć go na zawsze, to jednak zaproponował Basi, zaraz po opuszczeniu sali rozpraw, coś, co go samego zadziwiło.

– Usiądźmy na chwilkę. – Podprowadził ją, trochę ociężałą i powolną, pod okno, gdzie stał rząd twardych krzesłek. – Porozmawiajmy spokojnie.

– Dobrze – przytaknęła i jej niezabudki spojrzały na niego ławo, co ostatnio często jej się zdarzało.

– Sąd orzekł, że jesteśmy osobami obcymi dla siebie. Serce jednak nadal czuje coś innego. Dobrze wiesz, że zawsze będziesz moją Basiulką, bez której nie potrafię żyć. Co ty mi zrobiłaś, że nie mogę otrząsnąć się z tej miłości? Chyba wiesz, że od pierwszego spojrzenia stałaś się najważniejszą osobą w moim życiu.

– Wiem – szepnęła i dwie ciężkie łzy spłynęły na ręce splecione na wypukłym brzuszku. – Wiem, Nitusiu...

Po chwili zapanowała nad wzruszeniem. Znów stała się prześmiewczą smarkulą, którą uwielbiał za wszystko, za kpinę, przedrzeźnianie, drwinę, okraszone czułym uśmiechem. Spojrzała na niego szorstko, z naganą, i powiedziała mocnym głosem, nie szcędząc mu złości:

– Wiem też i to, czubku jeden, że zachowujesz się jak egzaltowana licealistka pisząca pamiętniczek. Bądź mężczyzną, dupku jeden. Dorośnij, Witoldzie. Naucz się z honorem przeżywać porażki. Przyzwyczajaj się do klęsk. Ta nie jest jedyna. I zacznij żyć beze mnie. Ja już mam swoje życie, nie widzisz tego, głupi głupku? – Delikatnie poklepała zaokrąglony brzusek, nie patrząc na Witolda, ale i tak widział łzy zbierające się w jej oczach.

Bo patrzył na nią, cały czas patrzył na swoją Basiulkę i mocował się z losem.

Bez obrazy przyjął jej szydercze odzywki i epitety, niezbyt wyszukane, a jednak wbijające drzazgę w samo serce. Nie czuł żalu ani nienawiści. Pragnął chwycić ją w stęsknione ramiona i unieść stąd daleko, do domu, który na nią czekał.

– Zapomniałem już wszystko złe, co było między nami. Mój dom nadal na ciebie czeka... I na twoje maleństwo także – rzekł niespodziewanie dla samego siebie, głośno przełknął ślinę i dokończył szybko: – Zgadzam się zaadoptować twoje dziecko.

– To niemożliwe...

– Wróć do mnie, Basiulku.

– Nie mogę, Witusiu, nie mogę. – Łzy pociekły po jej zapadniętych policzkach.

– Ale możesz na mnie liczyć, kochanie. Pamiętaj – rzekł, ukrywając wzruszenie, gdy dotknął jej bladego policzka. – Zawsze ci pomogę. I wszędzie.

Wykorzystała jego zapewnienie, a kiedy trzeba było, udzielił jej schronienia. Otoczył opieką, gdy już urodziła to niechciane dziecko; słabiutki, cichutki, z jakąś genetyczną wadą, o której nie chciała mówić. Witold wiedział jedynie, że maluszek miał nikłą szansę na przeżycie. Od razu poruszył swoje znajomości i dojechał do specjalistów. Woził do lekarzy tę kruchą istotkę, w której zaledwie tliła się iskierka życia. I to on sterczał nad szpitalnym łóżeczkiem malucha, modląc się w duchu do wszystkich świętych, czego dawno już nie robił, by uchowali przy życiu Basię i to wątłe maleństwo. Basia wpadła w depresję poporodową i potrzebowała pomocy. A zarówno ona, jak i dziecko – mieli tylko jego.

Witold prosto z kliniki rządowej, gdzie cudem udało się zdobyć dla niej miejsce na czas rozwiązania, zabrał ją do siebie. Człowiek, dla którego wszystko poświęciła, łącznie z godnością, zapomniał o obowiązkach względem dziecka. Dzieciatko kwiliło żałośnie u boku otępiełej matki, zapatrzonej w swój ból, nieczulej na skargę malucha. Witold nie mógł na to patrzeć, toteż nosił niemowlę, huśtał w ramionach, śpiewał radosne kołysanki, zapamiętane jeszcze z dzieciństwa, choć w nim samym nie było wcale radości. Miał czas na refleksje i wspomnienia. Odnalazł w pamięci imię siostrzyczki, dotkniętej podobną wadą serca. Wiedział, że przy obecnym poziomie medycyny, dziś miałyby szansę na przeżycie. Rodzice nie musieliby bezradnie patrzeć na powolne odchodzenie ich dziecka. Równocześnie czuł, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by pomóc przetrwać tej kruchej istotce ten najtrudniejszy okres w życiu. Uruchomił wszystkie swoje znajomości, pukał do drzwi renomowanych klinik, wykorzystał wszystkie możliwości i gdzie tylko mógł – błagał o pomoc. Chciał ratować dziecko, które już w pierwszych chwilach po narodzinach zostało odrzucone przez matkę. Nie potępiał jej za to. Wiedział, że zdarza się to dość często, ale później przychodzi opamiętanie i wielka radość. Chciał dać Basi tę jeszcze jedną radość. Kołysał więc w ramionach nadal bezimienne maleństwo i czekał na cud.

Zamiast niego zjawiał się ojciec dziecka, z pretensjami, skłonny do bijatyki. I chociaż Witold obiecał sobie, że nie tknie drania, to nie dotrzymał słowa i takie mu sprawił lanie, że aż się przeraził, czy aby za mocno nim nie potrząsnął.

Jeszcze teraz przebiegał go dreszcz zadowolenia na wspomnienie tamtej chwili.

Myśląc o tym, zastanawiał się, czy wtedy dobrze postąpił, gdyż natychmiast po tym Basia w popłochu zgarnęła z różnych zakamarków mieszkania przypadkowe ubranka należące do malucha. Zdziwiło go jej zachowanie. Szybko pakowała rzeczy, w biegu pytając Witolda o pozwolenie, bo sfinansował całą wyprawkę dziecka. I wyszła razem z tym draniem, który jeszcze nie był jej mężem, ale obłudnie wychwalał jej talent, koił tęsknoty i był tym kimś, kogo się lękała, czego domyślił się Witold. Nie był nadskakującym kolegą z teatru i prócz uroku osobistego i paskudnego charakteru nie miał jej nic więcej do zaoferowania. Witold wiedział, że kobiety kochają drani i nieudaczników, ale nie miał już wpływu na postępowanie Basi. Dopóki sama do niego nie przyszła.

Coraz częściej zdarzały się takie chwile, że przychodziła skruszona, cicha, łagodna i niekonfliktowa. Zawsze pukała do drzwi i czekała na zaproszenie, mimo kluczy w torebce, które mogły otworzyć jej każde drzwi w jego domu. Rozjaśniała się na twarzy, widząc jego uśmiech przyzwolenia, i wtedy stawała się dawną Basią, kiedy to jeszcze w Białym Dworku wszczynali dziecinne kłótnie, które kończyli w dorosłym życiu. Odwiedzała go coraz częściej, aż w końcu została na stałe.

Znów planowali wspólną przyszłość, zamianę mieszkania na większe. Razem kupowali jej ubrania, bo ze starych prawie nic już nie zostało. I kiedy tak pędziła, uskrzydłona chęcią zakupów, od galerii do galerii, przebierając wśród kolorowych szmatek, które niebawem miały zniknąć w papierowej błyszczącej torbie z nadrukiem renomowanej firmy, czuł ciepło wokół serca i dumę, że to jednak jego wybrała, doceniła jego starania i to wszystko, co dla niej zrobił, nie oczekując w zamian ani pochwał, ani przeprosin, ani nawet podziękowań.

W tej całej radości, jaką dawała mu obecność Basi, nie miał odwagi zapytać o malucha. Zdążył się już trochę do niego przyzwyczaić i nawet czasem za nim tęsknił. Znalazł miejsce w domu na kolorowe łóżeczko, ale maluch nie pojawił się tu już nigdy więcej. A Basia milczała. Zaczęła się w końcu uśmiechać, błyskała niebieskimi ślepiami i godziła na wszystko, co jej proponował. Rozkwitała przy nim na nowo. Zmieniła się. Dotąd zawsze była kapryśna, szydercza i złośliwa. Teraz przyznawała mu rację i nawet nie próbowała mieć odmiennego zdania. Nie było to podobne do energicznej, żywiołowej i konfliktowej osoby, jaką kiedyś była. Toteż Witold musiał zmienić swoje nastawienie do niej i do życia. Stał się stanowczy, konsekwentny i mniej wylewny uczuciowo, choć ogień w sercu nadal palił się wielkim płomieniem. Wyglądało na to, że tej zmiany w jego zachowaniu Basia nie zauważyła.

Mylił się. Basia spokorniała, bo zrozumiała swój błąd, którego konsekwencje długo ponosiła. Dopiero dużo później dojrzała do poważnej rozmowy, gdy pewnego razu siedzieli o zmierzchu, na jednej kanapie, przy blasku neonów dochodzącym z ulicznych reklam.

- Dlaczego ty tolerujesz moje dziwactwa? - spytała zniecka.
- Dobrze wiesz, dlaczego.
- Czy już mnie nienawidzisz, czy dopiero to nastąpi?

- Nigdy do tego nie dojdzie, Basiulku, wiesz dobrze, dlaczego.
- Teraz widzę wyraźnie, jak bardzo nas skrzywdziłam. Dlatego boję się zapytać o coś, co nurtuje mnie już od dłuższego czasu.
- Ależ pytaj, Basiulku. Ty możesz pytać o wszystko.
- Wierzyłeś moim zapewnieniom, że przestałam cię kochać? – wyrzuciła z siebie szybko, wstrzymując oddech. Patrzyła na niego otwarcie, czekając na reakcję, choć bała się odpowiedzi. Obawiała się jakiegoś nieobliczalnego zachowania Witolda i już widziała swój koniec w powtórnie zaczęłym wspólnym życiu. Nie spuszczała wzroku z jego twarzy, milczała, choć myśli kłębiły się pod czaszką, a słowa, nabrzmiące skargą i żalem, cisnęły się na usta. Znała jego stanowczość i umiała przewidzieć konsekwencje tego, co za chwilę mogła usłyszeć. Już widziała siebie przy drzwiach, z torebką na ramieniu, bo czegoś innego mogła oczekiwać. Witold milczał, udając, że nie rozumie, co ona czuje w tej chwili. Już miała zaatakować, aby sprowokować go do wybuchu, ale to on nagle westchnął i szepnął:
  - Basiulku, razem dorastaliśmy, wychowywała nas ta sama rodzina, patrzyłem na ciebie prawie całą dobę, więc musiałem cię pokochać. Zresztą zakochałem się w tobie w chwili, gdy zmarznięta stanęłaś na progu mojego domu. Robiłem wszystko, by ci się przypodobać, chciałem, żebyś też mnie pokochała. I kiedy już wiedziałem, że jesteś moim przeznaczeniem, że tylko z tobą mogę iść przez życie, odkryłem twoje uczucie do mnie. Więc jak mogłem wierzyć w to, że przestałaś kochać? Czułem, że coś cię opętało i cierpliwie czekałem na zerwanie tych szatańskich więzi.
  - Domyśliłeś się, że byłem w sekcje.
  - Gdzie byłaś? – zająknął się z przerażenia. – Basiulku, byłaś w sekcje?
  - Tak. I nie mogłam wyrwać się stamtąd, bo mnie pilnowali. Szczególnie po tym, jak guru otrzymał od ciebie solidne mordobicie. Bałam się o ciebie, bo to nieobliczalni ludzie. Wolałam oberwać, uspić ich czujność, byle tylko ciebie oszczędzili. Obłudą ułaskawiłam guru i dał się przekupić. Wykorzystałam przy tym cały mój talent aktorski. Przypłaciłam to jednak moim mieszkaniem i oszczędnościami.
  - Wielka szkoda, kochanie, że wcześniej tego nie wiedziałem. Zupełnie inaczej rozprawiłbym się z tym draniem.
  - A ja cię proszę, Witoldzie, żebyś dał mu spokój – szepnęła przerażona. – Tak będzie lepiej dla nas. Zagmatwasz tylko naszą sytuację i możemy wiele stracić. Zostaw go w spokoju.
  - Nie umiem tak. Muszę się z nim rozprawić.
  - Weź pod uwagę, że nie tylko my na tym ucierpimy. Są jeszcze inne osoby, ukrywają się, i od nas zależy ich bezpieczeństwo.
  - Nic mnie nie obchodzą inni, liczysz się tylko ty.
  - Obiecuj, że szybko zapomnisz o tej sprawie. Witoldzie, proszę cię, obiecuj, że zapomnisz o tym, co mówiłam przed chwilą i o tym, że piastowałaś moją córeczkę. Ja już o niej zapomniałam.
  - Powiesz mi, gdzie ona jest?

– Trzy metry pod ziemią, a może głębiej, może prawie u wylotu z drugiej strony kuli ziemskiej. I nie chcę więcej o tym mówić. Nie męcz mnie, proszę.

– Biedactwo – szepnął. – Pokażesz mi to miejsce?

– Nie. Ono nie istnieje, dla mnie ani dla nikogo innego. Nie ma go nawet w mojej pamięci.

– Biedactwo – powtórzył, przytulając ją serdecznie.

– Nie lituj się nade mną. Zasłużyłam na to. Zbij mnie, Witoldzie, zbij i wybij mi z głowy moją głupotę, przetrzep mój tyłek porządnym batem – płakała w jego ramionach.

– Basiulku, nie wracajmy do tego, co przykre. Nie zasłużyliśmy na tyle bólu.

– Zasłużyłam na solidne lanie...

Ale nie zasłużyła na to, by życie uszło z niej tak nagle. On też nie zasłużył na vegetację bez niej, bo ciągle miał jej dużo do powiedzenia i dużo do zaoferowania, choć już nie mogła tego wiedzieć.

A taka była radosna na Małych Antylach, na uroczej wyspie jak ze snu, dokąd wywiózł ją w pierwsze dni zimy. Tam świętowali Gwiazdkę. Basia jak mgiełka biegała po łąkach Barbadosu, pługając motyle, i wyszukiwała kwiaty, niespotykane w naszym klimacie. Pływała jak złota rybka w głębinach oceanu i prawie nie wychodziła z wody. Wszystko to kazała mu uwiecznić na zdjęciach, sama nie wiedząc po co. I była dawną, roześmianą Basią, przekomarzającą się z nim dla podtrzymania tradycji, byle tylko pospierać się, a potem mieć okazję do zgody.

Wodził za nią oczami pełnymi nieba, a ona zawsze znalazła czas, by przesłać mu uśmiech czy całusa w locie. Codziennie zwiedzali kawałek wyspy, chociaż całą uroczą Barbados można było objechać w kilkanaście godzin. Serwowali sobie po kawałku przyjemności odkrywania tego cudu natury. Basia zawsze znalazła coś oryginalnego, by móc to uznać za cenną pamiątkę godną przechowania i zachwytu. Złota muszelka, którą jej wtenczas podarował, stała się jej talizmanem, bez którego później nie wychodziła z domu.

A kiedy przyszedł czas tradycyjnej kolacji wigilijnej, którą przygotowano dla nich w pensjonacie pełnym ludzi różnej narodowości, już o zmierzchu z głośników sączyły się kolędy: *Cicha noc* i różne pastorałki. Na choinkach w ogrodzie błyszcząły kolorowe Mikołaje, małpki w czerwonych czapkach i przepastne skarpety na prezenty. Drzwi wejściowe ozdabiały zielone girlandy. Podobne wisały na ścianach i lustrach. I było prawie tak samo jak w kraju tego dnia, tylko ludzie chodzili w krótkich spodenkach i letnich sukienkach, a temperatura przekraczała trzydzieści stopni ciepła. Ale to nie były jedyne niespodzianki tego dnia.

Po szybkiej wieczerzy goście przenieśli się pod gołe niebo, w miejsce pozostałości wiatraku, wkomponowanego w krajobraz hotelu *Migdałowa wioska na plaży*. Budowla ta służyła nowożeńcom. Na stałe wisała na niej dekoracja weselna, gdyż zaślubiny narzeczonych z różnych stron świata odbywały się kilka razy w tygodniu. Witold też chciał właśnie tu powiedzieć Basiulce sakramentalne *tak*. Zanim jej wyjaśnił, co będzie się działo, już ktoś

wcisnął jej na głowę wieniec ze świeżych kwiatów, a do rąk oryginalny bukiet. Sznur kwiecistych koralików zawisł na karku Witolda i tak przystrojony stanął przed kapłanem, by złożyć uroczyste śluby, bo sobie dawno już przyrzekli wspólne dni radości. Według własnego prawa nadal byli małżeństwem.

Wzruszenie nie pozwalało im na trzeźwość myślenia. Dopiero w połowie uroczystości Basia zaczęła przyglądać się duchownemu. Witold obserwował ją dyskretnie i czuwał nad emocjami. On wiedział, kto ukrywał się pod humerałem. Sam to zaaranżował, aby ją uszczęśliwić. Ale i jemu drżały ręce podczas nakładania obrączek, podobnie jak Arkadiuszowi, gdy wiązał ich dłonie stułą. Basia płakała i nie spuszczała oczu z twarzy ojca.

Potem szybko ktoś przegonił całe towarzystwo nad morze i do ogrodu, by uwiecznić parę młodą na fotografiach. Po sesji zdjęciowej zrzucili uroczysty strój cywilizowanego świata i w samych strojach kąpielowych, na plaży, uczestniczyli w weselnych uciechach i zabawach w błękitnej wodzie. Było tam mnóstwo przeróżnych jaskiń, przepiękna przyroda i egzotyczne zwierzęta. Małpki biegały wokół turystów jak koty w kraju, przy nadmorskich smażalniach. I każdy chciał choć dotknąć tych wyjątkowych stworzeń, towarzyszących człowiekowi nie tylko przy uczcie weselnej. Przy okazji odkrywali wyjątkowe uroki wyspy. Cieszyli się przyrodą i doświadczali życzliwości tubylców, którzy zawsze byli uśmiechnięci i skorzy do pomocy. Witold cały czas był przy swojej Basiulce i widział jej nerwowe starania, by być blisko ojca. Wreszcie znalazła okazję, by z nim porozmawiać. Wtedy Witold pozostawił ich samych. Wiedział, jak bardzo potrzebna była im taka rozmowa. Bez słów, nie o pogodzie, nie o artystycznych wrażeniach, nie o modzie ani o pragnieniach, lecz o trudach życia, zobowiązaniach i planach na przyszłość. Toteż wielce zdziwiła Witolda jej końcówka, którą usłyszał, kiedy wreszcie do nich dołączył.

– Pamiętaj, ojciec – szeptała Basia ze łzami w oczach. – Pamiętaj! Powierzono ci skarb rodzinny i dbaj o niego jak o własną głowę.

– Barbarko, jesteś jeszcze gorsza i bardziej uprzykrzona niż stara Adela – rzekł ojciec z westchnieniem i uśmiechnął się do córki. – Ona też mnie zamęcza tym zobowiązaniem.

– Pamiętaj, powierzono ci skarb rodzinny – powtórzyła, patrząc już na Witolda.

– Nigdy nie wspominaliście o żadnym majątku. – Witold spokojnie, bez jakichkolwiek pretensji wmieszał się do rozmowy. – No, ale skoro jest to tajemnicą rodzinną, niech więc tak już pozostanie. Mnie nic do tego. Możecie jednak liczyć na moją wielką dyskrecję i na mnie również w razie jakiegokolwiek potrzeby wsparcia rodziny.

– Obiecujesz nam pomoc, a nawet nie wiesz, w co się wpychasz, młody człowieku – zaczął Arkadiusz, ale Basia uciszyła go jednym syknieniem.

– Ojciec.

– Barbarko, pozwól sobie powiedzieć jeszcze jedno. – Powaga była z postawy Arkadiusza. – Trzeba brać pod uwagę, że wszystko może się zdarzyć. Świat jest

pełen niespodzianek. Witold powinien wiedzieć, o co chodzi, jeśli ma nam pomóc...

– Nie, jeszcze nie teraz – przerwała stanowczo, chwytając go za rękę. – Ta chwila jeszcze nie nadeszła. Nasz skarb jest bezpieczny, tak mówiłeś. Chyba jest tutaj bezpieczny?

– Jest bezpieczny – przytaknął Artek ze ściśniętym gardłem. – A nie chciałabyś...

– Nie! – przerwała mu gwałtownie i momentalnie się rozpląkała. – Nie! Niech będzie tak, jak dotąd. Tak będzie lepiej... Pamiętaj, tato.

– Ty też pamiętaj. – Artek popatrzył na Witolda. – Pamiętaj, obiecałeś.

Witold chciał zapytać i zaspokoić zwykłą ludzką ciekawość, ale zanim otrzymał jakiegokolwiek dalsze wyjaśnienia, Basia zdecydowała za niego:

– Możesz na niego liczyć, ojciec – potwierdziła spokojnie, zanim Witold zdążył otworzyć usta. – Zapewniam cię.

Z tym wspomnieniem Witold opuścił kawiarenkę. Prężnym krokiem udał się na cmentarz. Teraz już mógł stanąć nad grobem i wyrzucić z siebie to, co go dręczyło, co nie dawało mu spokoju i co dotyczyło tajemniczego skarbu tej dziwnej rodziny. Mógł mówić, bez obcych, ciekawskich oczu. Mógł z nią rozmawiać. I strasznie za nią tęsknił.

Przekroczył bramę nekropolii i stanął zdezorientowany. Zrozumiał, że się zgubił. Odwrócił się więc twarzą do furty i wysilił pamięć. Teraz już wiedział, która alejka doprowadzi go do właściwego miejsca. Wyprostowany, jak zawsze patrzył przed siebie, żeby nie przeoczyć wzgórzka usypanego ze świeżych kwiatów. Wiedział, że jest dość daleko stąd. Nawet nie miał pojęcia, że ten cmentarz zajmował tak wielki obszar. Skąd miał to wiedzieć, skoro prawie nigdy dotąd nie uczestniczył w takich uroczystościach. Nie odwiedzał cmentarzy, nawet ojcu nie przeszkadzał w wiekuistym śnie, pozwalał mu odpoczywać w spokoju. Z każdym krokiem był coraz bardziej zdziwiony ogromem bogactwa nagrobków, które mijał. Nagle zahaczył wzrokiem własny bukiet, leżący na cudzym nagrobku. Podbiegł do niego i chwycił uradowany, że odzyskał coś, co należeć powinno do jego żony. Ścisnął w dłoni wiązanekę, ciesząc się, że jednak Basiulka choć raz dostanie od niego kwiaty, bo tych wyrosłych na zastygłej lawie wulkanicznej, po które często się schylał, by zatknąć jej za ucho, nie liczył. Były to małe roślinki, ledwie rozwinięte, bez zapachu, siłą i cudem natury przebijające się przez skażoną magmą ziemię Lanzarote, usianą wulkanami oraz skałkami osadzonymi przez lawę, gdzie ostatnio byli. Przypomniał sobie, jak lekliwie Basia zagłębiała się w długi łańcuch korytarzy utworzonych przez magmę. Od zawsze cierpiała na klaustrofobię i długo starała się ją zwalczyć. Przy nim jednak wyciszała swoje lęki i szła w nieznaną. Ufała mu. W jaskini podziwiali zbiornik niespotykanej w kraju, przezroczystej wody i specjalny gatunek pływających w niej raków. Ściany mieniły się różnymi kolorami, w zależności od rodzaju minerałów, z których były zbudowane. Przeważała biel, żółć, czerń i czerwień, która odbijała się w tafli wody, nad którą stali



z okrzykami zachwytu. Obrazy zmieniały się jak w dzieciennym kalejdoskopie, który dawno temu podarował Basi bez specjalnej okazji. Już w dzieciństwie ją rozpieszczał, już wtedy wiedział, że ulegnie jej kaprysom, choćby to miało kosztować go zdrowie czy majątek. Nawet tu przyszła mu myśl, aby sprowokować ją do solowego występu. Grota ze względu na wspaniałą akustykę była salą koncertową.

Kiedy wrócili, żyli jeszcze klimatem „wiecznej wiosny”, a on już zaplanował przeprowadzkę do większego domu. Wybrali Poznań. Najpierw jednak musieli przyzwycząić się do życia na walizkach, a dopiero później zacząć urządzać nowe lokum. Miało to nastąpić po powrocie z Maroka, gdzie ze względu na jego pracę przyszło im spędzić kilka lat. Byli właśnie w trakcie szczepień ochronnych i różnych koniecznych badań, kiedy to się stało.

– Stało się coś niezrozumiałego, Basiulku, i dlatego tu wróciłem – szepnął Witold nad grobem, przerywając swoje rozmyślenia. – Musimy o tym porozmawiać. I nie rób uników.

Stanął obok kwicistej mogiły, nurzając eleganckie buty w grząskiej ziemi zmieszanej z gliną. Miał odczucie, że lekko się zapada.

– Nie przywołuj mnie, Basiulku. I nie myśl, że będę tu do ciebie wracał – rzekł wyraźnie. – Jestem tu tylko dzisiaj i to koniec odwiedzin. Nigdy więcej do ciebie już nie przyjdę.

Poprawił szarfy i kwiaty opadłe na ścieżkę. Na samym szczycie umieścił wiosenny, pachnący bukiet, choć ona już tego zapachu poczuć nie mogła. Na lekkim wietrze furkotały szarfy z napisem, który sam podyktował kwiaciarce: *Mojej Basiulce, zawsze ten sam Nituś.*

Gdy to czytał, wreszcie dotarła do niego bolesna prawda. Wpatrywał się w białą tabliczkę z czarnymi literami, układającymi się w znane nazwisko jakim i on od zawsze się legitymował. I przeraził się tej prawdy. Powolnym ruchem wyjął z kieszeni chusteczkę i starł z czoła wielkie krople potu, choć gorączka dnia mijała i nadchodził wieczorny chłód. Przy okazji między palce zaplątała mu się fajka. Nie schował już jej do kieszeni. Trzymając ją w dłoni, rozglądał się za dogodnym kawałkiem siedziska, gdyż nagle poczuł dziwną miękkość w kolanach. Niedaleko, pod pniem niewysokiego dębu o przyciętych konarach, znalazł małą ławeczkę, chytrze ukrytą za nagrobną płytą. Usiadł ciężko, jak zmęczony życiem starzec, i oparł plecy o twardy pień. Patrząc z małej odległości na tabliczkę z własnym nazwiskiem, mruknął:

– Dlaczego mi to zrobiłaś? Dlaczego, Basiulku? Wiedziałaś, że bez ciebie nie potrafię żyć. I co ja mam teraz robić?

Ponownie przybliżył się do wzgóрка usypanego ze świeżo rozkopanej ziemi i poprawił szarfy, by odsłonić zapisane, a ukryte między roślinami intencje żałobników. Znow zagiął się w rozmokłej glinie, która przylepiła mu się do butów, tworząc ciężkie, twardniejące jak beton błoto na podszwach. Jeszcze raz przysiadł na ławeczce, przechylił się w stronę Basi, jakby chciał powiedzieć jej coś na ucho, i gładząc fajeczkę drżącą ręką, wyszeptał:

– I jak ja mam żyć bez twego uśmiechu i twojej obecności, bez

przekomarzania i kapryśnych zachcianek? To wszystko było wpisane w twoją osobowość, która już w Białym Dworku urzekła mnie obłądnie. Wszystko robiłem z myślą, by ci się przypodobać, abys mnie nie wyśmiała złośliwie i żebyś patrzyła na mnie łaskawszym okiem. I tylko dzięki temu, że byłaś obok, w pokoju za ścianą, starałem się dorównać mojemu ojcu, który zawsze był dla mnie wzorem... I nie przerywaj mi teraz, ja muszę to powiedzieć...

Podniósł się niechętnie, stanął z boku i patrząc na wzgórek przyozdobiony jego bukietem, mówił dalej:

– I po co kupiliśmy nowy dom w tym nieprzyjaznym mieście, które mi ciebie zabrało? Osierociłaś mnie, Basiulku! Nie mów mi, że niedługo już nie będę sam, bo mama się sprowadzi. Dobrze wiesz, że mama to nie to samo, co ty, moja Basiulku. Pocieszające jednak jest to, że zdążyła cię na nowo pokochać. Bo ja nie przestałem nigdy.

Obszedł mogiłę obsypaną kwiatami i zatrzymał się w tym miejscu, gdzie wydawało mu się, że powinny być jej oczy. Wsunął cybuch do ust, po chwili wyjął i rzekł:

– Zawsze cię kochałem. Zapadłaś mi w serce w momencie, kiedy którejś mroźnej zimy stanęłaś w progu mojego domu i zdjęłaś z głowy tę śmieszoną wełnianą czapkę. Pamiętasz to? Wysypały się wtedy z niej twoje loki, a ja od razu miałem ochotę ich dotykać. To też chyba wyczuwałaś. A kiedy już dotknąłem, to nie umiałem się od nich oderwać. Serce waliło jak ogłupiałe. Jeszcze teraz to czuję.

Znów przycupnął na ławeczce, aby wyciszyć podejrzenie niepokojący łomot w głębi klatki. Zapatrzył się w niebo. Chmury delikatnie się nad nim unosiły, niebo pokrywała szarość zmierzchu, ale gwiazdy jeszcze się nie pojawiły. Jego wzrok spoczął na jaśniejszych punktach mogiły, na licznych kwiatkach i nikłych światełkach pełgających w rozdeptanej, mokrej ziemi. W nadchodzącym zmroku dopiero teraz zauważył znicze i zrozumiał, co to znaczy. Zatrzęsa nim złość, że jego Basia porzuciła go w ten niezrozumiały, a jakże bolesny sposób. Aż się spocił i znów osłabły mu łydki.

– Zostawiłaś wszystko, ukochaną scenę, radości życia i mnie, który kocha cię do obłądu. I chociaż słyszę twoje szydercze: *boś głupi, tysy czubku* wcale się nie obrażam, tylko przyznaję ci rację, Basiulku. Byłaś gwiazdą, oklaskiwaną na deskach teatru, byłaś reklamą przedstawień, byłaś moją radością i dumą nosząca moje nazwisko. Byłaś wszystkim, co miałem... Zabrałaś mi całą siebie. Zostałem sam i czuję się nędzarzem.

Przerwał na chwilę, by zaczerpnąć powietrza, znów otarł spocone czoło, ale zaraz dalej wyrzucał swoje żale głosem pełnym cichych wykrzykników.

– Jak myślisz, komu kupiłem ten luksusowy dom za miastem, co? Myślisz, że huśtawka w ogrodzie jest tylko po to, aby wiatr nią kołysał? A te wszystkie zielska i badyłe, które nazywałaś roślinkami, które wskazywałaś w sklepie ogrodniczym i kazałaś mi je sadzić, choć wiedziałaś, że nie znam się na tym, to po co są w tym ogrodzie, gdy ciebie to już nie interesuje? Wiem, że ty już tego nie zobaczysz! A ja będę musiał na to patrzeć i mocować się ze wspomnieniami,

bo w każdym zakątku domu i ogrodu zawsze ciebie będę widział, chociaż już nie będę mógł cię dotknąć. Taką mi wymierzyłaś karę za to, że kocham cię jak świr. I nawet przemówić do mnie nie chcesz.

Wyciągnął przed siebie długie nogi, ciężące mu coraz bardziej obłożonymi butami, i wygodniej oparł się o pień dębu. Poczł naraz jakąś ulgę i prawie senność. Jednak po chwili podniósł się i wsparł na kawałku drewna, zbitym na kształt krzyża. Ślady wskazywały, że został niedawno wkopany.

– To wszystko robiłem dla ciebie! Dobrze wiesz! I nie powinnaś teraz odchodzić! Tak się nie robi! Powinnaś walczyć z chorobą, nie poddawać się. Ale ty tego nie chciałaś! Wolałaś odejść i patrzeć na mój smutek i złość. Zawsze cię to bawiło.

Ociężałym krokiem obszedł mogiłę. Buty nasiąkały wilgocią i jeszcze więcej błota przyłgnęło do tej zatwardziałej już skorupy na podeszwach. Człł ten ciężar i niewygodę. I człł niezrozumiałe zmęczenie. Jeszcze raz cicho wyrzucił z siebie nową porcję pretensji:

– Tym razem ja ci zrobię wielką niespodziankę. Nie będę rozpaczać, Basiulku, nie będę. Czy ty myślisz, że tylko ty jedna jesteś godna mojego uczucia? Czy myślisz, że tylko ty jedna jesteś na tym świecie? Poszukam sobie jakiejś pulchnej i ognistej dziewczyny, rozkocham ją w sobie i z nią spędzę resztę życia! Niech ci się nie wydaje, że jesteś jedna jedyna...

Mówiąc to, ścisnął w dłoni lakierowaną fajkę, szybko wsadził ją do ust, jakby w obawie, żeby nie wypowiedzieć zbyt wielu słów. Potem zamruczał coś niewyraźnie, wstał gwałtownie i głośniej powtórzył:

– Niech ci się nie wydaje, że poza tobą nie ma życia...

Energicznie wyjął fajkę z ust, ścisnął ją tak mocno, aż palce mu zbielały, i dodał cicho, a wyraźnie, by nie było już żadnych wątpliwości:

– Bo nie ma, Basiulku! I o tym dobrze wiesz.

Obszedł dookoła kwiecisty wzgórek, ślizgając się lekko na podmokłej ziemi.

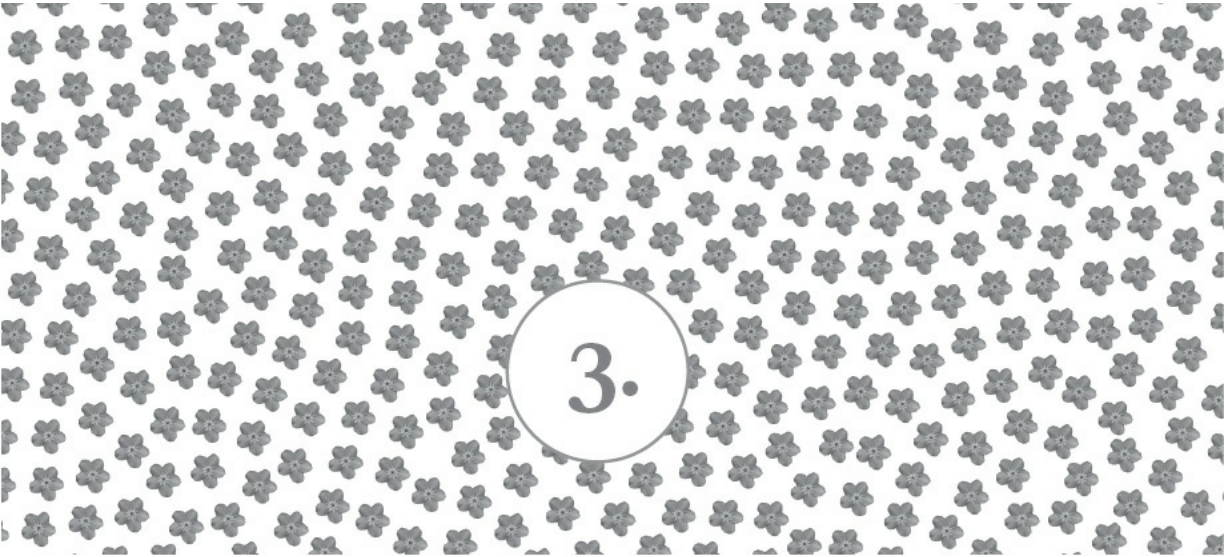
– A ty nie powinnaś się poddawać chorobie. Należało zwalczyć tę przekłętą sepsę. Ale ty się poddałaś! Za szybko! I jak ja teraz mam do domu wrócić bez ciebie, Basiulku?

Jeszcze mocniej ścisnął w chłodnej dłoni kubańską fajeczkę, pogłodził ją delikatnie, jakby chciał sobie dodać otuchy.

– Zamęczam cię gadaniem. Wiem, że nie pozwalam ci odpocząć. Zamilknę trochę. Ale ty mów do mnie i nawet możesz mi wygrażać paluszkami. Nie będę ci przeszkadzać. Mów, Basiulku, ja słucham.

Poprawił się na ławce, przytulił plecy do drzewa, wyciągnął teraz nogi na całą długość, przymknął oczy i mruknął w przestrzeń:

– Posiedzę jeszcze trochę, a ty mów, Basiulku... Tylko troszeczkę odpocznę przy tobie... Mów, ja słucham z uwagą, jak zawsze. Wiesz dobrze, jak bardzo lubię cię słuchać. Mów do mnie, mów... Możesz nawet śpiewać, to też bardzo lubię, tylko już nie zatańczysz... Nigdy nie zobaczę twojego tańca radości i to nie tylko z braku wiśniowej podłogi. Mów jeszcze, a ja odrobinę odpocznę. Mów do mnie jeszcze, moja Basiulku, mów, proszę...



Wstawał nowy dzień. Pierwsze ptaki budziły się do życia. Ich radosny szczebiot unosił się wysoko pod chmurami, skąd zaczynało prześwitywać słońce. Lazur nieba skrzył się w porannej jasności, która osiadała już na koronach wysokich drzew, płosząc do reszty pozostałe rozespiane ptaki i owady. Blaszki wiosennych liści odwracały się w stronę tej życiodajnej jasności, by zaczerpnąć jak najwięcej ciepła i na długo je zatrzymać. Zapowiadał się ładny dzień.

Gałęzie, poruszone lekkim wiatrem, kierowały się ku słońcu, które oświetlało coraz więcej, zatapiając wszystko w swoim cieple. Spływało od góry, najpierw delikatnie, po koronach drzew, potem rozświetliło liczne pnie i krzewy, aż rozlało się pełnią jasności nad wzgórkami usypanymi z ziemi i tymi przyciśniętymi kamienną bryłą.

Zahaczyło też o nową mogiłę, pokrytą wciąż świeżymi kwiatami. Ich pączki otwierały swe płatki szerzej i szerzej, bo taka była ich natura. Łapały do głębi kwiecistych główek ciepło płynące z góry i tę jasność, która zataczała już coraz szersze kręgi wokół kamiennych płyt, oświetlając nawet tak smutne miejsce.

Panował tu spokój i cisza. Żaden dźwięk nie zakłócił piękna tego słonecznego poranka. Tylko czarny kot, przyczajony w bocznej alejce, patrzył swym przenikliwym wzrokiem na skuloną na ławeczce postać w ubłoconych butach. U jej nieruchomych stóp leżała czarna fajka, niewidocznie drgająca w podmuchach lekkiego wiatru, sprawiająca złudne wrażenie, jakby dopiero co wypadła z zastygłej dłoni o długich palcach.

*Inowrocław 2013 r.*

Dalsze losy bohaterów ukażą się wkrótce.

# **Spis treści**

**1**

**2**

**3**